



DAVID BENIOFF

25. godzina

Przełożyła Marta Lewandowska  
Warszawa 2003

## PROLOG

**CZARNEGO PSA ZNALEŻLI** drzemiącego na poboczu autostrady West Side, śniącego psie sny. Był porzuconym kaleką z lewym uchem pokąsanym na miazgę, mistrzem w zbieraniu papierosowych oparzeń — psem do walk, porzucony na łaskę rzecznych szczurów. Wokół rozlegał się huk ruchu ulicznego: ciężarówki z tylnymi drzwiami zamykanymi na kłódki, białe limuzyny z przyciemnionymi szybami, żółte taksówki, granatowe policyjne furgonetki.

Monty zatrzymał swoją corvette na poboczu i wyłączył silnik. Wyszedł z samochodu i podszedł do psa. Za nim podążył Kostia Novotny, który niecierpliwie potrząsał głową. Kostia był potężnym mężczyzną. Ukraińcem, który nigdy nie nauczył się poprawnie mówić po angielsku. Jego grube, białe ręce zwisały z rękawów płaszcza. Tłuszcz zaczął już zacierać rysy jego twarzy, a szerokie policzki zaczerwieniły się od mrozu. Miał trzydzieści pięć lat, ale wyglądał starzej; Monty — dwadzieścia trzy, ale wyglądał na mniej.

— Widziałeś? — powiedział Monty — On żyje.

— Ten pies, co to za rasa?

— Pitbull. Musiał kogoś sporo kosztować.

— Ah, *pitbull*. Na Ukrainie mój ojczym miał takiego psa. Bardzo zły pies, bardzo zły. Widziałeś walki psów u Wujka Blue?

— Nie.

Psie futro, przesiąknięte krwią i smrodem gówna, roilo się od pcheł.

— Co zrobimy, Monty? Będziemy patrzeć, jak gnije?

— Myślałem, że go zastrzelimy.

Przebudzony teraz pies wpatrywał się niewzruszenie w dal, a jego pysk oświetlały przejeżdżające auta. Pobocze koło łap było zaśmieczone potłuczonym szkłem, skrawkami poskręcanej blachy, czarną gumą z porozrywanych opon. Na betonowej barykadzie za psem, oddzielającej północny i południowy kierunek ruchu, widniał, wykonany sprayem wysoki na 3 stopy napis SANE SMITH.

— Zastrzelić go? Czy ty jesteś normalny?

— Porzucili go tutaj, żeby zdechł — powiedział Monty. Wyrzucili go przez okno i pojechali dalej.

— Chodź, przyjacielu, zimno jest. — Z Hudson dobiegł ryk syreny okrętowej. — Chodź, ludzie na nas czekają.

— Są przyzwyczajeni — powiedział Monty. Przykucnął obok psa. Oglądając jego zmaltretowane ciało, próbował ustalić, czy lewe biodro jest złamane. Monty wyglądał blado w migającym świetle. Jego czarne włosy były zaczesane znad czoła prosto do tyłu. Mały, srebrny krzyżyk wisiał na srebrnym łańcuszku okalającym jego szyję, a srebrne obrączki ozdabiały palce prawej ręki. Gdy przysunął się bliżej, pies podniósł się nieco i rzucił w kierunku twarzy mężczyzny; wystarczająco blisko, by Monty, szarpnąwszy się dziko do tyłu, mógł poczuć cuchnący psi oddech. Wysilek doprowadził pitbulla do zadyszki, jego zbity muskularny tułów drżał przy każdym rżącym oddechu, ale pozostał zwinięty. Pies, obserwując obu mężczyzn, kulił uszy, poszarpane i zdrowe, wzdłuż łba.

— Jezu, — powiedział Monty, siadając na poboczu — prawie mnie dziabnął.

— Chodź, myślę, że on nie chce się z tobą bawić. Chcesz tu ściągnąć policję? Chcesz, żeby nam oglądali samochód?

— Patrz, Kostia, co oni z nim zrobili. Używali go jak pieprzonej popielniczki.

Pędzący obok cadillac zatrąbił dwukrotnie i obaj mężczyźni wpatrywali się w niego, dopóki tylne światła nie zniknęły za zakrętem.

Monty wstał i wytarł dłonie o tył spodni. — Weźmy go do bagażnika.

— Co?

— Na East Side jest pogotowie weterynaryjne. Lubię drania. — Lubisz go? On ci próbował zedrzeć twarz. Spójrz na niego, to mięso. Jeśli chcesz psa, to jutro kupię ci fajnego szczeniaka.

Monty nie słuchał. Poszedł w stronę samochodu, otworzył bagażnik i wyciągnął poplamiony, zielony, wojskowy koc. Kostia patrzył na niego, podnosząc ręce do góry.

— Poczekaj chwilę, proszę. Zatrzymaj się na minutę! Ja nie podejść do pitbulla. Monty! Ja nie podejść do pitbulla. — Monty wzruszył ramionami.

— To dobry pies. Widzę to po jego oczach. To mały gangster i bestia.

— Tak, to gangster. Wyrósł w złej dzielnicy. Dlatego właśnie będę się trzymać od niego z daleka.

Światło padające z góry wywołało głębokie cienie pod kośćmi policzkowymi Montiego.

— Dobra, zrobię to sam — powiedział.

W tej chwili pies osunął się z powrotem na ziemię, wciąż usiłując trzymać łeb w górze i skupić swoje szklące się oczy na mężczyznach.

— Popatrz na niego — powiedział Monty. — Jeśli jeszcze trochę

poczekamy, to zdechnie.

— Minutę temu chciałeś go zastrzelić.

— To był odruch litości, ale on nie jest jeszcze gotowy na śmierć.

— Tak? Kto ci to powiedział? Ty wiesz, kiedy będzie gotowy na śmierć?

Monty ostrożnie obszedł psa, trzymając koc jak matador trzyma płaszcz.

— Jest jak dziecko, one też nienawidzą, jak lekarz robi im zastrzyk. Wrzeszczą i płaczą, gdy tylko zobaczą igłę, ale na dłuższą metę to dla nich dobre. Hej, zajmij czymś jego uwagę.

Kostia potrząsnął głową jak ktoś, kto już od dawna znosi szaleństwa przyjaciela i kopnął puszkę po coli. Wzrok psa skupił się na ruchu. Monty zarzucił koc na zwierzę, skoczył do przodu i objął psa wpół. Pies, owinięty i skrępowany płachtą, wbił zęby w materiał i szarpał agresywnie, próbując skręcić kocowi kark. Montiemu udało się wstać, starał się utrzymać silny chwyt, ale pies, śliski od krwi, wymykał się z jego uścisku. Monty rzucił się w stronę corvetty, bo pitbull, uwolniwszy się z koca, odwrócił łeb i wściekle kłapnął mu zębami ledwie kilka cali od jego gardła. Zwierzę wpijało mu się pazurami w ramię, dopóki Monty nie wrzucił go do bagażnika. Pies ciągle kąsał i, wpadłszy do wnęki na zapasowe koło, rozpaczliwie próbował odzyskać oparcie dla łap. Wtedy kłapa zatrzasnęła się.

Monty zgarnął wojskowy pled i rzucił go na siedzenie kierowcy. Kostia spoglądał jeszcze przez chwilę w niebo i dołączył do przyjaciela w corvecie. Całe przedstawienie trwało pięć minut.

— Co się kotłuje w twojej małej głowie? — zapytał Kostia, kiedy

Monty zwinął koc, wcisnął za swój fotel i odpalił silnik. — Zrobiłeś głupią rzecz. Najgłupszą ze wszystkich głupich rzeczy, jakie kiedykolwiek zrobiłeś. Nie. Cofam to. Lidia Eumanian była najgłupszą sprawą.

— Ale mam go? — powiedział Monty, uśmiechając się szeroko. — Trochę sprytu, trochę refleksu i *bum!* Capnięty. — Sprawdził lusterka i wyjechał na autostradę wiodącą z powrotem do miasta.

— Tak, refleksu. Na razie krwawisz. Ugryzł cię.

— Nie, to krew psa. — Kostia podniósł brwi.

— Tak? A na szyi masz ranę i płynie z niej krew. — Monty dotknął ręką szyi i poczuł kroplę krwi.

— To tylko zadrapanie.

— A, zadrapanie? No tak. Tymczasem wykrwawisz się na śmierć. Potrzebujesz zastrzyku przeciw wściekliźnie.

— Zaszyją to u weterynarza. — Za nimi, w bagażniku miotał się pies. Jego ujadanie tłumił hałas ulicy.

— Co? U weterynarza? Zakrwawiłeś cały samochód, umierasz, a twój ojciec będzie krzyczał na *mnie*. O, fiu-fiu, fiu-fiu, pozwolić Montiemu umrzeć. Nie, proszę. Pojedźmy na Seventh Avenue, tam jest szpital Świętego Jakiegoś tam, prawdziwy szpital.

— Jedziemy do weterynarza. — Krew ciekła Montiemu po ramieniu, wsiąkając w rękaw koszuli i plamiąc łokieć.

— Zasada numer jeden — powiedział Kostia — nie zbieraj pół-martwych pitbulli. Czekają na nas ludzie. Ludzie z pieniędzmi, a ty się bawisz w kowboja — nie, w piesboja — na środku autostrady. Masz pecha. I mnie tym zarazasz. Wszystko, co może pójść źle, idzie źle. Prawo Doyle'a. Wychodząc, nie wychodzimy we dwójkę — ty i ja — nie!



Wychodzimy — Monty, Kostia i pan Doyle od Prawa Doyle'a.

— Doyle? Chyba Murphy.

— Kto to jest Murphy?

— A kim jest Doyle? Prawo: „Wszystko, co może pójść źle, pójdzie źle" jest Murphiego — powiedział Monty.

— No, właśnie.

I od wtedy pies został nazwany Doyle.

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

**MONTY SIADYWAŁ NA** tej ławce setki razy, ale dziś uważnie się rozglądał. To był jego ulubiony punkt miasta. To właśnie chciałby widzieć zamykając oczy, będąc gdziekolwiek: zieloną rzekę, stalowe mosty, czerwone holowniki, kamienną latarnię morską, kłęby dymu i magazyny dzielnicy Queens. To właśnie chciałby widzieć, gdy zamknie oczy jutro i każdego następnego wieczoru w ciągu najbliższych siedmiu lat; kiedy zatrzasną się elektronicznie kontrolowane bramy, gdy zgasną jarzeniowe światła, a zapalą się ciemne, czerwone lampki ewakuacyjne. Chciałby to widzieć podczas nocnego chóru szeptanych dowcipów i gróźb, odgłosów masturbacji, pomruku basów z radia — włączonego, wbrew regulaminowi, po godzinach. Chciałby zachować ten widok przez dwa i pół tysiąca nocy w Otisville, leżąc na przesiąkniętym potem materacu, pomiędzy tysiącem skazańców, w odległości dziewięćdziesięciu mil od najbliższego przyjaciela. Zielona rzeka, stalowe mosty, czerwone holowniki, kamienna latarnia morska.

Monty siedzi na ławce, na promenadzie wznoszącej się nad East River, palce jego prawej ręki bębnią po wyszczypanej desce, smycz ma mocno naciągniętą na nadgarstku. Patrzy na Queens poprzez gięte pręty metalowej balustrady. Na północy most Triborough, na południu most 59-tej Alei. Naprzeciwko, pośrodku, widać północny skrawek Wyspy Roosvelta, strzeżony przez starą, kamienną latarnię.

Pies chce biegać. Walczy ze smyczą i rwie się do przodu, stając na tylnych łapach. Naprężone mięśnie drgają, czarne wargi odsłaniają jasne kły. Po czterech latach przyprowadzania Doyle'a nad rzekę, Monty wie, że

puszczenie go luzem wywołałoby wojnę na promenadzie. Może pitbull dosiadłby sukki dalmatyńczyka obok zepsutej fontanny, może wszcząłby awanturę z rotwailerem. Nie ważne — splamić chodnik psim nasieniem czy psią krwią, wśród odgłosów areny, ujadania czy skowytu — Doyle jest gotów na wszystko.

Rzeka płynie czterdzieści stóp niżej, błotnistą zieleń zakłócają tu i tam błyski pustych puszek. Świeżo pomalowany, czerwony holownik, z bokami obitymi oponami ciężarówek, ciągnie barkę ze śmieciami w dół rzeki. Mewy krążą nad barką, przekrzykując się nawzajem, ich białe skrzydła rozświetla poranne słońce. Nurkując w falach, porywają jadalne odpadki i połykają je jednym, szybkim szarpnięciem głowy.

Doyle przysiadł na chodniku, smutnie obserwując inne psy. Z jego lekko otwartego pyska, język na przemian wysuwa się i chowa. Gołąb z napuszonym torsem, z pazurami w kolorze przetrzutej gumy, kroczy dumnie kiwając głową, dopóki pitbull nie spłoszy go przypadkowym warknięciem. Trzy ławki dalej ktoś ćwiczy akordy na dwunastostrunowej gitarze. Dwaj młodzi w bluzach z kapturami, w dzinsach noszonych nisko na biodrach, z zielonymi literami wytatuowanymi na kostkach, skinęli głowami Montiemu, ale on ich nie zauważył. Patrzy na rzekę zdążającą na południe, na gigantyczne kłęby dymu nad Queens, rozdmuchiwane na niebie w białe obłoki, na tramwaj wyjeżdżający z Wyspy Roosewelta i błyski samochodów na moście 59-tej Alei. Samolot wzbija się nad LaGuardia i Monty śledzi jego wznoszący lot; lewe skrzydło opuszcza się, bo samolot skręca na zachód. Monty skupia się na locie, na łatwości, z jaką oddala się srebrny odrzutowiec.

Monty czuje napięcie smyczy zamotanej wokół nadgarstka. Doyle

znów się podniósł, by wydać z siebie szczeknięcie ostrzegające nadchodzącego mężczyznę. Przechodzień zatrzymuje się i czeka z przestraszonym półśmiechem. Jego ubiór nie pasuje do tego, nadzwyczaj ciepłego, styczniowego poranka. Ma długi szalik, owinięty dwukrotnie wokół szyi, rozchodzącą się na szwach, długą kurtkę z ciepłą podpinką i wysokie, sięgające niemal kolan kalosze. Przesłupuje z nogi na nogę, żując nerwowo gumę.

— Co tam, Monty? Wcześniej dziś wyszedłeś. Samolot zniknął. Monty kiwa głową, ale nie odpowiada.

— Może powiedziałbyś psu, żeby się uspokoił? Hej tam! Dobry pies. Nie wydaje mi się, żeby twój pies mnie lubił.

— Odejdź, Simon.

Mężczyzna kiwa głową, pocierając ręce.

— Jestem głodny, Monty. Obudziłem się godzinę temu i już byłem głodny.

— Nic nie mogę na to poradzić. Idź na Sto Dziesiątą.

— Sto Dziesiąta? Daj spokój, jestem w porządku. — Sięga do kieszeni i wyciąga zwitek pięciodolarowych banknotów spiętych gumką.

— Zabierz to — rzuca Monty. Doyle warczy ostrzegawczo.

— Dobra, dobra. Mówię tylko, że nie szukam darmowej działki.

Monty spogląda przez rzekę na latarnię morską.

— Jestem skończony, słyszysz?

Simon pokazuje rząd malutkich strupków na swojej szyi.

— Spójrz na to. Zaciałem się rano przy goleniu, cztery razy! Ręce mi się trzęsą. Daj spokój, Monty. Pomóż mi. Tutaj. Nie mogę iść do Harlemu, spójrz na mnie. Kogo ja znam w Harlemie? Wypatroszą mnie

tam. Będę tam jak Jeny uciekający przed Tomem. Potrzebuję mojego sera, Monty, potrzebuję mojego sera! Jestem na głodzie, rozumiesz?

Po długiej ciszy Monty wstaje i podchodzi do mężczyzny, coraz bliżej, aż wreszcie ich twarze dzieli od siebie tylko kilka cali.

— Masz mnie zostawić w spokoju, przyjacielu. Powiedziałem ci, że już w tym nie siedzę.

Doyle wacha buty Simona i podnosi łeb, sunąc pyskiem po jego nodze. Mężczyzna odskakuje pół kroku, starając się trzymać z daleka od przerażającego go psa.

— O czym ty mówisz? Martwisz się, że cię wrobię? Spójrz na mnie, człowieku. Wiesz, kim jestem.

— Nie słuchasz mnie. Jestem spalony. Gra skończona, więc odwróć się i idź do domu, do swojej matki prawniczki albo na Sto Dziesiątą ulicę, albo gdziekolwiek chcesz, tylko zostaw mnie, do cholery, w spokoju.

Simon mruga i, cofając, potyka się. Próbuje się śmiać, spogląda za siebie i w dół na Doyle'a, pocierając jego nos wierzchem dłoni.

— Pięć lat do ciebie przychodziłem. W porządku, nie ma problemu. Idę. Nie musisz być taki nieprzyjemny.

Pies rwie się do biegu, ciągnąc smycz. Monty podąża za nim, mijając betonowe szachownice, przy których latem często stawali, żeby obserwować pojedynki. Mały Vic tutaj grywał; Mały Vic, który był wielkim mistrzem na Wyspie Rikera, dopóki Rosjanie nie złapali go na oszukiwaniu i nie zniszczyli go w czterech prostych grach. Dziś jednak jest zbyt wczesny, zimowy poranek i szachiści nie uderzają w swoje zegary. Siedzą w domach i jedzą śniadania.

Monty idzie z psem na zachód. Zatrzymuje się przy płocie, by

popatrzeć, jak nastolatki, korzystając z ciepłej pogody, grają w kosza przed pójściem do szkoły. Doyle obwąchuje obsikany wczoraj słup. Monty ocenia grających szybko, dokładnie i pogardliwie. Pamięta soboty, w które wraz z czterema kumplami okupowali to boisko, wygrywając grę za grą, dopóki przegrani nie odchodzili sfrustrowani. Pamięta sierpniowe popołudnia, kiedy każdy rzut z wyskoku był automatyczny, kiedy mógł z zamkniętymi oczami zlokalizować każdego członka drużyny i posłać mu piłkę tak lekko, jak lekko całuje się pannę młodą.

Mężczyzna i pies idą w dół schodami prowadzącymi do centralnego Parku Carl'a Schurz'a. Kwadrat, wyłożony czarną kostką, otoczony jest dwoma rzędami karłowatych miłorzębów z liśćmi w kształcie japońskich wachlarzy. Starsi ludzie, korzystając z dobrej pogody, zgromadzili się na ławkach. Rzucają okruchy ptakom, czytają ostatnie strony „*Post*”, jedzą ziemniaczane chipsy. Czarne kobiety wożą białe dzieci w spacerówkach. Oblupane głazy, pobazgrane na kolorowo, służą jako punkty orientacyjne na zboczach okalających plac: MIKO+LIZ, 84 BOYS, LOWLITE CRUZERS, SANĘ SMITH. Sanę Smith tu był. Sanę Smith był wszędzie. Sanę Smith nie żyje, skoczył z Mostu Brooklyn. Tak przynajmniej Monty słyszał. Najwyżej notowany wśród nowojorskich artystów graffiti — wypisał swoje imię na billboardach, na barierach autostrad i na zbiornikach wody, wszędzie: od Far Rockaway do Mosholu Parway, od Zatoki Shipshead do Forest Hills, od New Lost do Lenox. Przez następne kilkaset lat będą zeskrobywać jego imię ze ścian.

Doyle zatrzymuje się, by zbadać skarby zgromadzone w koszu na śmieci, zrobionym z pomarańczowej, drucianej siatki, ale Monty ciągnie go naprzód. Gdy czekają na zmianę świateł na East End, wymija ich z

łoskotem samochód strażacki z siedzącymi w nim grubokościstymi, pewnymi siebie mężczyznami, przygarbionymi i gotowymi do akcji. Monty patrzy, jak czerwony wóz znika, kierując się na północ. Mógłbyś być świetnym strażakiem, mówi do siebie. Zamiast tego jest tutaj. Spacerując z psem po Yorkville, przygląda się wszystkiemu, próbując wychwycić każdy detal: sposób, w jaki rozgrzany asfalt ściele się na ulicy jak czarne masło, sposób, w jaki tylne światła samochodów migają i znikają za zakrętem; sposób, w jaki jasne okna w górze, nad ulicą skrywają ludzi, których nigdy nie spotkał.

Mija restauracyjkę na Drugiej Alei. Piękna dziewczyna, siedząca za kontuarem, uśmiecha się do niego, opierając podbródek o menu. Jest już za późno — ona nie może już pomóc. Za dwadzieścia cztery godziny Monty wsiądzie do autobusu, który zabierze go do Otisville. Jutro w południe zrzeknie się swojego imienia na rzecz numeru. Piękna dziewczyna jest przekleństwem. Jej twarz będzie prześladować go przez siedem lat.

## ROZDZIAŁ DRUGI

**ZNOSEM PRZYCIŚNIĘTYM DO** szyby okna, Slattery zastanawia się, jak blisko rzeki Hudson wylądowałby po dobrym skoku. Stoi na trzydziestym drugim piętrze. Załóżmy, że każde piętro ma dziesięć stóp, odległość między stropem a kolejnym piętrem to dwie stopy. 320 plus 64 równa się 384, co daje wysokość 384 stóp. A jaka odległość dzieli budynek od rzeki? Powiedzmy 300 stóp. 384 stopy w pionie, 300 stóp w poziomie przy przeciwprostokątnej wynoszącej... Slattery marszczy brwi. Chwileczkę. Skok z okna to nie będzie lot ślizgowy po przeciwprostokątnej. Gdy tylko wytraci pęd, ciężenie zacznie ściągać go ku ziemi. A więc byłby to skok na 300 stóp.

Najpierw musiałby stłuc szybę krzesłem i wystartować spod klimatyzatora na przeciwległej ścianie; pozwoli mu to na sprint na dystansie dwudziestu jardów. Najważniejszy jest wybór odpowiedniego momentu odbicia: o chwilę za wcześnie lub za późno, a zawadzi stopą o framugę okna, z zawstydzoną miną potknie się o jej krawędź i ostatnią rzeczą, jaką usłyszy będą gwizdy i śmiech.

Nie, żebym się tym przejmował — myśli Slattery. Mógłby biec najszybciej, jak potrafi, skoczyć w najwłaściwszym momencie, złapać silny wiatr w plecy — rzeka i tak jest za daleko.

Nigdy nie dotarłby do wody, nigdy nawet by się do niej nie zbliżył. Uwieńczeniem jego wysiłków byłaby kolorowa plama na szarym betonie. Przechodnie znajdujący się poniżej zapamiętaliby trajektorię jego lotu; dziwne ruchy nóg naśladujące olimpijskich skoczków w dal. Ale to beznadziejne — taki skok do Hudson. W parę chwil po jego upadku,



maklerzy skupieni wokół zbitej szyby, powróciliby do swoich biur i zaczęli wymyślać dowcipy. W ciągu paru minut, wszyscy pracownicy banków inwestycyjnych na Manhattanie znalazłyby jego historię, skondensowaną do krótkiej wiadomości — zwięzłej i wyczelowanej tak, by można ją było opowiadać rodzinie i przyjaciołom: Slattery — mokra plama.

Rozmyślając o tym, lekko uderza głową o szkło i prostuje się. Wszystkie te chorobliwe fantazje mogą być przedwczesne. W końcu — przekonuje sam siebie — ma najlepsze wyniki na piętrze. Żaden inny z maklerów w jego dziale nie zarobił tyle dla firmy. Jeśli pominąć niepowodzenia z początku lipca, ten szereg rozpaczliwych manewrów (jaki zawodnik nie miewa okresowych załamania formy?), jeśli pominąć te dwa tygodnie — Slattery jest miejscową gwiazdą, prawdziwym zaklinaczem deszczu, Hankiem Aronem trzydziestego drugiego piętra. Już za godzinę będzie po wszystkim.

Bładoniebieskie światło kreśli łuk nad czarną rzeką, w miarę jak słońce wznosi się za Slatterym i zaczyna z wahaniem oświetlać brzegi Jersey. Wschodzi nad Brooklynem — myśli, stukając pięścią w szkło. Spieprz tę transakcję, a wracasz na Brooklyn. Żegnaj apartamencie w West Willage, witaj mamie, tato, Eoin i ciociu Orlo z pieprzonego okręgu Wicklow. Ta wiedźma ma zawsze aktualne informacje o wszystkich zdarzeniach na całej planecie. Ciotka Orla potrafi zawsze wyrazić swą gorzką opinię na temat wszelkich konfliktów, jakie kiedykolwiek miały miejsce w burzliwej historii. Wystarczy wspomnieć o sporze agrarnym w starożytnej Sumerii, a Orla staje po stronie trzeciego świata; obrzuca wrogów obelgami, skandując błogosławieństwa pod adresem uciskanego

sojusznika i przypisuje sobie odległe związki z Akkadyjczykami, czy kimś tam, bo czyż nie byli to uciskani od wieków Irlandczycy Mezopotamii?

Każda transakcja jest dla Slattery'ego jak wybór między dwójgim zamkniętych drzwi. Naciśnij niewłaściwą klamkę, a wpadasz w pułapkę i wracasz do Bay Ridge, do nocowania z przygłupim młodszym bratem, śniadań z wiecznie zagniewaną Orlą, z szybko blaknącym mirażem trzydziestego trzeciego pietra oraz tatą — poklepującym cię po plecach i mówiącym, żebyś się nie martwił. Karta związkowa to pryszcz, jak się ma za kuzyna operatora dźwigu.

Slattery wraca do swojego biurka i siada z rękoma założonymi za głowę. Wpatruje się w rzędy cyfr wędrujących po ekranach jego siedmiu monitorów. Wciska kilka klawiszy i liczby w jednej z kolumn zatrzymują się w bezruchu — dzisiejsze zamknięcie na giełdzie w Hong Kongu. Slattery pociera podbródek zaciśniętą pięścią i spogląda na wiszące na ścianie zegary, które pokazują dokładny czas w Tokio, Hong Kongu, Frankfurcie, Londynie i Nowym Jorku, gdy tu na Wschodnim Wybrzeżu jest 7:57. Jeszcze pół godziny i liczba będzie znana. Sala maklerska szumi, słysząc niski, nerwowy pomruk, jak w każdy ostatni czwartek miesiąca. Ktoś zarobi dziś duże pieniądze, ktoś straci duże pieniądze.

Slattery ma podkrążone oczy. Co rano budzi się o piątej trzydzieści i pokonuje dziesięć wyimaginowanych mil na swym stacjonarnym rowerze. Godzinę później przybywa do biura, sadowi się przed całą tą elektroniką i patrzy na siedem ekranów, poszukując informacji — wskazówek, które mógł przeoczyć poprzedniego popołudnia.

Brązowe loki zaczęły już powolny odwrót z jego czoła. Slattery był niegdyś zapaśnikiem. Miał czterokrotnie złamany nos, pokancerowane

uszy, a jego przedni ząb wyszczerbił się podczas przypadkowego uderzenia w głowę, na drugim roku studiów. Jego kark jest nadal masywny, od czasów, gdy walczył na macie — nieproporcjonalnie szeroki w stosunku do reszty ciała. Od szkoły średniej nie może zapiąć górnego guzika u koszuli.

— Wyjdiesz z nami później?

Slattery unosi wzrok znad monitorów i kiwa głową Ari Lichterowi — swojemu przełożonemu, który zatrudnił go cztery lata temu — człowiekowi o pulchnej twarzy, zarumienionej po przejściu trzech przecznic od stacji metra, otulonemu w zimowy płaszcz, mimo że poranek jest wyjątkowo ciepły jak na tę porę roku.

— Jest mi pan winien dziesięć dolarów.

— A tak w ogóle, to dzień dobry. — Lichter grzebie w portfelu, i podaje Slattery'emu dziesięciodolarowy banknot.

— Nie chcę, żebyś połamał mi kciuki.

— Dziękuję szefie. Niech pan nigdy nie stawia na Sixers, ich nie da się wytrenować. Slattery zaciska szybko banknot między palcami. — Trochę za ciepło na ten płaszcz, nie?

— Myślałem, że później będzie trochę śniegu. Jeśli chcesz zacząć wydawać te wielkie pieniądze, to po pracy ludzie zbierają się u Sobiego, żeby obejrzeć mecz Knicksów.

— U Sobiego? — Slattery spogląda na szefa sceptycznie.

— Nadal próbuje pan z tą barmanką?

— Lubię to miejsce. Mają dobre piwo.

— O tak, mają najlepszego budweisera w mieście. Ta dziewczyna nie ma chyba jeszcze dwudziestu lat. Mogłaby być pańską córką, szefie.

Lichter potrząsa głową.

— Posłuchaj młody przyjacielu. Jestem grubym, szczęśliwym tatuśkiem z przedmieścia. I przestrzegam zasad. Ale chyba wolno mi popatrzeć?

— Niech mi pan jutro zda sprawozdanie. Wychodzę dziś wieczorem z przyjaciółmi.

— Jakaś okazja?

— Nie, nie to. Takie tam przyjęcie na mieście. Przypominając sobie o swych planach, Slattery odczuwa niepokój. Jak dotąd, skupienie się od rana na liczbach, ciągłe kalkulacje i przeliczenia, potrzebne w giełdowych spekulacjach, pozwoliły mu nie myśleć o Montym. Zastanawia się, co jego przyjaciel zamierza zrobić z Doylem. Ci dwaj są nierozłączni, odkąd Monty znalazł psa cztery lata temu. Monty ma trudności ze spaniem, gdy jego pitbull nie leży zwinięty pod drzwiami sypialni. Nie wystarczy zamknąć człowieka w celi, odebrać mu rodzinę, przyjaciół, miasto? Czy nie mógłby chociaż zatrzymać swojego psa? Jeśli Monty miałby Doyle'a, który lizałby go rano po twarzy i szczekał ostrzegawczo zawsze, gdy zbliży się ktoś obcy, Doyle'a, który by po prostu leżał na podłodze z głową między łapami, spokojny i zadowolony, patrząc swymi brązowymi ślepiami — może te siedem lat zleciałoby trochę szybciej.

— Jeszcze jedno — przypomina sobie Lichter. — Czy nadal trzymasz te wszystkie kontrakty?

— Tak. Czym się pan denerwuje?

— Nie podoba mi się to. Liczba podań o zasiłki dramatycznie spadła w ciągu ostatnich trzech tygodni.

— A więc wszyscy myślą, że jeśli liczba podań o zasiłki spadła,

zatrudnienie musi wzrastać.

— Pewnie tak myślą — potwierdza Lichter — ponieważ prawie zawsze to się sprawdza.

Slattery kiwa palcem na przełożonego.

— Prawie zawsze. Ale nie tym razem. Mam teorię.

— O, świetnie! Masz teorię. Każdy na tym świecie ma jakąś teorię, Frank. Jak pokonać rozdającego w oczko, jak obstawić konia, jak być asem na giełdzie. Ja też mam teorię. Chcesz ją usłyszeć? Moja teoria brzmi: „teorie są gównem warte”. Zrób mi tę uprzejmość i pozbądź się połowy, dobrze?

— Chce pan, żebym sprzedał pięćset kontraktów?

— Pięćset? Masz ich tysiąc? Slattery przytakuje z ociąganiem.

— Tak, szefie. Szybko pan liczy.

— Po sto tysięcy sztuka? Frank, daj spokój, człowieku, głęboko w to wdepnąłeś.

— Co? Dali mi upoważnienie do stu milionów. Chce pan...

— Tydzień temu — przerywa Lichter. — Podwyższyli ci limit tydzień temu, a ty zawsze musisz iść na maksa.

— Jaki sens ma zatem przyznawanie mi limitu, jeśli nie chcą, żebym z niego korzystał?

— Słuchaj, zmniejsz ilość o połowę. W porządku? Robisz świetną robotę, wszyscy to wiedzą. Obserwują cię. Za kilka miesięcy będę ci pewnie przynosił kawę. Ale teraz ciągle jestem twoim przełożonym i mówię ci: sprzedaj te kontrakty.

Ściska ramię Slattery'ego, po czym udaje się w kierunku swojego biura, wymieniając po drodze powitania z innymi maklerami na sali.

Marcuse wychyla głowę zza przepierzenia naprzeciw Slattery'ego.

— Lepiej zabierz się do tego, słoneczko.

Slattery milczy, stukając gniewnie w klawiaturę, by wyświetlić dalsze tabele i liczby. Marcuse pozostaje jednak, wsparty podbródkiem na przepierzeniu jak współczesny Kilroy.

— Nie widzę, żebyś podnosił słuchawkę — dodaje. — Czy Lichter nie kazał ci sprzedać? Zdaje się, że wstrzymali ci kieszonkowe.

Slattery mruży oczy, lecz nadal przygląda się ekranom, udając, że nie zauważa drwin. Niezniechęcony Marcuse ciągnie dalej: — Nie zamierzasz chyba sprzeciwić się jednoznaczному poleceniu, prawda? Możesz za to pójść w odstawkę i przez lata każą ci zmywać gary.

— Mógłbyś się odczepić i dać mi popracować, dobra? Nie przychodzę do twojej sypialni i nie mówię ci, jak masz pieprzyć swoją żonę, prawda?

Marcuse udaje, że ociera łzę.

— Myślałem, że lubisz moją żonę?

— Lubię twoją żonę. Jej największa wada to fakt, że wyszła za ciebie.

— Robisz się trochę złośliwy, co, Frank? Słuchaj, jestem po twojej stronie. Wszyscy robimy w tym samym zespole, nie?

Slattery odjeżdża w tył na swym fotelu i spogląda w górę na Marcuse'a.

— Mam robotę, więc zrób mi uprzejmość, dobra? Po prostu zrób mi tę uprzejmość i zamknij się. Co będzie, to będzie; ciebie to nie dotyczy.

— Masz to jak w banku, Frank — rzuca Marcuse, mrugając. — Daj im popalić.

Jeśli to nie wyjdzie, myśli Slattery, przeskoczę przez przepierzenie i złamię mu ze trzy żebra. Pocieszę się okładając go pięściami, dopóki nie przyjdą ochroniarze i nie wyrzucą mnie za drzwi. Inni na tym piętrze na pewno nie będą mi w tym przeszkadzać. Większość nie znosi Marcuse'a — od recepcjonistek po wiceprezesów. W oczach firmy rehabilituje go jednak fakt, że przynosi jej wysokie zyski. Jeśli Charlie Manson wykazałby się talentem w dobieraniu akcji lub zbywalnych obligacji, każdy dom maklerski na Wall Street starałby się go pozyskać, składając mu ekstrawaganckie oferty.

Slattery zamyka oczy i ściska grzbiet nosa. Wie, że to fatalnie („Nigdy nie dopuszczaj do tego, by sprawy osobiste odrywały cię od gry w numerki”), lecz jak zignorować Marcuse'a — człowieka przekonanego o tym, że jego wzlot zależy od upadku Slattery'ego? Znacznie łatwiej byłoby przeskoczyć przez to przepierzenie, złapać go za gardło i zażądać szacunku. Odrobina przemocy, która złagodziłaby nieco presję cywilizowanego wychowania, to wszystko.

Slattery nie umie sobie odpuścić. Nocami często śni mu się zemsta za oszczerstwa — rzeczywiste lub wyimaginowane. Budzi się z uczuciem satysfakcji i słuszności, po to tylko, by uzmysłwić sobie, że wymierzenie sprawiedliwości było czystą fantazją, a źli są nadal niepoprawni. Każdemu mężczyźnie zdarzyło się nie podjąć walki, gdy powinien był to zrobić. Pewnego razu, gdy Slattery pił w barze, w porze zamykania, bramkarz powiedział mu — Już czas. Wychodź.

— Pozwól, że dokończę piwo.

Bramkarz wytrącił szklankę z ręki Slattery'ego. — Już skończyłeś. Nadeszli dwaj inni, duzi mężczyźni i stanęli po bokach kolegi.

— I po co to, kurwa, zrobiłeś? — spytał Slattery.

— A co mi zrobisz? — zapytał bramkarz. Slattery nie zrobił nic. Wyszedł z baru i poszedł do domu. Od tej pory stale ma o to do siebie pretensje.

Albo ten człowiek o oczach szaleńca w metrze, który zaczął przeklinać, gdy Slattery przypadkiem nastąpił mu na nogę. Slattery natychmiast przeprosił, lecz facet zbliżył swoją wilgotną twarz do jego oczu.

— Chcesz ze mną zacząć, skurwysynu? — Slattery odwrócił się i odszedł. Mężczyzna wrzeszczał za nim: „Tak myślałem, skurwysynu. Lepiej uciekaj!”

To było dziesięć lat temu. Slattery miał siedemnaście lat. Każdy rozsądny nowojorczyk odszedłby, unikając bójk (,Nigdy nie bij się w metrze; nigdy nie walcz z wariatem".), lecz fakt, że postąpił racjonalnie, nie pociesza Slattery'ego. Wielokrotnie odtwarza to zdarzenie w myślach, wyobrażając sobie najlepszą odpowiedź — doskonały prawy sierpowy, idealne powalenie przeciwnika, świetne uderzenie głową. Człowiek o szalonych oczach odszedł jednak bez szwanku.

Slattery marzy o kręgu, wymalowanym na betonie, pośrodku pustyni. I żeby na mile wokół nie było żywej duszy — tylko on i szczerzące się w uśmiechu demony. Marzy o okazji, by walczyć z każdym z nich po kolei — bramkarzem, człowiekiem o oczach szaleńca, z nimi wszystkimi — aby ich złamać i upokorzyć, lub nawet przegrać walkę, lecz zrobić to z godnością i zyskać sobie szacunek wszystkich tych mężczyzn, którzy mu go nie okazali. „Chcę spokoju” — myśli późno w nocy. „Chcę spokoju”. Zaraz potem śni mu się walka na pięści.



Nawet w chłodnym, sterylnym otoczeniu biur banku, te brutalne marzenia przeszkadzają mu się skupić. Siłą woli zmusza się, by powrócić do liczb, niekończących się notowań i symboli walut. Sprawdzając opłacalność, obliczając procenty, analizując wszystko drobiazgowo zaczynasz zapominać o ogromie transakcji, o tym, że każdy wzrost lub spadek kursu o ułamek procenta to równowartość posiadłości przy klifach w Engelwood. Slattery nie ma czasu na takie rozważania. Zaczynij podziwiać ogrom lasu, a walniesz łbem w drzewo. To kara za błąd perspektywy.

Slattery uważa się za kryptologa, spędza całe godziny rozszyfrowując niekończące się szeregi informacji. Wyniki rynkowe, stopa inflacji, prognozy ekonomistów, deklaracje polityków, poziom zapasów, warunki meteorologiczne, zmiany nastrojów konsumentów — wszystko to ma ważne znaczenie przy ustalaniu wyniku. Jak uczony kabalista, który studiuje księgi Mojżesza w przekonaniu, że w każdej literze zawarte jest proroctwo, Slattery skrupulatnie bada wybrany przez siebie tekst. Nie dopuszcza myśli, że jakakolwiek inna interpretacja liczb mogłaby być słuszna. Nikt poza nim nie jest wtajemniczony w te kalkulacje, jego wzory, zawiły system opracowywania prognoz.

Phelan — nowy chłopak, osiem miesięcy po studiach, przechodzi obok z kubkiem kawy, machając kartką z faksu.

— Sollie spodziewa się wysokiej liczby: dwustu, może dwustu dwudziestu. Tak mówią.

— Pieprzyć Solliego — mówi Slattery.

Phelan zatrzymuje się, mruga, spogląda w dół na arkusz faksu i ponownie na Slattery'ego.

— Pieprzyć Soliego?

— Nikt nie zamierza robić nam przysług, Phelan. Nie dadzą nam niczego, co ich zdaniem moglibyśmy wykorzystać. Nosisz koszulę w paski i krawat w paski.

Phelan ogląda swoje ubranie.

— Tak. To źle?

— Wyglądasz jak pieprzone złudzenie optyczne. Odejdź. O ósmej dwadzieścia rozpoczyna się obrót pośrednimi kontraktami terminowymi.

Na parkiecie zaczyna się gwałtowny ruch, wszyscy wykrzykują zlecenia do telefonów, przywołują liczby na ekrany komputerów, spoglądają ukradkiem na noszącego muszkę sprawozdawcę telewizyjnego, który poda informację o wysokości zatrudnienia. Slattery podnosi telefon i zaczyna mówić do sygnału w słuchawce.

— Slattery! — Lichter stoi w drzwiach swojego biura, prawdziwego biura ze ścianami i oknami. — Dobrze nam idzie?

Slattery kiwa głową i pokazuje uniesiony kciuk, nie przerywając udawanej rozmowy. Jeśli okaże się, że wskaźnik wyniesie dwa dwadzieścia, oblicza, stracimy półtora miliona — równowartość zarobków ojca w ciągu całej jego kariery, wyparuje wynagrodzenie za czterdzieści lat pracy. Ignoruje człowieka odczytującego telewizyjne wiadomości. Liczba pojawi się na głównym ekranie Slattery'ego dokładnie w chwili, w której będzie znana. Prostuje lewą nogę i czuje skrzypienie w kostce; odkłada słuchawkę i czeka.

Marcuse ponownie wychyla głowę, a Slattery ma ochotę walnąć tego żalostnego sukinsyna pałką w łeb jak małą fokę.

— Dobrze, że pozbyłeś się tych papierów. Chyba szykuje się bardzo

wysoki wskaźnik.

— Chcesz się o to założyć? Marcuse uśmiecha się szeroko.

— Myślę, że już to zrobiliśmy.

— Mały zakład na boku, tylko ty i ja.

— A o ile?

— Nie chcę twoich pieniędzy — mówi Slattery. — Przegrany musi czyścić buty zwycięzcy, tutaj na sali, co poniedziałek, przez cały luty. Przy wszystkich. Będziesz czyścił moje buty na kolanach.

— Przez cały miesiąc?

— Poradzisz sobie; to najkrótszy miesiąc w roku. Wchodzisz?

Marcuse zastanawia się przez chwilę, żując gumkę ołówka.

— Jakie będą widełki?

— Powiedzmy jeden dziewięćdziesiąt.

— No... nie. Spodziewam się, że jeden osiemdziesiąt pięć. Slattery potrząsa głową.

— Jesteś skurwiol, Marcuse. Spodziewasz się dwa, dwa dwadzieścia. I wiesz o tym. Dobrze, powiedzmy, że będzie jeden siedemdziesiąt pięć.

Marcuse szczyrzy zęby w uśmiechu, wyciąga rękę, a Slattery potrząsa nią, doskonale zdając sobie sprawę z tego, że postępuje jak idiota. „Nigdy nie zakładaj się w złości”. Slattery przeciera monitory do czysta chusteczką higieniczną i stuka w bok klawiatury. Zamyka oczy i siłą woli stara się sprawić, by liczba była niska. Jeśli wypadnie jeden osiemdziesiąt, nie będzie źle, nawet jeśli przegram ten głupi zakład. Stracę na tym, ale strata nie będzie taka duża; Lichter mnie objedzie, ale nie będzie najgorzej. Jak będzie dwa dwadzieścia, to gdy nadejdzie lato, będę podnosił szalunki,

siedząc w kabinie dźwigu.

Przez piętro przetaczają się zmieszane jęki i okrzyki. Slattery otwiera oczy, gapi się w monitor, potem mruga i spogląda na ekran telewizyjny, by się upewnić. Zza przepierzenia słyszy Marcuse'a wrzeszczącego do telefonu. Po drugiej stronie sali ktoś krzyczy: „Zostaw to Schultz, wycofaj się z tego do jasnej cholery!” Ktoś inny: „Ale będzie jazda!”

W styczniu utworzono tylko sto trzydzieści osiem tysięcy nowych miejsc pracy — o jakieś siedemdziesiąt tysięcy mniej niż przewidywano. Slattery patrzy oszołomiony na ekran swojego komputera, na którym ceny obligacji skarbowych pną się w górę bez opamiętania. W ciągu dziewięciu minut kontrakty na zakup obligacji podskoczyły o dwa punkty Slattery telefonuje i opiera się o swój fotel, z trudem przelękając ślinę. Tysiąc kontraktów po tysiąc dolarów sztuka. Pozycja sto milionów dolarów. Dwa pełne punkty. Dwa miliony dolarów zysku w dziewięć minut.

Wstaje i chwieje się lekko, mrowie jasnych świetlistych plamek tańczy mu przed oczyma. Wyczuwa, że Marcuse kuli się za swym przepierzeniem, czekając aż Slattery zacznie tryumfować, lecz on jest zbyt wdzięczny, zbyt wielką odczuwa ulgę, by myśleć teraz o Marcusie. Wychodzi powoli z wielkiej sali, pozostawiając za sobą panującą w niej histerię. Idzie do oddalonej części budynku, do okien z widokiem na wschód. Brooklyn zasłaniają rzędy wysokich budynków, lecz Slattery wie, że tam jest i czeka skulony. Zamyka oczy i całuje szybę.

## ROZDZIAŁ TRZECI

**TURCY ZWYKLI BYLI** przywiązywać metalowy koszyk do krocza jeńców wojennych. Z żywym szczurem w środku. Możesz to sobie wyobrazić? Co szczur mógł robić? Wygryzał sobie drogę na wolność przez mosznę, ścięgna, tłuszcz. Wyobraź sobie jego wilgotny od wnętrzości, szpiczasty łebek wynurzający się z brzucha więźnia. — Anthony LoBianco śmieje się. — Nikt nie chciał toczyć wojny z Turkami.

Jakob pisze czerwonym tuszem 73 na górze pierwszej strony testu i przepisuje ocenę do dziennika. Sprawdza zegarek, wkłada skuwkę na pióro, kładzie papiery na sofie i odwraca się do LoBianco, który siedzi na drugim końcu wydziałowego pokoju, koło zgaszonej lampy. Jego szare włosy przycięte są króciutko przy skórze, a długie płatki uszu zwisają nad wąskimi ramionami. Tablica informacyjna za jego plecami zapełniona jest ogłoszeniami: spotkania wydziału, poszukiwania partnera do tańca, resztki rozkładu jazdy autobusów, tygodniowy jadłospis.

— Dlaczego siedzisz po ciemku? — pyta Jakob.

— Żeby ustrzec się przed czytaniem — mówi LoBianco, wymachując plikiem studenckich wypracowań w niebieskich zeszytach. — Jeszcze jeden akapit o heroizmie Atticusa Fincha, a dostanę nerwicy. Trzydzieści lat uczę o tej książce. Chciałbym napuścić Turków na Harper Lee. Byłoby na co popatrzeć. Jestem pewien, że oni mieli jakąś specjalną technikę dla kobiet.

Jakob jeździ nieprzyciętym paznokciem po zagłębieniach beżowej, sztruksowej sofy. Ma na sobie stary, za duży o jeden rozmiar, tweedowy blezer ojca, ubrudzony na łokciach smugami kredy. Trzydzieści lat —

myśli. Trzydzieści lat podzielonych na trymestry i szkolne wakacje, trzydzieści lat obiadów w stołówce i niesmacznej kawy, zostawania po zajęciach i spotkań wydziału. Życie podzielone na okresy.

Na korytarzu dzwoni dzwonek i szkolny budynek wypełnia się hałasem, stukotem obcasów o linoleum, krzykami niewychowanych chłopaków zbiegających w dół klatki schodowej, zaimprovizowanym chórem dziewczyn śpiewających w holu piosenkę z telewizyjnego serialu.

— Posłuchaj — szepce LoBianco — małe potwory są na wolności.

— Powiedz mi jeszcze raz, Anthony. Dlaczego zostałeś nauczycielem?

— Z powodu wielu okazji do molestowania nieletnich. Jakob śmieje się i potrząsa głową.

— Kiedy byłem studentem, zawsze byłem ciekaw, o czym wy tam rozmawiacie. Dochodziłem do wniosku, że o czymś wzniosłym. O poezji. Gdyby Deering usłyszał ten twój żart... — wykonuje palcem gest podrzynania gardła.

— Nie mogą mnie zwolnić. Jestem tu jedynym, który wie, jak uczyć gramatyki.

Drzwi otwierają się i do pokoju wchodzi dziewczyna z pomalowanymi na czarno oczyma.

— Hej, Elinski, muszę z tobą porozmawiać.

— Słyszał pan pukanie, *panie* Elinski?

— Właściwie nie, panie LoBianco — odpowiada Jakob.

— Panno D'Annunzio, nie byłaś zaproszona. Proszę odejść.

— Jezu Chryste. — Drzwi zatrząskują się. Słysząc pukanie.

— Kto tam? — pyta Jakob.

— Mary.

— Jaka Mary? — Cisza. Jakob wzdycha. — Ona nie może się nauczyć. Wejdz.

Mary wchodzi do pokoju i staje ponuro w drzwiach.

— Ah, Mary *D'Annunzio*. Co za niespodzianka!

— Czy masz chwilę, Elinski? — Dziewczyna zerka na kaszłącego głośno LoBianco i odwraca wzrok. — *Panie* Elinski?

Jakob uśmiecha się.

— Pewnie, oczywiście. A o co chodzi?

— Chciałam o coś spytać.

— Dobrze. Chodźmy do mojego biura. Panie LoBianco, spotkamy się na kawie za pół godziny?

— Nie, lepiej za godzinę, panie Elinski. Muszę porozmawiać z panem Deeringiem.

Biuro Jakoba to klasa dzielona z innym nauczycielem. Zardzewiały kaloryfer bulgocze pod oknem. Tablica pokryta jest krzywymi wyrazami — trzy lata Jakob pracuje jako nauczyciel angielskiego i nadal nie potrafi obchodzić się z kredą. Na tablicy informacyjnej, ponad wybranymi pracami studentów, wisi przypięta fotografia Majakowskiego przemawiającego do tłumów.

— Dobrze. — Jakob siada na brzegu swego biurka, wskazując Mary krzesło.

Próbuje przybrać surową minę, ale wie, że to daremny trud. LoBianco potrafi uciszyć rozkrzyczaną klasę podnosząc brew, a Jakob pragnie wybiec z sali, gdy jego pierwszoklasiści zaczynają kląć i rzucać przez okno papierowe samolociki. — Co mogę dla ciebie zrobić?

— Chcę wiedzieć, dlaczego dostałam cztery z plusem za to opowiadanie.

— Dobra, po pierwsze...

— W tej klasie nikt poza mną nie potrafi pisać — przerywa Mary, wodząc palcem po nazwach punk-rockowych zespołów, wypisanych srebrnym flamastrem na segregatorze, który trzyma na kolanach. — Wie pan o tym, więc niech pan nie zaczyna...

— Nie przejmuj się innymi. Nie rywalizują z tobą.

— Taak — Mary chrząka — ale *ja* z nimi rywalizuję. Kiedy składam papiery na studia — może słyszał pan o czymś takim — to tam patrzą na te rzeczy, które nazywają ocenami. I jeśli oceny nie są dobre...

— Twoja ocena będzie dobra. Posłuchaj, Mary, dlaczego...

— Widzi pan, ja nie chcę dobrego stopnia. Piszę najlepiej w tej klasie. I zasługuję na najlepszą ocenę. A to, co to jest? Cztery z plusem? Wszyscy inni piszą o swoich feriach bożonarodzeniowych, a pan mi stawia cztery plus?

Orzechowe oczy Mary toną w cieniach do powiek. Jakob zastanawia się, dlaczego ona i jej przyjaciele preferują styl tak makabryczny, jakby ich wzory były wzięte nie z pierwszych stron czasopism, ale z lodówek miejskiej kostnicy. A jej włosy! Kiedy ona je ostatnio myła?

— Słuchaj — mówi Jakob — chodzi o to, że oceniam twój własny potencjał. Poprzednie twoje opowiadania były uważniej skonstruowane. A to wydaje mi się słabsze.

— To, co pan mówi znaczy po prostu: „nie próbuj niczego nowego, nie eksperymentuj”.

— Nie...



— Bo jeśli napiszę coś, co różni się od pana wyobrażeń, zostanę ukarana. Przeciąga czarnymi, błyszczącymi paznokciami po plastikowym, niebieskim segregatorze. Na sekundę Jakob wyobraża sobie skórę swoich pleców zamiast niebieskiego plastiku.

— Ukarana? — śmieje się. — Nie nazwałbym czwórki z plusem karą.

— Vince Miskella pisze historię o swojej umierającej babci i stawia mu pan piątkę. Jak to jest? Współczuje mu pan? O to chodzi? Czy to była piątka spowodowana litością? Wszyscy zawsze piszą o swoich umierających babkach. A wie pan dlaczego? Wcale nie dlatego, że to jest tak cholernie traumatyczne. Dlatego, że to jest gwarantowane pięć. A tymczasem, wie pan, gdzie jest Vince wieczorem, w dzień pogrzebu babci? Upija się na imprezie futbolistów i poklepuje dziewczyny po tyłkach. A pan? Cały w sentymentach: „Oh, Vince, to było bardzo mocne, bardzo poruszające.” Nie, nie było. Mnie to nie obeszło, pana też, ani nikogo innego. To właśnie babki robią — umierają. A potem ich wnuki to opisują w szkole, a nauczyciele są zmuszeni postawić im piątki.

— Może to był sposób Vince'a na wyrażenie smutku — mówi Jakob, próbując nie spoglądać na dziury w jej podartych dzinsach, na jej blade kolana prześwitujące przez przetarty materiał. — Czasem faceci mają trudności z okazywaniem swoich, no wiesz, swoich emocji. — O czym ja bredzę? — zastanawia się Jakob.

— Czyli, klepiąc mnie po tyłku, Vince wyraża żalobę po babci?

Jakob zerka na otwarte drzwi sali. Denerwuje go cała ta rozmowa o klepaniu po tyłku. Przede wszystkim chciałby uciec — wie, że nigdy by jej nie dotknął, ale mimo to czuje się brudny — stary zboczeniec pożądamy

uczennic. Jest starym zboczeńcem już w wieku dwudziestu sześciu lat.

— Czasem ludzie upijają się, bo nie chcą myśleć o jakichś sprawach. Ale... — dodaje, bojąc się, żeby nie wyjść na adwokata alkoholików. — Ale to nie działa. Sprawa, o której nie chcesz myśleć, staje się w końcu jedyną rzeczą, o której *potrafisz* myśleć, a twoje myśli, kręcąc się wokół jednego tematu, robią się coraz głupsze i głupsze. — Jakob kiwa dwukrotnie głową, by potwierdzić logikę swego komentarza i próbuje sobie przypomnieć, co właśnie powiedział.

— Nieważne — mówi Mary. — Chodzi o to, że opowiadanie jest dobre. Może nie jest idealne, ale na pewno lepsze od któregoś z wręczonych panu opowiadań.

Jakob patrzy w dół na kruche nadgarstki Mary, z których jeden opleciony jest wytatuowaną girlandą róż.

— Co powiedziała twoja matka, jak sobie to zrobiłaś?

— Zrobiłam co?

— Tatuaż — mówi Jakob, wskazując jej nadgarstek. Mary przez chwilę spogląda na własną rękę.

— Powiedziała: „Skąd wzięłaś na to pieniądze?”

— Tak, i co?

— Co powiedziałam, czy skąd wzięłam pieniądze?

— Hm, co jej powiedziałaś, jak sądzę.

— Powiedziałam, że facet zrobił to za darmo.

— A zrobił?

— Nie. Dlaczego to pana tak interesuje? — pyta bardziej opryskliwie niż podejrzliwie.

— Po prostu jestem ciekawy.

— Czyli nie zmienia pan tej oceny?

— Nie, nie zmieniam — mówi Jakob, potrząsając głową.

— Świetnie. — Wstaje z krzesła i odgarnia niesforne włosy z czoła.

— To była wielka strata czasu.

— Posłuchaj, zamiast martwić się tak bardzo o stopień, moglibyśmy porozmawiać o samym opowiadaniu. Dobrze? Masz je przy sobie? Pokażę ci, co według mnie nie było w porządku, a ty będziesz mogła...

— Mam próbę generalną — rzuca, wychodząc z sali. Jakob słyszy, jak oddała się korytarzem w ciężkich, wojskowych butach.

Wszystko, czego ta dziewczyna potrzebuje, myśli Jakob, spoglądając na swoje niezręczne bazgroły na tablicy, to porządne lanie. Szczerzy się w uśmiechu na tę niemoralną myśl.

W godzinę później siedzi na stołku barowym koło LoBianco, zdmuchując pianę z piwa. To jeden z ostatnich, klasycznych lokali na Amsterdam Avenue, wykończony drewnianymi panelami, okopconymi papierosowym dymem przez dziesiątki lat i matowymi szybami. Kobiety rzadko tu goszczą. Jakob zgaduje, że starszy mężczyzna pytający o wolne miejsce jest gejem, ale ten lokal nie nadaje się do podrywania. Jest to bardziej poczekalnia, chociaż Jakob nie bardzo wie, na co się tutaj czeka.

— Co dzisiaj jest? — pyta. — Czwartek? Styczeń prawie się już skończył. Jeszcze cztery miesiące do czerwca. — Na głowie ma znoszoną, jankeską czapkę i ciągle dotyka jej ronda jak sędzia na trzeciej bazie, gdy sygnalizuje „uderz i biegnij”.

— Wypijmy za to — mówi LoBianco, pociągając spory łyk wódki z lodem. — Liczysz już dni do lata, tak?

Może LoBianco był kiedyś przystojny, ale to już minęło, utopione w

alkoholu i rozmyte w bladości życia oświetlanego jarzeniówkami. Jego twarz rzadko przybiera wyraz inny niż wyraz znużonej pogardy, jakby dopiero co skończył się szyderczo uśmiechać albo właśnie miał zamiar uśmiechnąć się drwiąco, albo jakby zdecydował, że drwina to i tak zbyt duży wysiłek i szkoda marnować energię dla otaczających go kretynów. Jakob wierzy, że stary mężczyzna, lata temu, ćwiczył przed lustrem mnóstwo min: "Więdnąca Pogarda, Półukryta Irytacja, Gasnąca Radość i w końcu wybrał Znużoną Pogardę jako najlepszą z wielu.

Jako były uczeń LoBianco, Jakob wiedział, jak zastraszająca potrafi być ta mina. Uczniowie w klasach LoBianco dzielą się na dwie grupy: cichą masę, zbyt przerażoną, by narazić się na kpiny i kilku odważnych, którzy podnoszą ręce i śmiało wyrażają swoje opinie na temat omawianego tekstu. Największa nagroda, na jaką może liczyć ta druga grupa, jest taka, że LoBianco przez chwilę obserwuje mówiącego, potem studiuje sufit i wreszcie wykonuje głową szybkie, pojedyncze skinienie aprobaty i czasem mruczy: „Tak, coś w tym jest. Interesujące." Takie potwierdzenie doprowadziłoby młodego Jakoba do drżenia i uważnie wpisałby własny komentarz do zeszytu, opatrując gwiazdką na znak szczególnej błyskotliwości.

Jezu, co za ironia, myśli teraz, oceniając swoją minę i przyglądając się lustrzanemu odbiciu własnej twarzy, wyglądającemu zza butelek whisky ustawionych na barze. Zauważa niezadowolony, że jego własna mina sugeruje Nerwowy Niepokój. "Wyglądam jak fretka, decyduje, barowa fretka w jankeskiej czapce. Marszczy nos i odsłania zęby. Normalny gryzoń.

— Czy fretki to gryzonie? — pyta.

— Czy fretki to gryzonie? Jak doszedłeś od czerwca do fretek?

— Nie sądzisz, że wyglądam jak fretka? LoBianco przygląda się jego twarzy i potakuje.

— Trochę.

— Więc D'Annunzio — mówi, dźgając w zamyśleniu kciuk. — Co o niej myślisz?

— Co *ty* o niej myślisz, Jakob? — uśmiecha się LoBianco.

— Wiesz co? Naprawdę wierzę, że kiedyś — mam na myśli za parę niezłych lat — będziemy siedzieć mówiąc: "Uczyłem *tę* Mary D'Annunzio angielskiego."

LoBianco milczy przez chwilę, obracając językiem kostki lodu. Miażdży je trzonowcami i oblizuje usta.

— Wiesz, o co mężczyzna nie musi nigdy pytać w sklepie z bielizną 'Victoria's Secret'?

— Nie. O co?

— Czy macie to również w dziecięcych rozmiarach?

— Co to ma znaczyć? — Jakob czuje nagły skurcz żołądka.

— To nic nie znaczy. To dowcip.

— Co to niby za dowcip?

LoBianco sięga po drugi koktajlowy mieczyk i wymachuje nim przed twarzą Jakoba.

— Czy uraziłem twój honor? Żądasz satysfakcji? Mamy się pojedykować?

— Nic nie ma pomiędzy mną a Mary D'Annunzio. LoBianco nie zwraca uwagi. Kłuje Jakoba w nogę i mieczyk pęka na pół.

— Och! Och, ty gnoju!

— Zamknij się. Jeszcze jedną wódkę proszę — zwraca się LoBianco do barmana — i jeszcze jedno jasne piwo dla naszego przyjaciela o dziewczęcej figurze.

— Ja krwawię — mówi Jakob, wpatrując się w malutką dziurkę w nogawce.

— Tak. Dobra, pij swoje piwo i zamknij się. — LoBianco spogląda na swój złamany mieczyk i wzdycha. — Każdy ma swoje problemy, wiesz? Każdy — dodaje znacząco.

— Domyślam się — mamrocze Jakob.

Czuje się teraz winny, martwiąc się o siebie. Rano Monty idzie do więzienia; Jakob próbuje to sobie wyobrazić. Sędzia w czarnych szatach odczytuje wyrok i masz siedem lat wyrwane z życia.

— Na przykład, czyż to nie dziś miałem wielkie spotkanie z Deeringiem?

— O czym ty mówisz? — Jakob podnosi głowę. LoBianco uśmiecha się.

— Dziś odbyło się moje wielkie spotkanie z Deeringiem. Wiesz, co mi powiedział? — LoBianco czeka, spoglądając na Jakoba. Wie, że już go zainteresował. — Wiesz?

Jakob spuszcza głowę i podnosi przyklejoną do ust papierową serwetkę. Robi wydech i serwetka spływa na podłogę.

— Co?

— Powiedział mi, że gdybym dobrze rozegrał swoje karty, to mógłbym być szefem katedry. O ja biedny. Wyobraź to sobie. Rozminąłem się z moim prawdziwym powołaniem. Cała władza, niezwykła odpowiedzialność. Mogłem być szefem Katedry Angielskiego — czyż nie

to właśnie było moim sennym koszmarem?

— Macbeth? — Jakob podnosi rękę.

— Źle — mówi LoBianco. — Wygłasza swój wykład z filozofii, od dziewiętnastu lat słyszę słowo w słowo to samo, od Sokratesa do Williama James'a. Potrafi mówić autorytatywnie na tematy, w których jest kompletnym ignorantem. — LoBianco przerywa, by pociągnąć łyk wódki. — Podziwiam to. Ale jego inne cechy już nie są takie pociągające.

— O nie. Nie zaczynaj...

— Ten złodziejski bękart! — ryczy LoBianco. — Siedzi sobie w swojej, umieszczonej w świetnym punkcie księgarni; ten mędrzec z San Francisco, ostatni spośród bitników. Poeta? Poeta?

To wielka, smutna historia z życia Anthony'ego LoBianco o tym, jak został ograbiony ze sławy przez Lawrence'a Ferlinghetti w 1958, w tawernie „White Horse”. Jak wieść głosi, młody Anthony pił z kumplami w tym znanym lokalu, gdy nagle objawiło mu się Słowo i Anthony, w gorączce inspiracji, przedzierając się pomiędzy pijanymi literatami, wyrwał zaskoczony kelnerce długopis i serwetkę, i nabazgrał swoje objawienie. Wróciwszy triumfalnie do kumpli, trzymając serwetkę w powietrzu, ogłosił: „Panowie, mam tytuł dla mojej książki.”

Jakiś nieznajomy odwrócił się do niego ze swojego miejsca za barem i zaczepił kpiąco — I jak on brzmi?

— Służę — i młody Anthony zadeklamował dumnie — *A Coney Island of the Mind*.

LoBianco nie pamięta, co wydarzyło się tamtej nocy, po fackie zaznajomienia mężczyzny z tytułem. Najwidoczniej koledzy, świętując jego geniusz, utopili go w whisky. Następnego dnia zaczął pisać swój

imponujący poemat i pracował w zapale przez kilka miesięcy. LoBianco opisuje to bardzo obrazowo, filmowo: nieogolony Poeta w podkoszulku wali w klawisze maszyny do pisania, na czwartym piętrze, przy Avenue A, przerywając tylko na papierosa wypalanego na schodach ewakuacyjnych, kiwając się w takt dźwięków saksofonu dochodzących z naprzeciwka; wszystko to na czarno-biało. W stylu Jack'a Kerouac'a. Pewnego ranka Poeta wraca do swego mieszkania z gazetą i plackiem ze szpinakiem, z greckiej knajpki. Wchodzi po brudnych schodach i czyta nagłówki środkowych stron — recenzja nowego tomiku wierszy, napisanego przez Lawrence'a Ferlinghetti, zatytułowanego: *A Coney Island of the Mind*. Poeta patrzy na artykuł (powiększony nagłówek w ładnej ramce), gniecie gazetę i ciska na półpiętro. Saksofon wyje. Ulatnia się nieodgadnione przeznaczenie.

To jest klasyczny przypadek ukaranej pychy, „boga w przebraniu” i Jakobowi się to podoba. Oczywiście jest w tym wszystkim jeden szkopuł — to nie może być prawda. Jakob, przeprowadziwszy dochodzenie, odkrył, że Ferlinghetti zaczerpnął tytuł z powieści, napisanej przez Henry'ego Millera na lata przed wydarzeniami w tawernie „White Horse”. Jakob nigdy nie ujawnia, że odkrył kłamstwo. Po części dlatego, że wydaje mu się, iż LoBianco uwierzył już w swój mit, a Jakob nie chce być okrutny dla starszego człowieka. Po części dlatego, że cieszy go odkryta tajemnica. To mu daje władzę nad jego byłym nauczycielem. LoBianco, tak błyskotliwy w niektórych sprawach, w innych jest całkiem głupi; nędzny łgarz, leniwy w fabrykowaniu kłamstw. Jakob wyobraża sobie pokonanego LoBianco, skazanego na zapomnienie, walącego pięścią w gigantyczny, głuchy posąg Ferlinghetti'ego. Jezu, Anthony, mogłeś wybrać lepszego



poetę.

— Wiesz, co mnie pociesza — pyta LoBianco — gdy o tym myślę?  
Jakob nie wie.

— Ten człowiek zdaje sobie sprawę, że jest oszustem. Za każdym razem, gdy spogląda w lustro widzi plagiatora. Myślisz, że on śpi spokojnie, ten fałszywy poeta? Na pewno nie.

Jakob myśli, że Ferlinghetti prawdopodobnie śpi niezwykle spokojnie, ale nie mówi tego.

— Deering, Deering, Deering... O czym to ja?

— Filozofowie — podpowiada Jakob. Ciągłe jesteśmy przy filozofach.

LoBianco podnosi swoją wódkę, wypija do dna i trzaska kieliszkiem o bar.

— Panie Deering, ty bluźnierczy, prawy tchórz; Sokrates nie umarł dla ciebie. Chociaż był właściwym człowiekiem do nauczania chłopców. Bez wątplenia. — Chwiejąc się, chwyta barowy stołek za nogi i symuluje seks analny. — Nachyl się, chłopcze. Pozwól mi zademonstrować ci metodę Sokratesa. Wyksztalił, wyedukował wszystkich dupków w Atenach. Dobry człowiek, dobry człowiek. Lepszy sodomita niż filozof. Więcej radości dla każdego.

Jakob zastanawia się, dlaczego nie wyszedł wtedy, kiedy trzeba było wyjść i zauważa, że wszyscy faceci w średnim wieku znajdujący się w pomieszczeniu obserwują to przedstawienie beznamiętnie, jakby już je widzieli i to w lepszym wykonaniu.

LoBianco próbuje usiąść, ale nie trafia w stołek; jego kolana uginają się i zaczyna tracić równowagę. Jakob rzuca się w kierunku starszego

mężczyzny, próbując chwycić go pod ramiona. Obejmując rękami klatkę piersiową LoBianco zauważa, jak kruchy stał się jego stary nauczyciel — tweedowa marynarka i kości. LoBianco mieszka przy Park Slope sam i nigdy nie nauczył się gotować. Kto go karmi? Zastanawia się Jakob. Żywi się pewnie szkolnymi darmowymi obiadami i daniami na wynos.

Uwalniając się od pomocnych rąk Jakoba, LoBianco siada tyłem do baru i ciężko opiera się o mosiężny wspornik biegnący wzdłuż kontuaru. Próbuje lekceważyć swój niedoszły upadek, ale Jakob zauważa kolor na jego twarzy i wie, że mężczyzna jest zakłopotany. Tym nie mniej LoBianco zachowuje się tak, by ukryć swoje upokorzenie.

— Nieprzeanalizowane życie nie jest warte przeżycia, bla, bla, bla. Dość prawdziwe. Ale żadne życie nie jest przeanalizowane; o tym nigdy nie powiedział.

Jakob potakuje, zastanawiając się, czy da radę zataszczyć przyjaciela do taksówki i czy taksówkarz zechce zawieźć pijanego do Brooklynu. Barman stoi na drugim końcu kontuaru i patrzy na LoBianco ze znudzoną irytacją.

— Oh, panie Deering. Kiedy samolot spada, panie Deering, kiedy dzieci się drą, kiedy stewardesy są przypięte do swoich foteli, mają zamknięte oczy i modlą się, kiedy pilot mówi przez radio, że kocha swoją żonę, kiedy starcy sikają w spodnie, a półki bagażowe pękają i walizki wypadają, kiedy samolot spada, a ziemia się zbliża — czy wtedy twoja filozofia cię pocieszy, panie Deering, czy może będziesz krzyczał tak, jak reszta z nas?

Skończywszy tyradę, LoBianco obrócił się na stołku, wychylił swoją wódkę i zamówił następną. Na sali było cicho, kiedy barman napełniał

kieliszek.

— Więc dlaczego chciał się z tobą widzieć? — pyta w końcu Jakob.

LoBianco kontroluje barmana jastrzębim wzrokiem, podejrzewając, że ten mógłby nalać mu za małą porcję.

— Hmm? A, tak. On mnie zwalnia.

— On, *co?*

LoBianco spogląda na Jakoba, marszcząc brwi.

— Nie możesz być zaskoczony. Mówiłem ci o tym już od tygodni, że koniec jest bliski.

— Ale. Ale jak on cię może zwolnić? Jesteś najlepszym nauczycielem w katedrze. Nikt inny...

— On właściwie mnie nie zwalnia. Po prostu nie chce na koniec roku przedłużyć mi kontraktu. Jestem kosztowny, Jakobie. Mogą przecież zatrudnić jednego z was — młodych studentów — za połowę tych pieniędzy, które płacą mnie.

— To nie w porządku, Anthony! Nie możemy na to pozwolić. Zbierzemy wszystkich nauczycieli i damy im do podpisania petycję. I wszystkich uczniów! Wszystkich uczniów i wszystkich wychowanków. On tego nie może zrobić. Nie, nie ma mowy.

— Dlaczego nie? To prywatna szkoła. Mogą robić, co chcą. Posłuchaj, to nawet lepiej. Miałbym uczyć o Harper Lee do samej śmierci? To bez sensu. Zakończę ten rok i będzie to mój ostatni rok. Nie będzie więcej niebieskich zeszytów z wypracowaniami do oceniania. Nie będzie już testów. Nie będę wreszcie miał plam z czerwonego tuszu na koszuli. Dość już tych stygmatów szkolnego belfra.

— Ale...

— Jakob, przestań. — LoBianco wstaje niepewnie i głośno woła: Panowie, proszę o uwagę! Mamy dziś tutaj kogoś specjalnego, młodego człowieka, który właśnie przed chwilą przeszedł z ciemnej strony na jasną i po raz pierwszy może dać upust swojej prawdziwej pasji.

— Odeślijcie go z powrotem w ciemność — krzyczy ktoś z ciemnego kąta.

— Cicho. Swoje fizyczne braki rekompensuje cechami... hmm, rekompensuje innymi cechami. Jest nieco zdenerwowany, trochę jak prawdziwa dziewica, ale sądzę, że przyjmiecie go uroczo, szczególnie, że przeszedł już emocje inicjacji.

— Dlaczego nie zamkniesz gęby, LoBianco?! — wrzeszczy ktoś inny. — Nie jesteś już śmieszny.

Te nowe ciosy bolą LoBianco, ale z buntowniczą wściekłością patrzy po barowej sali i warczy:

— Tu właśnie przychodzą umierać palanci! — Odwraca się jakby chciał cisnąć kieliszkiem, ale po zastanowieniu wypija wódkę do dna.

— Więc umieraj, LoBianco, i skończ już z tym — mówi głos z kąta. To jest jedno wyjście, myśli Jakob. Drugim są drzwi.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

**NATURELLE CZEKA NA** Montiego i zauważa go, gdy ten zbliża się do domu. Jej czarne włosy są zebrane z tyłu w prosty warkocz. Siedzi na schodach, trzymając na kolanach zamkniętą książkę. Gdy Monty się zbliża, dziewczyna podnosi się i staje na drugim stopniu w taki sposób, że jej oczy znajdują się na wysokości jego oczu. Całują się, ale on nie rozchyła ust. Ma za suche wargi. Doyle dziko wymachuje kikutem ogona i opiera przednie łapy na pierwszym stopniu schodów. Naturelle robi krok w dół, pochyla się i drapie psa za zmasakrowanym uchem, a Doyle zamyka oczy, liżąc ją swoim szorstkim językiem po nadgarstku. Słońce się schowało i powietrze stało się chłodniejsze.

— Czekaaś trochę? — pyta Monty, wyciągając z kieszeni klucze i idąc po stopniach na górę.

— Jak długo dziś spacerowaliście? Obudziłam się o siódmej, a was już nie było.

— Nie wziąłem zegarka. — Przytrzymuje dla niej otwarte drzwi wejściowe; za nią, podskakując, wślizguje się Doyle.

— Dlaczego siedziałaś tu na dole?

— Miałam książkę, a dzień był taki piękny — mówi, czekając w holu, aż Monty otworzy drugie drzwi.

— Rzeczywiście dzień był piękny — śmieje się Monty. Sprawdza skrzynkę pocztową, rzuca na kafelkową podłogę ulotki i podąża po ciemnych schodach za swoją dziewczyną i psem. Na półpiętrze łapie ją za rękę i sprawdza tytuł trzymanej przez nią książki.

— „*Jej własny styl: Życie Coco Chanel*”. Kto to? To ta od perfum?

— Była królową mody. Wszystkie białe damy zawsze chciały być białe, białe, białe. Ale Coco Chanel pewnego lata pojechała na Rivierę, a gdy wróciła do Paryża — była mocno opalona i wtedy nagle każdy chciał być opalony.

Monty kiwa głową i uśmiecha się, otwierając czwarty zamek w stalowych drzwiach swego mieszkania. Każdy zamek ma oddzielny klucz. Najlepszy włamywacz z pięciu okręgów potrzebowałby przynajmniej godziny, by wejść do środka; Monty wie to na pewno. Zapala światło, gdy wchodzi do mieszkania.

W przeciwieństwie do strasznej klatki schodowej, mieszkanie wygląda bardzo miło. Ma jedną, dużą sypialnię, drewniane podłogi, wysokie okna z widokiem na przybytki po drugiej stronie ulicy, a na ścianach wiszą w ramkach czarno-białe fotografie. Monty sam zrobił te zdjęcia, głównie widoki miasta; używał starego aparatu, który należał jeszcze do jego ojca. Monty jest niezłym amatorem, wystarczająco dobrym, żeby na rolkę filmu przypadało jedno wartościowe zdjęcie. Nad kanapą wisi duży portret szeroko uśmiechającej się i dzierżącej rzeźnicki nóż Naturelle. Tego wieczoru, kiedy powstał portret, dziewczyna rozzłościła się, bo Monty uparcie odmawiał zaprzestania masażu, gdy zadzwoniła jej matka. Zagroziła mu wtedy, że wytnie mu serce. Właściwie krzyknęła: „Wytnę ci serce!” — stojąc z tymi swoimi malutkimi, zaciśniętymi pięściami, a on zaczął się histerycznie śmiać i tarzać po podłodze.

Doyle szczekał, a ona zaczęła kopać Montiego w bok; jest mała, ale ma silne nogi. Monty prychnął, odturlał się od niej i dalej się śmiał, a Doyle szczekał jak szalony, nie rozumiejąc, co się dzieje. W końcu

Naturelle też zaczęła się śmiać, ale nadal go kopała, bo na to zasłużył i dlatego, że nie chciała, by pomyślał, że tak łatwo przebacza. Potem pobiegła do kuchni i wróciła z wielkim nożem, krzycząc: „Wytnę ci serce!” i oboje śmiali się. „Zrobię to! Wytnę ci serce i nakarmię nim Doyle'a!”

Monty własnoręcznie wywołał zdjęcie w mieszkaniu ojca w Bensonhurst, w garderobie przerobionej na ciemnię. Ojciec pomógł mu zrobić ramę z zardzewiałego kawałka metalu, znalezionej w rupieciarni. Ściany mieszkania w Bensonhurst wypełnione są czarno-białymi zdjęciami, oprawionymi w zardzewiałe ramki. Ojciec Montiego jest dużo lepszym fotografem, obdarzonym wnikliwym spojrzeniem. Jest w jego kompozycjach jakaś subtelność, którą Monty zauważa, ale której nie potrafi odtworzyć, zdolność do zrobienia zwykłego widoku dziwnym. Oprawa jest zawsze zardzewiała, co sprawia, że fotografie wydają się być relikami przeszłości uratowanymi z zatopionego statku.

Ojciec zrobił większość pracy jeszcze tego samego popołudnia — przyciął metalowe części na odpowiednią długość i wygładził kanty, podczas gdy Monty popijał piwo i oglądał mecz piłki nożnej. Kiedy zdjęcie już wyszło, Monty, zanim wyszedł kupić szybkę, napisał na odwrocie dedykację: *Dla Naturelle Rosario. W dniu, kiedy skradła mi serce (i nakarmiła nim mego psa)*. Później, kiedy wręczył jej fotografię na Walentynki, pomyślał, że dedykacja jest nieco dziecinna, albo nawet krępująca, ale Naturelle już ją przeczytała, roześmiała się i pocałowała go; było za późno na usunięcie napisu.

Dziś Monty nie zauważa zdjęcia. Stało się już częścią wystroju mieszkania. Odwiesza smycz Doyle'a, który przebiega truchtem przez

pokój i zwija się w swoim ulubionym kącie pod kaloryferem; włącza telewizor i patrzy, jak na ekranie pojawia się twarz mężczyzny zapowiadającego pogodę. Mówi o zbliżającej się burzy. Monty wyłącza telewizor i rozgląda się wokół. Naturelle wciąż stoi w drzwiach.

— Co? — pyta Monty.

— Nie wiem — wzrusza ramionami. — A czego ty chcesz? Mężczyzna siada na sofie, rozkładając ramiona szeroko na oparciu. Bola go stopy. Czuje, jak na podszewkach tworzą mu się bąble; ma obtartą skórę po dziesięciu godzinach chodzenia po mieście.

— Czego ja chcę? — Przez chwilę patrzy na Doyle'a. — Chcę być tą dziewczyną z X-Mena, która potrafi przechodzić przez ściany.

Naturelle podchodzi i siada obok niego na sofie, wciskając sobie złożone dłonie między uda.

— A jeśli nie potrafię tego — kontynuuje Monty — jeśli nie potrafię wykombinować, jak przechodzić przez ściany, to sadzę, że jeden strzał w podniebienie, *bum* i problem rozwiązany.

— Przestań żartować w ten sposób — uderza go w ramię dziewczyna.

— Myślisz, że ja żartuję?

Naturelle wstaje, idzie do kuchni, bierze z lodówki słoik naturalnego, ciekłego miodu i łyżeczkę z ociekacza. Wraca do salonu i znów siada koło Montiego, wręczając mu słoik.

— Więc co będziemy robić dziś wieczorem, zanim się zastrzelisz?

— Wujek Blue zaprosił mnie na imprezę w „VelVet”. Musimy pójść.

Odkręca przykrywkę i oddaje jej słoik.

— Myślisz, że nie potrafiłbym tego zrobić, tak?



— Nie — mówi, zanurzając łyżeczkę w miodzie. — Wiem, że nie mógłbyś. Spotkałeś się dziś ze swoim kuratorem?

— Tak.

— I co ci powiedział?

— Powiedział: „Bądź jutro o czasie.”

Patrzy, jak Naturelle wylizuje łyżeczkę do czysta.

— Masz paskudny zwyczaj.

Ona pochyła się i całuje go w usta.

— Chodźmy do sypialni — mówi.

Tu właśnie go złapali. Dokładnie tutaj, na tej sofie go zniszczyli. W zeszłym roku, w czerwcu, wcześniej rano, został obudzony z głębokiego snu przez agresywne walenie w drzwi wejściowe i wściekle ujadanie Doyle'a. Naturelle, która lżej sypia, wyslizgnęła się z łóżka i wciągnęła na siebie długą bluzkę. Walenie nie ustawało. Wyszła z sypialni i uciszyła psa. Monty słyszał, jak rozmawiała z kimś na klatce schodowej. Słyszał, jak przekręciła zamek i otworzyła drzwi. Kiedy wróciła do sypialni, zobaczył jej twarz i pomyślał o ucieczce, o otwarciu okna, spuszczeniu się na rosnące pod nim drzewo lipy, o złapaniu gałęzi i zeskoczeniu na ulicę, o biegu tak szybkim i tak długim, jak to tylko możliwe. Zamiast tego wstał, wciągnął spodnie od dresu i z nagim tarsem wszedł do salonu.

Było ich czterech, wszyscy biali, żaden nie był starszy od Montiego. Mieli na sobie rozpięte marynarki, pod lewą pachą każdego z nich widać było dobrze dopasowane kabury. Pokazali Montiemu legitymacje DEA — Urząd do Walki z Handlem Narkotykami i wręczyli nakaz rewizji, podpisany przez sąd federalny. Wszyscy się uśmiechali, więc i Monty się uśmiechnął. Zaoferował im kawę. Podziękowali, ale odmówili.

— Rozejrzymy się trochę — powiedział agent Brzozowski, sadowiając się na sofie.

Pozostali trzej agenci rozeszli się po mieszkaniu. Jeden z nich przykucnął kolo Doyle'a, leżącego na swoim ulubionym miejscu koło kaloryfera i głaskał dłonią psie futro. Drugi wyglądał przez okno na ulicę. Trzeci studiował wiszącą na ścianie fotografię budynku RCA Victor, trzymając ręce za plecami.

— Pan robił to zdjęcie? — zapytał.

Gdy Monty potwierdził — agent gwizdnął.

— Ładne zdjęcie. Jaki ma pan aparat?

Brzozowski rozparł się na sofie, zakładając ręce za głowę i wciąż się uśmiechał. Słuchał rozmowy z zainteresowaniem. Naturelle ruszyła w stronę sypialni, ale Brzozowski zawołał ją.

— Panna Rosario, nieprawdaż? Jestem zmuszony poprosić panią o pozostanie z nami przez kilka minut, dobrze? Niech pani nie znika z zasięgu wzroku.

Monty oparł się o framugę kuchennych drzwi, starając się, by jego twarz wyglądała na zrelaksowaną, wolną od trosk. Wiedział, jakie wyroki dają federalni w porównaniu do stanowych. Stanowi prawnicy często straszili wniesieniem oskarżenia przez federalnych, tak jak matki straszą dzieci opowieściami o upiorach. Wiedział, że dla sądu federalnego nie ma znaczenia, czy był wcześniej karany. Nawet ze swoją czystą kartoteką, jeśli znajdą chociaż trochę, to na pewno sobie trochę posiedzi. Ale agenci nie przeszukiwali mieszkania. Oglądali je jakby byli agentami z biura handlu nieruchomościami.

— Hmmm — mruknął Brzozowski, siadając prosto. — Ta sofa nie

jest zbyt wygodna.

Monty spojrział na agenta i westchnął. Mieli go, cholera. Został załatwiony.

— Może to twoja postawa — powiedział agent pieszczący Doyle'a.  
— Postawa jest bardzo ważna. Będziesz się zwijał, jeśli masz chory kręgosłup.

— Nie — powiedział Brzozowski. To ta sofa. Jest bardzo niewygodna. Jest nierówna.

Pozostali agenci zaśmiali się, a Naturelle patrzyła na Montiego. Potrząsnął głową w jej kierunku i zabębnił kostkami w kuchenne drzwi.

— Skończ z tym — powiedział do Brzozowskiego. Zdezorientowany agent ciągnął grę dalej.

— Nie rozumiem tego. *Wygląda* na taką fajną sofę. Ile pani za nią zapłaciła, pani Rosario? — Wstał, przyglądając się poduszce, drapiąc się po brodzie i udając zakłopotanego. — Może to kwestia obicia?

— Rzeczywiście, może to obicie — powiedział drugi agent. Brzozowski schylił się i podniósł środkową poduchę, obrócił ją w rękach i znalazł suwak.

— Pewnie obicie.

Rozpiął suwak, sięgnął do środka i wyciągnął garście białego włókna, pozwalając im spadać na podłogę jak kłębkom bawełny.

— Taak, jest tu coś nierównego, panie Brogan. Dobrze, że to znalazłem, wie pan? Teraz pana sofa będzie znacznie lepiej nadawała się do siedzenia.

Wyciągnął z poduch paczkę wielkości butelki wina, owinięta plastikowym sznurkiem i taśmą klejącą. Kilka zabłąkanych, białych

włókien trzymało się paczki, wyglądając jak włosy na głowie starej wdowy. Brzozowski podniósł brwi w udawanym szoku, a pozostali agenci zaczęli ochać i cmokać.

— Panie Brogan, wydaje mi się, że jest pan załatwiony.

Naturelle leży naga na swojej połowie, przytulając się do niego i przeczesując mu włosy palcami. Monty leży plecami do niej i ma szeroko otwarte oczy. Wiatr wpada przez okna. Dziewczyna drży i przyciska się mocniej do niego. Skóra Montiego jest zawsze ciepła; nawet w środku zimy trzyma okna otwarte. Hałasy z ulicy są dla niego kołysanką. W końcu wyrósł w mieszkaniu na parterze.

Naturelle zastanawia się, czy będzie szczęśliwsza, gdy Monty odejdzie i nienawidzi samej siebie za te myśli. Pamięta te ranki, kiedy budziła się drżąc i patrzyła na ich nagie, giętkie ciała splecione razem. Sięgała do miseczki z owocami stojącej, jak w jej rodzinnym domu, na nocnej szafce i karmiła go śliwkami albo figami, albo nektarynkami. W czasie tych chwil, kiedy on zlizywał cieknący po jej palcach sok, wierzyła, że naprawdę ją kocha.

— Wszystko w porządku? — pyta Naturelle. Monty nie odzywa się, więc pyta raz jeszcze.

— Wszystko w porządku?

— Czuję się świetnie — odpowiada. Wszystko jest cudownie. To najlepsza noc mego życia.

— Chciałam tylko...

— Wiem, wiem — mówi.

Odsuwa od niej głowę, siada na brzegu łóżka i patrzy przez okno.

— Mów do mnie, dobrze? Rozmawiaj ze mną. Monty? Nie rób tak.

To nasz ostatni wieczór na...

— To nie jest *nasz* ostatni wieczór. To jest *mój* ostatni wieczór. Ty masz jutrzejszy wieczór i wszystkie następne, pieprzone wieczory. Możesz wyjść do miasta i pozwolić jakiemuś prawnikowi, by stawiał ci drinki; możesz połączyć nad Hudson; masz do dyspozycji wszystkie rodzaje wieczorów.

— To wciąż jest *nasz* ostatni wieczór — mówi ze złością do jego nagich, bladych pleców. — Twój i mój razem to *nasz*. Nie możesz tego zrozumieć?

— Nie — odpowiada, kręcąc powoli głową. — Kochanie, zrób mi przysługę i po prostu bądź cicho. O'key?

Monty sięga po paczkę papierosów i ciska ją na nocną szafkę. Myśl o Jej jutrach sprawia, że czuje się samotny — myśl o niej śmiejącej się i rozmawiającej z przyjaciółmi, idącej chodnikiem i przyglądającej się wystawom, jedzącej obiad w restauracji. Wyciąga papierosa z paczki, ale go nie zapala.

Czyż nie było takiego momentu, gdy podejrzewał Naturelle, jednego szalonego momentu, kiedy pomyślał, że to *ona* mogła zadzwonić i powiedzieć im, gdzie są ukryte narkotyki? Szybko wykluczył tę możliwość — po co by jej to było? Co by na tym zyskała? Ale skoro już raz się ta myśl pojawiła — czyż da się o niej zapomnieć? Gdy tylko wątpliwość nadgryzie twoje zaufanie — będziesz potrafił zaufać jej ponownie? A jeśli nie możesz zaufać kobiecie, która z tobą sypia, która leży obok, gdy śpisz bezbronny — to komu w ogóle możesz zaufać?

Z oddali słyhać przenikliwy dźwięk syren. Montgomery pragnie uciec, wybiec z mieszkania w dół, na ulicę, złapać czerwony wóz,

wskoczyć do niego i mrugnąć do swoich dzielnych towarzyszy. Wie, że mógłby być świetnym strażakiem. Chciałby jechać teraz do pożaru.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

**DZIWKI Z SALONÓW** uwielbiają opowiadać historie o Wujku Blue; skręcając papierosy i popijając herbatę z wyszczerbionych kubków, zbierają się przed kominkiem i wymieniają plotkami. Co czwartek o zmroku Wujek Blue przychodzi do nich, wiesza swój czarny płaszcz na wieszaku koło drzwi, kiwa głową na Nataszę i idzie za nią na górę. Kiedy para w milczeniu skryje się już w największym pokoju przybytku, pozostałe kobiety zaczynają zgadywać i licytować się dzikimi opowieściami. Żadna z nich nie zna jego prawdziwego imienia, ale wiedzą, że „Wujek Blue” to jego zniekształcone nazwisko, które w oryginalnym brzmieniu jest niewymawialne dla zachodnich języków. Żadna z nich nie wie, skąd mężczyzna pochodzi, ale istnieje kilka przypuszczeń. Prawdopodobnie urodził się w małym miasteczku w Armenii, albo raczej w wiosce na północy Iranu. Muscovite wierzy, że jego akcent jest afgański.

Wszystkie kobiety są emigrantkami ze Wschodniej Europy, tak jak prawie wszyscy ich klienci. Transport kobiet do Ameryki został zorganizowany przez panią Dimitriev, która jest właścicielką całego przybytku i mieszka w oddzielnym mieszkaniu na najwyższym piętrze, gdzie słucha nagrań Billie Holiday i handluje papierami wartościowymi za pomocą komputera. Na dół schodzi tylko wtedy, gdy dochodzi do kłótni o zapłatę.

Kobiety przyjeżdżają wczesnym wieczorem i wychodzą wczesnym rankiem. Większość z nich pracuje rok lub dwa, dopóki nie spłacą długu pani Dimitriev, która jest tak skąpa, że kaloryfery włącza tylko w

sypialniach. Kobiety rozpalają więc w kominku duży ogień, piją gorącą herbatę i rozmawiają. Zazwyczaj nie o pracy — większość klientów jest nudna, nawet ci niebezpieczni. Wujek Blue jest wyjątkiem, jest zagadką. Kobiety wierzą tylko w to, co widzą, więc budują swoje teorie w oparciu o fizyczne oznaki. Nie jest młody, ale jego grube włosy i broda są wciąż czarne. Pewnie właśnie ta broda przypomina Helenie wojowników islamu, widzianych w dzieciństwie w telewizji — surowo wyglądających mężczyzn niosących AK-47 i taśmy nabojów skrzyżowane na piersi.

Skóra pod oczami Wujka Blue jest ciemna od znużenia, a zmarszczki na czole są głębokie jak rany od noża. Jego dłonie są szorstkie i bezduszne, jakby przez lata trzymały łopatę albo kilof, ale paznokcie są przycięte, profesjonalnie opiłowane i wypolerowane. Któregoś razu Natasza, patrząc prosto w ogień, z wysoko uniesionym podbródkiem oznajmiła, że przed dwudziestu laty Wujek Blue zatłukł człowieka na śmierć z powodu kobiety. Kłamała oczywiście — jeśli Wujek Blue zatłukłby człowieka na śmierć, to nigdy by się tym nie chwalił przed Nataszą, ani przed nikim innym. Mimo to nikt nie wątpi w opowieść Nataszy. W końcu ma on dłonie człowieka, który walczył — kilka wybitych stawów, skrzywione paliczki, opuchnięte knykcie. Jego nadgarstki są tak grube jak kostki Nataszy.

Natasza powinna znać go najlepiej, ale tak nie jest; nigdy go o nic nie pyta. Może dlatego, że odmawia odpowiedzi, albo zabrania jej mówić. On nie ustala zasad i nigdy nie wypowiedział ostrego słowa. Wujek Blue jest czysty, uprzejmy i hojny. Płaci studolarówkami wyciągniętymi ze srebrnego zacisku do banknotów. Banknoty są zawsze w idealnym stanie, a zacisk zawsze pełny.



Kiedy dziś wchodzi do budynku, Natasza cicho wstaje ze swojej ławeczki koło kominka i idzie po schodach do największej sypialni. Na zewnątrz jest zima, widać zarysy drzew w Prospekt Park, a latarnie świecą żółtawym światłem. Zdychająca mucha bzyczy słabo na okiennym parapecie. Ich transakcja dobiega końca. Wujek Blue siedzi bez koszuli w nogach łóżka, otoczywszy kolana ramionami, a jego szeroka broda spoczywa na piersi. Zostaje w tej pozycji przez jakąś minutę i zaczyna się ubierać. Natasza zastanawia się, czy jest żonaty, czy ma dzieci. Zastanawia się też, dlaczego nigdy nie pyta o nią samą. Jej inni stali klienci ciągle ją sondują, wyobrażają sobie, że są rycerzami, którym przeznaczone jest uratować ją od niemoralnego życia. Wujka Blue nie obchodzi miejsce przebywania Nataszy, gdy sam jest nieobecny. Nie obchodzi go, co spowodowało, że wybrała tę profesję, czy płacze po nocach, czy tęskni za spokojnym, mieszczańskim małżeństwem. Jeden tylko zawity problem gnieździ się w jego głowie i wszystkie myśli są skoncentrowane na tym, by nie rozwikłać jego złożoności. Najmniejszy nawet błąd doprowadzi do kłopotów, a Wujek Blue pracował zbyt ciężko i zbyt długo, by teraz sprawiać sobie samemu zmartwienia. Głupoty i zrad innych nigdy nie da się wyeliminować — jest to największy problem, wobec którego staje każdy wielki biznesmen. Na tym świecie realista może tylko szukać sposobu na minimalizację strat. Dziś wieczorem Wujek Blue zamorduje człowieka. Nie może pozwolić sobie na żadną pomyłkę.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

**JAKOB JEST JEDNYM** z najlepszych pieszych w historii Nowego Jorku. Lawiruje wśród tłumu przechodniów, unikając potrąceń i wystających łokci, schyla się pod konarami drzew, sunie na palcach po krawężnikach, zręcznie omija porozrzucone psie kupy, wyczekuje odrobiny swobodnej przestrzeni i rzuca się w dalszą drogę. Jak *wszyscy* dobrzy obywatele miasta, Jakob nauczył się odwracać wzrok od dziwolągów ulicy: sparaliżowanych dziadów kościelnych, żebraków ze sterczącymi kikutami kończyn, obłąkanych świrów grzebiących w śmieciach.

Podąża wraz ze śpieszącym się tłumem do stacji metra przy Siedemdziesiątej Drugiej ulicy. Przechodzi przez obrotową bramkę, schodzi w dół i znajduje najmniej zapełniony odcinek peronu. Gdy nadjeżdża pociąg, Jakob daje nura w młyn zapchanego wagonu i łapie poręcz, której trzyma się podczas ruszania. Jego tolerancja na alkohol jest minimalna. Dwa piwa wypite z LoBianco pozbawiły go orientacji, zdradliwy klin wcisnął się pomiędzy umysł a ciało. Mężczyzna widzi siebie, prawdziwego *siebie*, kierującego zdalnie tym spastycznym androidem Jakobem. Co to za ciało? — zastanawia się. I jak się w ogóle w nim znalazłem?

Czasem, rankiem jego twarz, która odbija się w łazienkowym lustrze, wydaje mu się nieznamoma i nieprzydatna. Przypatruje się tej zmęczonej twarzy jak ktoś, kto na zjeździe absolwentów wyższej szkoły próbuje sobie przypomnieć nazwisko kumpla, niejasno związanego z tamtym pełnym rozczarowań okresem. Jakob nie lubi swojego ciała, co więcej,

czuje, że nie przynależy do tego ciała. Kiedyś, na początku musiała wydarzyć się jakaś pomyłka. Jego mózg został umieszczony w niewłaściwej czaszce, a właściwe ciało Jakoba siedzi gdzieś nagie i bezwładne, albo może tańczy pod dyktando umysłu jakiegoś uzurpatora.

Naciąga swoją jankeską czapkę głębiej, czyta reklamy naklejone ponad siedzeniami. Jedna z nich to komiks — propagująca świadomość o AIDS, odcinkowa saga o grupie nowojorczyków. Ten akurat komiks jest w języku hiszpańskim, którego Jakob nie zna, ale widzi, że bohaterowie znajdują się na cmentarzu, najwidoczniej na pogrzebie swego przyjaciela Rafaela. Srebrne łzy kapią z oczu kobiety. Jakob zauważa, że ktoś dorysował jej na bluzce wydatne sutki i krzywi się na niestosowność tego szczegółu.

Metro zatrzymuje się na Columbus Circle i Jakob przypomina sobie to, co zawsze na tej stacji — jak dziewięć lat temu Monty śmiało zeskoczył z peronu metra na tory, przeskoczył przez szyny, wspiął się na drugi peron, pocałował śliczną dziewczynę w policzek i wrócił, śmiejąc się szeroko — nie ze swojej bezczelności, do której się zresztą przyznawał, ale z szoku dziewczyny stojącej z otwartymi z zaskoczenia ustami. Jakob nigdy nie zrozumiał, skąd się to u Montgomeryego bierze. Co wywołuje w nim taką dzikość i absolutną pogardę dla konsekwencji.

Jakob zastanawia się, co siedemnastoletni Monty zrobiłby z Mary D'Annunzio. Prawdopodobnie niewiele. Chłopcy w jej wieku chyba jej nie bawią. Ma płaski biust, szorstki głos, jest niedomyta, siedzi w klasie cicha i naburmuszona, chyba że ma właśnie pod ręką jedną ze swoich krytycznych tyrad, które zazwyczaj są nawiedzone i nie związane z tematem. Wszyscy jej przyjaciele są starsi. Cytując LoBianco: „obojnacka

drużyna znarkotyzowanych potworów", które wiecznie gromadzą się i siedzą w szkolnej kafeterii, pijąc kawę — w swoich pogniecionych, czarnych ciuchach, przesiąkniętych papierosowym dymem, z rękoma poznaczonymi kolorowymi stemplami wejściowymi z ostatniego dubbingowego wieczoru. Jakob nie *wie*, czy którykolwiek z tych młodych smutasów jest sparowany. Podejrzewa, że tego chudego, wyglądającego jak David Bowie, może coś łączyć z Mary. Często zajęci są prowadzonymi szeptem, głowa w głowę, debatami, które przyprawiają Jakoba o destrukcyjne poczucie samotności. Jakob widział kiedyś całą tę zgraję w Sheep Meadow, otaczali starego rastamana grającego piosenki Scratch'a Perry'ego na gitarze akustycznej. Nikt nie zauważył Jakoba, więc minął ich szybko, nie przyglądając się nagiemu brzuchowi Mary, ale dobrze widząc koniec jej palca obrysowujący brzeg pępka.

Ja nie chcę być nauczycielem, myśli przybity Jakob, patrząc na pasażerów przeciskających się do wyjścia z wagonu metra. Jezu, Czternasta Ulica! W ostatnim momencie prześlizguje się przez zatraskujące się drzwi i podąża za stadem przez bramkę i po schodach w górę.

W ciągu piętnastu minut jego podziemnej podróży, powietrze na zewnątrz stało się znacznie chłodniejsze. Chłód pomaga mu odzyskać trzeźwość. Zanim dochodzi do budynku Slattery'ego, zaczyna padać śnieg, płatki spadają powoli migocząc w świetle latarni i topnieją w zetknięciu z chodnikiem. Nie będzie się dobrze kleił, myśli Jakob jak uczeń.

Zgłasza się do portiera siedzącego w recepcji, za marmurowym blatem. Portier wygląda jak wąskouste, rudowłose, obsypane piegami małe dziecko, ubrane w za duży uniform z epoletami. Chwyta za słuchawkę

wewnętrznego telefonu i dzwoni do apartamentu Slattery'ego.

— Jakob jest tutaj. Nie wiem, zapytam. — Patrzy na Jakoba i pyta:

— Jakob jak?

— Ha- ha. Powiedz mu ha- ha.

Portier szczerzy się w uśmiechu i mówi do telefonu:

— Słyszał pan? To świetnie. — Odwiesza słuchawkę i pokazuje na windę. — Piąte piętro.

— Wiem.

Stara kobieta, biedna i przygarbiona stoi w kącie hallu przy lustrze, wpatrując się w sztuczną, chińską roślinę doniczkową. Pielęgniarka czeka obok niej. Jakob idzie szybko do windy i przyciska guzik.

— Chodź Charlotte — mówi pielęgniarka ze śpiewnym, karaibskim akcentem. Łapie Jakoba na ukradkowym spojrzeniu, rzuconym przez ramię i mruga do niego.

— Chodź, dziewczynko.

— Muszę usiąść — zawodzi Charlotte.

— Jesteśmy teraz w hallu. Chodź. W mieszkaniu usiądziesz. Będziesz siedzieć godzinami. Chodźmy.

Jakob tłumi kichnięcie i wtedy stara kobieta odwraca głowę w jego stronę.

— Louis? — woła, spoglądając w jego kierunku — Louis? Nie jestem Louis'em, myśli Jakob, grzebiąc w tylnej kieszeni w poszukiwaniu chusteczki. Charlotte opiera się bezwładnie o ścianę, jej nogi rozjeżdżają się i kobieta osuwa się na podłogę.

— Nie mogę dalej iść. Gdzie jest Louis?

— To nie Louis — mówi do niej pielęgniarka i uśmiecha się do

Jakoba.

Jakob nie chce się nigdy zestarzeć, nie chce być jak Charlotte — wygięty w łuk i bezradny, padający ze zmęczenia w kącie hallu pod lustrem.

— Mogę w czymś pomóc? — pyta wreszcie cały w strachu, że opiekunka powie tak.

— Jest pan miły — mówi pielęgniarka.

Jakob interpretuje to jako nie. Elektroniczny wskaźnik nad drzwiami windy wyświetla czwórkę. Jakob dotyka brzegu swojej jankeskiej czapki.

— Mówiłam ci, że ona jest niedobra — mówi Charlotte. — Mówiłam ci, Louis.

— To nie jest Louis. To nie jest twój syn. Chodź, podnieś się, bo przegapimy twoje ulubione programy.

Jakob naciska guzik jeszcze dwa razy. Zazwyczaj przewraca oczami na widok ludzi, którzy ponownie przyciskają guzik windy, próbując zmusić powolną maszynę do szybszego działania, jak gdyby była krnąbrnym kelnerem: „*Dobrze, dobrze, ketchup, już przynoszę.*” Znow dźga przycisk palcem.

— Ostrzegłam cię — mruczy Charlotte.

Wreszcie kabina nadjeżdża i Jakob wchodzi do środka. Teraz stoi przodem do Charlotte, nie może uniknąć widoku jej opuszczonej na piersi głowy, jej skurzonego ciała, wstrząsanego przez ruchy ramion.

— Evie! — krzyczy starucha — Evie!

— Cicho, dziewczynko. Jestem tutaj. Chodź, podaj mi rękę.

Jakob przesuwa dłonią obok czujnika i otwiera zamykające się już drzwi.

— Przepraszam, czy jesteście panie pewne, że wszystko jest w porządku?

— Pewne. Jesteśmy pewne. Ćwiczymy to co wieczór — mówi Evie, spoglądając przez ramię.

— Louis?

Przez sekundę Jakob chciałby być Louis'em, chciałby móc powiedzieć: „*Jestem tutaj, mamó*”, przejść przez hall i pomóc starej kobiecie podnieść się na nogi. To byłoby bohaterskie. Drzwi windy zasuwiają się cicho i Jakob zamyka oczy. Wznosi się, pokonując piętra budynku. Wyobraża sobie wiadro wody wyciągane ze studni. Dopiero teraz zdaje sobie sprawę z tego, jak bardzo jest zmęczony. Nie spał dobrze już od kilku tygodni. A Monty? Czy Monty w ogóle może spać?

Apartament Slattery'ego, stanowiący jego trofeum, składa się z pustych w większości pokoi, jest dla Jakoba perfekcyjnym przykładem typu: Apartament Młodego Mężczyzny z Pieniędźmi bez Kobiety.

Telewizor w salonie jest tak gigantycznych rozmiarów, że spiker przeraża Jakoba. Slattery opacznie rozumie minę przyjaciela.

— Duży, co?

— Tak, wielki. Kiedy go kupiłeś?

— Kilka tygodni temu. Zrobiłem sobie mały prezent. Mam na myśli to, że czasem powinienem wydać trochę pieniędzy.

Co za ordynarne określenie, myśli Jakob. *Pieniędź*. Ordynarne w dużej części dlatego, przyznaje, że roczne wpływy jego przyjaciela są w przybliżeniu dwadzieścia trzy i siedem dziesiątych raza większe niż jego własne. To przybliżenie skalkulował Jakob pewnego wieczoru, gdy miał wyliczać średnie oceny swoich pierwszoklasistów.

Siadają na żółtej sofie, na której Slattery spał przez dwa lata jako dziecko, zanim rodzina przeprowadziła się do większego lokum w Bay Ridge. Jakob zastanawia się, dlaczego Slattery nie wyda czasem trochę więcej *pieniędzy* na nowe meble. Salon, większy niż całe mieszkanie Jakoba, jest właściwie pusty, jeśli nie brać pod uwagę sofy, gigantycznego telewizora i sterty sztucznych drewn koło kominka. Butelka piwa stoi pomiędzy nogami Slattery'ego, na drewnianej podłodze. Wielki dywan leży pod oknem, zwinięty i związany sznurkiem. W rogu, oparta o ścianę, stoi błyszcząca, czerwona gitara — następny prezent Slattery'ego dla samego siebie.

Na oparciu sofy widnieją bliźniacze, ciemne smugi, powstałe od wieloletniego opierania brudnych głów. Część, na której siedzi Jakob zapada się z powodu sprężyny, która pękła pewnej wiosny. Nastoletni wówczas Slattery przytrzymał swego młodszego brata twarzą do poduszki i skoczył mu na plecy, posyłając chłopaka z uszkodzonym kręgosłupem do szpitala. Jakubowi szkoda Eoina — dzieciak wciąż wygląda na zszokowanego, jakby jego dzieciństwo było wojną, którą ledwie przeżył.

Telewizor jest otoczony dwoma wysokimi, bliźniaczymi wieżami głośników. Małe głośniki zwisają z sufitu, zapewniając dźwięk surround, który, jak wyobraża sobie Jakob, jest cudowny dla filmów. Dla spikera jest jednak agitujący. Profesjonalny, czarujący głos dochodzi do Jakoba ze wszystkich możliwych kierunków: „Możemy oczekiwać pierwszej zimowej burzy w rejonie miasta Nowy Jork. I powiem ci, Carol, że może być niełaskawie. Oczekujcie wszędzie od czterech do dziesięciu cali śniegu..”

— Dziesięć cali śniegu! — wykrzykuje Slattery. — Powinniśmy pojechać pojutrze gdzieś na północ stanu i pojeździć na nartach. Właśnie



kupiłem Vólkle — narty zjazdowe.

— Nie umiem jeździć na nartach — mówi Jakob.

— No to co? Ja też nie, ale dziesięć cali śniegu... Może nie w ten weekend?

Głos spikera odbija się echem w nieumeblowanym salonie. Jakob wzdraga się:

— Myślisz, że normalni ludzie używają słowa „niełaskawie”?

— Co?

— Brałeś już jakieś lekcje? — pyta Jakob, wskazując czerwoną gitarę.

Slattery potrząsa głową.

— Ty myślisz, że ja mam czas na lekcje gry na gitarze? Ale jest całkiem ładna, nie?

— Taak. Czerwony to ładny kolor.

— Chcesz jeszcze jedno piwo? — pyta niespokojnie Jakob, chcąc uciec przed prezenterem wiadomości.

— Tak, dzięki.

Kuchnia jest podejrzanie czysta. Jakob przygląda się lśniącemu zlewowi ze stali nierdzewnej, przejeżdża palcem po blacie, ale nie znajduje ani lepkich plamek, ani okruchów. Ogromna, czarna kuchenka z sześcioma palnikami i wbudowanym piecykiem również bez plam i odcisków palców, ewidentnie nie skalana pracą tak przyziemną, jak gotowanie. Ma, skubaniec, sprzątaczkę — stwierdza Jakob. Lodówka jest nieźle zaopatrzona, wypełniona słoiczkami oliwek, chrzanowej musztardy, porcją zawiniętego w papier, wędzonego sera mozzarella, pieczonym udkiem indyka w aluminiowej folii. Wygląda jak lodówka moich

rodziców, myśli smętnie Jakob.

— Nie ma tu piwa! — krzyczy głośniejszym głosem niż zamierzał. Echo jego głosu w kuchni brzmi przejmująco.

— Poczekaj chwilę.

Jakob wraca do salonu, patrzy na Slattery'ego oglądającego wiadomości.

— W lodówce nie ma piwa.

— Na pewno dobrze sprawdziłeś?

— Nie, nie sprawdzałem *na pewno*. Miałem sprawdzić *na pewno*!

— Widziałeś to? — pyta Slattery — Siadaj tutaj i patrz. Jakob siada niechętnie, starając się nie patrzeć bezpośrednio na ekran.

— Ten słoń zgubił się na ulicach Bangkoku, wczoraj wieczorem, czy jakoś tak. Popatrz na to.

Ktoś z amatorską kamerą wideo nagrał scenę, jak szary słoń kroczy środkiem głównej arterii komunikacyjnej, a za nim podąża wiwatujący tłum mężczyzn, kobiet i dzieci. Policjanci próbują zatrzymać ludzi, ustawiając pomarańczowe pachołki i wymachując swoimi pałkami, ale nikt w tej wrzawie nie zwraca na nich uwagi. Żołnierze w wojskowych ciężarówkach podążają za słońciem, mając go w zasięgu swoich karabinów.

— Widziałem to na CNN z godzinę temu — mówi Slattery. — Powiedzieli tam, że stare słonie czasem wariują, po prostu tracą nad sobą panowanie. Popatrz teraz.

Czarne kolce pojawiają się na pomarszczonej skórze zwierzęcia i Jakob słyszy reportera opisującego usypiające pociski, tylko sześć, z których każdy zawiera dość środków uspokajających, by znokautować słonia. Bestia dygocze przez chwilę, potrząsając swoim masywnym łbem;

wielkie uszy kłapią w tył i w przód. Potem słoń zawraca i kieruje się ku chodnikowi. Zebrany tam tłum rozpierzcha się na wszystkie strony jak bilardowe kule po dobrym, pierwszym uderzeniu. Słoń pochyla głowę i roztrzaskuje wystawową szybę sklepu z elektroniką.

— Cholera — mówi Slattery, kołysząc się na sofie. — Patrz, co się dzieje!

Żołnierze zaczynają strzelać z karabinów, słysząc huk i hałas. Obraz z kamery wideo trzęsie się, zanim nie zostaje zastąpiony ekranem przedstawiającym wojskowego rzecznika prasowego, który stoi za pulpitem i wyjaśnia wydarzenia dnia.

— Zabili go? — pyta Jakob.

— Oh, tak — mówi Slattery. — Oczywiście, że zabili. Biedny świr wybrał się na spacer do niewłaściwej części miasta.

Jakob zastanawia się, co spowodowało, że słoń zgłupiał: wiek, wadliwe połączenia komórek mózgowych, długo tłumione pragnienie przechadzki wzdłuż alei? Naciąga swoją jan-keską czapkę głębiej na czoło.

— O której przyjdzie Monty?

— Nie przyjdzie. Je kolację ze swoim ojcem. Spotkamy się z nim później.

Jak Monty może jeść? — zastanawia się Jakob. Jak może w ogóle przeliykać jedzenie?

Ekran telewizora robi się czarny, na moment między reklamami i Jakob widzi swoją twarz odbijającą się w szkle.

— Czy sądzisz, że wyglądam jak fretka?

— Jak fretka? — śmieje się Slattery. — A to dobre, nie myślałem o

tym wcześniej.

— Więc wyglądam?

— Jeden z dzieciaków z twojej klasy ci to powiedział?

— Nikt mi nie powiedział — marszczy się Jakob. — Zastanawiałem się tylko.

— Ktoś ci musiał coś powiedzieć. Nie wymyśliłbyś tego tak po prostu: „hej, wyglądam jak fretka”. Patrzysz w końcu na swoją twarz od dwudziestu sześciu lat.

— Właściwie — mówi Jakob — zostawmy to.

— Nawet nie wiem, jak wyglądają fretki. Ale, taak, możesz którąś przypominać.

— Świetnie, dzięki. Jesteś wspaniałym człowiekiem. Slattery klepie Jakoba po głowie.

— A ty jesteś niezły jak na fretkę. Idę się wysrać i możemy iść.

Podnosi się z sofy, stękając. Przykuca na chwilkę, a potem wstaje. Lewe kolano strzyka mu głośno.

— O, Chryste! — mówi i idzie do łazienki.

Jakob siedzi naprzeciw telewizora, spogląda ponuro i jest zły, nie znając prawdziwego powodu swojej złości. Czasem jest właściwie pewny, że nie lubi Slattery'ego, że nigdy go nie lubił, mimo że Slattery jest jego najlepszym przyjacielem. Jakob pamięta początek dziewiątej klasy, kiedy, przechodząc przez szkolną bramę, wcale nie palił się do spędzenia kolejnego roku z opalonymi młodzieńcami, kręcącymi się po dziedzińcu w ciasno zawiązanych krawatach i pantoflach. Kiedy spotkał Franka i Montiego, ekscytował się ich brooklińskim akcentem, gładko uczesanymi fryzurami, tak innymi od tradycyjnego nieładu demonstrowanego poza

szkołą. Obaj mieli wyniki w boksie, co hipnotyzowało Jakoba, który był właściwie zerem. Ale oni obaj nie byli tu w swoim żywiole; skrywali nerwowość pod pozą rezerwy właściwej starym wyjadaczom, zakłopotani swobodną demonstracją bogactwa. W czasie zgromadzenia otwierającego rok szkolny, Monty szturchnął Jakoba łokciem i skinął w stronę starszego chłopaka, siedzącego kilka rzędów przed nimi.

— Ten facet ma na sobie marynarkę od Ralph Lauren. Taka rzecz kosztuje czterysta dolców.

Jakob był zachwycony bezpośrednią bliskością, założeniem, że pochodzą z tego samego środowiska i obaj są zszokowani tym, że chłopak tak po prostu chodzi sobie w marynarce wartej czterysta dolarów. Minęły trzy miesiące, zanim Jakob zaprosił swoich dwóch nowych przyjaciół do siebie. Obawiał się, że potraktują go jak resztę młodej arystokracji z ich klasy. Ale zanim Monty i Frank pojawili się w domostwie Elinskiego, bywali już we trójkę na imprezach w klubach na Piątej Alei i na świeżym powietrzu, a także w niezwykłym domku na plaży w Hamptons. I wreszcie u Jakoba; było wprawdzie przyjemnie, ale nie ekscytująco.

Pozostali starzy wyjadacze z klasy od razu poczuli pogardę dla nowych „P.F.” — studentów korzystających z Pomocy Finansowej: dwóch Irlandczyków, dwóch Portorykańczyków i czterech czarnych, wyciągniętych z Brooklynu, Queens i Bronxu. Panowie z Outer Boroughs — taka była pierwsza ocena, pierwsze przewisko, jakie Monty wychwycił, gdy o nich mówiono. Przetłumaczył je na swój hip-hopowy język; Outta Buro Lordz bardzo szybko stała się najbardziej podziwianą w szkole kliką. Jakob rozkoszował się swoim statusem członka honorowego, pamiętając zawsze, że mieszka mimo wszystko na Central Park West, że

jego ojciec był urzędnikiem podatkowym, że jego wiedza na temat Outer Boroughs kończy się na tym, że na północy znajduje się Stadion Yankee, a na wschodzie lotniska Kennedy i LaGuardia.

A teraz to Slattery z kumplami jada w luksusowych restauracjach, podczas gdy Jakob, oceniając uczniowskie testy w swoim liczącym jedenaście stóp kwadratowych mieszkaniu, gotuje wodę na kolejny posiłek, przyrządzony ze spaghetti i sosu pomidorowego. Jakob właściwie lubi tę grę. Grę w „Jak Bardzo Żalodne Jest Twoje Życie?”, ale nie teraz, nie dziś wieczór, nie kiedy jego przyjaciel jutro rano idzie do więzienia federalnego.

Slattery w końcu wyłania się z łazienki, wycierając ręce.

— Jesteś gotów? Umieram z głodu.

Jakob wyłącza pilotem telewizor i wstaje.

— Co on zrobi z Doylem?

— Hm?

— Dokąd trafi Doyle?

— On, nie wiem — Slattery rzuca ręcznik na mały stolik, otwiera szafę i zdejmuje czarny kaszmirowy płaszcz z drewnianego wieszaka. — Do Nat?

Jakob kręci głową.

— Nie sędzę.

— Do ojca? Naprawdę nie wiem. Podoba ci się mój płaszcz? Jeden z moich przyjaciół przywiózł mi go z Londynu.

— Frank — mówi Jakob, skubiąc paznokcie — czy jesteś na to gotowy?

— Gotowy na co?

— Na dzisiejszy wieczór.

— Muszę ci powiedzieć — mówi Slattery, zapinając płaszcz — że miałem dziś w pracy tak zwariowany dzień, że prawie o tym nie myślałem.

— Naprawdę? — pyta zaskoczony Jakob. — Jest twoim najlepszym przyjacielem.

— Nie musisz mi tego wyjaśniać, ja to rozumiem. Co chcesz, żebym zrobił? Spotkamy się z nim na mieście, wypijemy parę drinków, co mam niby robić? Chodź, ruszmy się już. Zawiąż buty.

Jakob przyklęka na jedno kolano i zaczyna sznurować swoje traperki na grubej, gumowej podeszwie.

— Denerwuję się tym spotkaniem z nim. Naprawdę. Jestem przerażony. To jak odwiedzać w szpitalu przyjaciela chorego na raka. Co się wtedy mówi? On będzie mieszkał w celi przez siedem lat. Co mu powiesz?

— Wiesz co? — wzrusza ramionami Slattery — Myślę, że nic nie trzeba mówić. Sądzę, że po prostu pójdziemy sobie razem w miasto i będziemy starać się dobrze bawić, a jak on zechce o tym rozmawiać, to porozmawiamy. On idzie do piekła na siedem lat — niby co mam zrobić? Życzyć mu powodzenia? Upijemy go i postaramy się dać mu jeszcze jeden fajny wieczór.

Jakob zawiązuje podwójny węzeł i wstaje.

— Mówisz tak, jakbyś już to kiedyś robił.

— Robiłem. Mój kuzyn dostał trzy lata odsiadki. Gotowy? — Slattery otwiera drzwi i czeka na Jakoba z ręką na wyłączniku światła.

— Naprawdę? Nigdy mi o tym nie mówiłeś. Za co? — Jest pieprzonym złodziejem. Za to.

Największym skandalem w rodzinie Jakoba była kuzynka chora na bulimię. Zastanawia się, jakie jeszcze sekrety ukrywa Slattery.

— I przeszedł przez to w porządku? Przez więzienie i w ogóle?

— Nie. Nawet zupełnie nie. Chodź, chodź już, idziemy.

— Poczekaj moment — mówi Jakob, klepiąc się po tylnej kieszeni.

— Gdzie jest mój portfel?

— O Jezu!

— Miałem go, jak tu wchodziłem. Wiem, że go miałem.

— Leży na sofie, ciemniaku.

Jakob wraca po portfel i wsadza go do kieszeni.

— To niesamowite, ale sędzę, znając Montiego, że on da sobie radę.

— Widzi minę malującą się na twarzy Slatter'ego i szybko kończy. — Nie, nie. Nie mówię, że to będzie łatwe. Jeśli to miałbym być ja, nie przeżyłbym nawet jednego dnia, wiem to. Ale to jest *Monty*. On jest twardy. *Zawsze* był twardy.

— Nie, wcale nie był — mówi Slattery, gasząc światła — i wcale nie będzie z nim wszystko w porządku. Nie wiem, co masz na myśli, Jake. Tu nie będzie happyendu.

Jakob wychodzi z apartamentu i czeka chwilę na Slattery'ego zamykającego drzwi.

— Nie mówię o *happyendzie*. Mówię po prostu...

— W ogóle nie wiesz, kurwa, o czym mówisz. Twardy? Skąd wiesz, że jest twardy? Sądzisz, że to, że wygrał kilka walk na Campbell-Sawyer znaczy, że będzie twardym facetem w Otisville? Nawet nie pojmujesz, jak poważny problem ma teraz Monty. Nie łapiesz tego! Monty ma trzy wyjścia i żadne z nich nie jest dobre.



Idą wzdłuż wyłożonego niebieskim dywanem holu. Slattery kręci kluczami na łańcuszku.

— Trzy wyjścia — mówi Jakob niecierpliwie. Slattery zawsze mówi do niego, jakby był tępym dzieciakiem, zbyt powolnym, żeby zrozumieć złożoność świata.

— Dobra. Przede wszystkim może uciec. Wsiąść do autobusu jadącego dokądkolwiek i mieć nadzieję, że go nigdy nie złapią. To po pierwsze.

— Nie zrobiłby tego. Zakaz ojca...

— Nie mówię, co *zrobi*. Mówię, jakie ma wyjścia. Numer dwa.... — Slattery robi pistolet z kciuka i palca wskazującego, przytyka go do skroni.

— Zabić się? — Jakob wytrzeszcza oczy. — Nie ma szans, to nie to. A jaka jest trzecia opcja?

— Trzecia opcja? — Slattery myśli przez chwilę. — Trzecia opcja to iść do więzienia.

— Tak się stanie — kiwa głową Jakob. — Pójdzie i przejdzie przez to.

— Dobra. Może. Ale nie ważne, co wybierze, bo to i tak jest pożegnanie Montiego.

— Co to znaczy? Slattery podnosi kciuk.

— Jeśli ucieknie, to przepadł. Nigdy więcej go już nie zobaczysz.

Podnosi palec wskazujący ze złamanym w czasach zapasów paliczkiem.

— Jeśli naciśnie spust, to zginie. Trumna na pogrzebie będzie zamknięta.

Podnosi środkowy palec.

— Jak go przymkną, przepadł. Nigdy więcej go nie zobaczysz.

— Zobaczę go — mówi Jakob. — Zobaczę go, jak wyjdzie. Drzwi windy otwierają się i Slattery wchodzi do środka.

— Nie zakładałbym się o to. Myślisz, że wciąż będziecie przyjaciółmi? Myślisz, że wychylicie parę piw i powspominacie sobie? Zapomnij, Jake. Dziś to się kończy. Wsiadasz?

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

**CO TU MAJĄ** dobrego? — pyta Monty, czytając jadłospis z czarnej tablicy wiszącej na ścianie.

— Cielęcinę — odpowiada ojciec. — Cielęcina jest dobra. Zazwyczaj to właśnie biorę.

— Dobra.

Monty opiera plecy o krzesło i ogląda restaurację, zwłaszcza jej niski sufit — relikw do znalezienia tylko i wyłącznie na północ od ulicy Houston. Jest jedną z ostatnich włoskich restauracji starej szkoły, gdzie nadal podają spaghetti i klopsiki, bakłażany z parmezanem, kurczaka cacciatore.

— Wziąłeś wolne w czwartek wieczorem — mówi Monty. — Miło z twojej strony. Kto dogląda interesu?

— Kennelly się tym zajmuje.

— Kennelly? Wypije cały twój rum. Ufasz Kennelly'emu?

— To tylko kilka godzin. Mówiłeś, że masz się jeszcze spotkać z przyjaciółmi, więc umówiłem się o dziesiątej...

— W porządku — mówi Monty.

Bawi się naklejką stojącej przed nimi butelki czerwonego wina. Kelnerka, starsza kobieta z twarzą jak pognieciona papierowa torba, przyjmuje zamówienie. Ma platynowo-blond perukę i sztuczne rzęsy; rozpromienia się, gdy słyszy wybór Montiego.

— Świetny wybór — mówi, pokazując przednie zęby, pobrudzone czerwoną szminką. — Cielęcina jest tu najlepsza. — Odchodzi, a Monty myśli: *Ona umrze, zanim tu wrócę.*

— Więc rozmawiałem z Sal...

— Oj, przestań, tato.

— Jeśli tylko może w czymś pomóc...

— Tato. Zastanów się. O czym ty myślisz? Sal? Ten facet jest w odstawce już od dwudziestu lat.

— Może znać tam jakichś ludzi.

— Stuletni prawie gość. Siedzi całymi dniami, grając w domino. Co Sal może dla mnie zrobić?

— On wciąż zna ludzi. Mógłby...

— Tato, mógłbyś? Dam sobie radę. Tylko się w to nie wtrącaj, dobra?

— Wciąż będziesz młodym mężczyzną, jak wyjdiesz. Wiem — mówi pan Brogan, podnosząc ręce na milczące zaprzeczenie Montiego — wiem, że ty tak nie myślisz. Ale posłuchaj mnie. Trzymaj tam głowę nisko. Nie pakuj się w kłopoty...

— Dość.

Monty spogląda na wierzch swoich dłoni. Chciałby, żeby przestały drzeć, ale one nie chcą.

Kiedy kelnerka przynosi ich dania, pan Brogan zaczyna pedantycznie ciąć liście szpinaku na coraz to mniejsze kawałki. Desperacko pragnął dać synowi coś, co napełniłoby go otuchą, ale teraz, widząc jak chłopak próbuje jeść, wie, że to beznadziejne. Jak to się mówi? *To tylko siedem lat.* Ojciec pana Bro-gana był barmanem; pan Brogan dorastał w barach i pracował w nich całe swoje życie. Bywało, że pracował w niespokojnych lokalach, gdzie zły światek prowadził bijatyki albo jeszcze gorsze sprawy. Rozumiał jednak, że żadne z jego doświadczeń nie może się nawet równać z tym, co czeka Montiego, który odbędzie podróż do całkiem obcego

świata, znanego staremu Broganowi tylko ze słyszenia.

Bar pana Brogana jest gwarancją dla sądu, jego gwarancją, że Monty nie ucieknie. Od czerwca Monty był wolny z powodu baru: wolny przed rozprawą, w trakcie procesu, po wyroku. Pan Brogan jest właścicielem baru od trzydziestu lat, mimo to czasem chciał, żeby Monty uciekł. Oddałby im lokal, niechby spróbowali zarabiać tam pieniądze. Pan Brogan posiada, usytuowany pomiędzy Bensonhurst a Bay Ridge, osiedlowy bar bez osiedla. Większość jego stałych gości to pracownicy szpitala lub sklepów z Osiemdziesiątej Szóstej Ulicy. Wstępują na drinka przed odjazdem do domu. Jego klienci są lojalni, lubią go, ufają mu i zwierzają się, ale nie mają zbyt dużo pieniędzy do wydania.

— To nie powinno się było wydarzyć — mówi pan Brogan, wpatrując się w swoją szklankę wody sodowej.

— W porządku, nie zaczynajmy teraz. Już trochę za późno.

— Wiem — mówi pan Brogan. Wiem i jest mi przykro, Monty. Nie powinienem był nigdy dać ci się w to zaplątać.

Monty puka knykциями w blat stołu.

— Hej, zostawmy to. Nie masz z tym nic wspólnego, rozumiesz? Nie zaczynaj z tym teraz.

— Chciałbym tylko, żebyśmy mogli o tym porozmawiać. Mogłeś zarobić takie same pieniądze w *prawdziwym* biznesie, nie potrzebowałeś tego... Nie powinienesz być nigdy w to się wplątać.

Ale pieniądze nigdy nie były tym, co najbardziej pociągało Montiego. Nie wyrósł w biedzie i nie był zachłanny. Lubił szybkie samochody i włoskie buty, ale nie potrzebował ich, nie pragnął ich. Bardziej chodziło mu o władze. Władza pomaga zdobywać pieniądze, a

pieniądze pomagają zdobywać władzę, ale władza to nie pieniądze. Władza — to wejść do sklepu i wiedzieć, że możesz kupić wszystko, co jest na półkach. To prawda, ale władza to też to, że sprzedawca otwiera sklep po godzinach, żebyś mógł przechadzać się pomiędzy regałami sam ze swoją dziewczyną. Władza to również to, że sprzedawca otwiera magazyn na zapleczu, by pokazać ci najnowszą, zafoliowaną jeszcze dostawę. Władza to to, że sprzedawca będzie stał cicho w kącie, gdy ty wybierasz i nie będzie się skarżył, jeśli będziesz obmacywał towar lub przez godzinę całował się ze swoją dziewczyną, bo on wie o tobie i wie, że nie warto robić problemu. Władza — to dzwonić rano i mieć na ten sam wieczór najlepsze miejsca w Madison Square Garden. Władza to wchodzenie do nocnego klubu przez wejście dla personelu i unikanie tym samym przejścia przez bramkę z wykrywaczem metalu. Władza to puszczanie w metrze oka do policjanta-tajniaka — ty wiesz, kim on jest, on wie, kim ty jesteś, ale mrugasz do niego, bo on jeździ sfatygowanym buickiem, a ty corvetta i nie może cię tknąć.

Teraz corvetty już nie ma. Rząd zajął ją po odczytaniu aktu oskarżenia. Monty zastanawia się, gdzie ona teraz jest. Może zaparkowano ją na jakiejś snobistycznej, podmiejskiej drodze dojazdowej, albo może wciąż czeka na parkingu federalnych na dzień aukcji. Monty nie kocha samochodów, jak to się zdarza niektórym mężczyznom, ale był dumny ze swego pojazdu, dumny z jego opływowej, czarnej bryły, pomruku silnika, sposobu, w jaki mógł śmigać pomiędzy samochodami w godzinach szczytu. W szczęśliwe dni łapał zieloną falę i, płynąc, wracał do domu.

Za trzynaście godzin domem stanie się Więzienie Federalne Otisville. Zabierze go tam autobus. Dadzą mu do podpisania odpowiednie

dokumenty, szybko go obszukają i ponownie pobiorą odciski palców.

Monty nie wspomina ojcu o Otisville, o corvettecie, czy o wyznacznikach władzy. Zamiast tego mówi:

— Nie słyszałem, żebyś się skarżył, jak pożyczałeś pieniądze. Nie było wtedy ani słówka.

— Nie. Masz rację. To był błąd.

Pan Brogan pamięta, jak Monty był niemowlakiem, czerwonym i kąpiącym. Chłopiec mrużył oczka, prawie je zamykał i walił nogami w niebieski kocyk, na którym leżał, popłakując słabo i wydając krótkie pojękiwania. Matka wyjmowała go z łóżeczka, podtrzymując dłonią główkę. Spacerowała z nim na rękach i śpiewała. Zawsze fałszowała, ale Monty zdawał się tego nie zauważać. Patrzył na nią uważnie, ze wzrokiem utkwionym w jej zielonych oczach. Albo czytała mu obrazkową książkę, gdy opierał swoją kędzierzawą główkę o jej pierś. Ona mu czytała, a on słuchał cicho, na długo zanim zrozumiał, co znaczą słowa: *Dobranoc gwiazdy, dobranoc powietrze, dobranoc hałasy*. Pan Brogan stał wtedy w drzwiach, zawsze troszkę z boku. Niezupełnie zazdrosny, ale zawsze świadomy, że jest to przymierze, którego może być tylko świadkiem.

Było coś niezłomnego w miłości dziecka do matki i w jej miłości do dziecka. Byli piękną parą. Później, gdy razem chodzili wzdłuż ulicy, trzymając się za ręce, ludzie oglądali się za nimi i uśmiechali. Jaki słodki chłopczyk. Uparła się, żeby nazwać swego syna po Montgomerym Cliftcie, jej ulubionym aktorze i spełniła swoje marzenie, pomimo protestów męża. Pan Brogan czuł się nieswojo. Sądził, że nazwanie ich jedyne go syna imieniem upadłego filmowego aktora przyniesie pecha.

Ale chłopiec już nazywał się Montgomery i pan Brogan był

szczęśliwy, że mały wygląda tak, jak matka: te same gęste, czarne włosy, te same drobne, równe zęby, ten sam prosty nos, te same oczy — tak zielone, że aż niepokojące. Monty był ślicznym chłopcem i wyrósł na pięknego mężczyznę. Pan Brogan zawsze był dumny, że ma takiego przystojnego syna. Teraz wolałby jednak, żeby Monty był nieco mniej przystojny.

— Muszę się zbierać, tato. Za kilka minut mam spotkać chłopaków.

Kotlet cielecy leży niemal nietknięty na talerzu Montiego.

— Będę tam jutro — mówi pan Brogan i wyciąga portfel z kieszeni marynarki.

— Jutro? Po co? Wsiadam do autobusu i odjeżdżam.

— Zapomnij o autobusie. Odwiozę cię. Zabierze to o połowę mniej czasu.

Monty marszczy się, wycierając serwetką usta i odsuwa krzesło od stołu.

— Nie, dzięki tato. Wolałbym pożegnać się tutaj.

Pan Brogan wyciąga małą fotografię ze swego portfela i wręcza ją synowi.

— Weź to. Pozwolą ci to zatrzymać.

Monty ostrożnie trzyma zdjęcie w palcach. Ich trójka, cała rodzina stoi przed bogato udekorowanym drzewkiem. Z tyłu napisano ołówkiem: *Boże Narodzenie 1976*. Sześciolatek Monty, ubrany w żółtą piżamę z myszką Mighty, trzyma mamę za rękę i patrzy w podłogę. Pan Brogan pamięta, jak błagali, żeby chłopczyk się uśmiechnął, żartowali, grozili — wszystko na nic.

Pan Brogan opowiada tę historię i Monty kiwa głową, chociaż nic



takiego nie pamięta. Boli go, gdy patrzy, jaka ona była śliczna, jaka młoda, bo nie może jej takiej pamiętać; nie może przypomnieć sobie jej pięknej, tylko zmarnowaną i wykrzywioną na szpitalnym łóżku.

Pan Brogan chrząka. — Ona...

— Nie, tato — mówi Monty, wciąż patrząc na jej twarz. — Nie teraz.

Monty ostrożnie wkłada fotografię do swego portfela, kładzie na stole pieniądze za kolację, całuje ojca w czoło i wychodzi z restauracji. Pan Brogan zamyka oczy i wsłuchuje się w swój własny oddech. Miał jedną żonę i jest pogrzebana w Woodlawn; ma jednego syna i został skazany na Otisville.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

**CZŁOWIEK BEZ TWARZY** puka do drzwi we śnie Naturelle, ale dźwięk się nie zgadza, jest zbyt wysoki i Naturelle pojmuję, że słyszy stukanie pazurów Doyle'a o drewnianą podłogę. Szorstki język zaczyna lizać ją po twarzy, aż wreszcie dziewczyna otwiera oczy.

— Cześć, cześć.

Przednie łapy Doyle'a opierają się mocno o materac, a brązowe oczy tkwią nieruchomo w jego spłaszczonym łbie.

— Przestań, Doyle. Złaż. Złaż już. Złaż na dół.

Znów liże jej twarz, a ona próbuje go zrzucić. Doyle myśli, że Naturelle chce się bawić, więc schyla łeb, by polizać jej nadgarstek. Dziewczyna siada i patrzy na elektroniczny zegarek stojący na nocnej szafce: 9:23. Przez sekundę wierzy, że to już rano, że Montgomery już wyszedł, że przegapiła wszystko. Ale na zewnątrz jest ciemno, tak ciemno, jak może być w mieście. Nadchodzi noc. A to, co dręczy ją najbardziej to uczucie, które przemknęło jej w momencie, gdy była pewna, że jest już rano — nie panika, czy rozczarowanie, ale ulga.

Doyle głośno szczeka. Naturelle patrzy na niego z poczuciem winy, jakby pies mógł odczytać jej myśli.

— Co? — pyta. Pies patrzy na nią, merdając kikutem ogona. — Teraz?

Podnosi się z łóżka i podchodzi do okna, patrzy na płatki śniegu opadające wolno na ulicę. Już kilkucalowa warstwa pokrywa zaparkowane samochody.

— Śnieg pada — mówi do psa. — Nie wiem, Doyle. Naprawdę

porządnie pada.

Doyle znów szczeka, stojąc tym razem obok szafy i Naturelle podnosi ręce w geście poddania.

— No dobrze, no dobrze.

Schyla się i dotyka palcami czubków stóp. Otwiera drzwi szafy i zaczyna szukać swojego dresu do joggingu. Gdy wskakuje w spodnie, Doyle pędzi do salonu. Naturelle słyszy jego pazury ślizgające się po podłodze, jego podekscytowany oddech, jego muskularne ciało objajające się o meble.

Dziesięć minut później biegną już wokół stawu w Central Parku. Śnieg pada grubymi płatkami, ścieżkę widać nie dalej niż na dwanaście jardów. Poza ogrodzeniem z łańcucha, po lewej stronie, nie widać nic oprócz bieli; kilka drzew po prawej, kępa krzaków i drzew wtapia się w nicość. Naturelle ma bluzę z kapturem i grube rękawice. Spuściła Doyle'a ze smyczy i pies biega luzem, to dwadzieścia stóp z przodu, wywączując zamarzną kupę, to znów trzydzieści stóp za nią, goniąc przerażoną wieiórkę. Naturelle wie, że Montgomery byłby wściekły, widząc psa biegnącego bez smyczy. „*Daj miastu pretekst, a usmażą pit-bulla na maśle*” — lubił mawiać Monty. Bieganie *i jednocześnie* kontrolowanie psa jest jednak zbyt wyczerpujące. Doyle jest zbyt silny, nawet dla samego siebie.

Pytała Montgomeryego z tuzin razy, co zamierza zrobić z psem, ale nigdy nie dostała jasnej odpowiedzi. Dokąd pójdzie Doyle? Po lutym, za który Monty już zapłacił, Naturelle będzie musiała się wyprowadzić. Wróci do Bronxu i pomieszka z matką, zanim nie znajdzie pracy i własnego kąta. Pani Rosario nigdy nie pozwoliłaby psu — ani niczemu

innemu, co należy to Montgomeryego Brogana — przekroczyć progu jej domu. Doyle i pani Rosario spotkali się jeden raz i zapalali do siebie nienawiścią: pies położył uszy i warczał od chwili, jak poczuł jej zapach, a kobieta, krzywiąc się powiedziała:

— Wygląda jakby był przeżuty przez szczury. Montgomery, żeby już wszystko zepsuć, wskazał farbowane włosy pani Rosario i wyjaśnił:

— To pewnie włosy. On nie znosi niczego, co ma czerwony odcień.

Matka ostrzegała Naturelle przed Montym i teraz, kiedy okazało się, że miała rację, nie pominie żadnej okazji, żeby to podkreślić. Naturelle najbardziej złości fakt, że matka wydaje się być zadowolona z całej sytuacji i z tego, że kapryśny, biały chłopak zmienił się w kryminalistę.

— Nie wiem, dlaczego tam zostajesz — mówiła pani Rosario. — Ktoś przyjdzie zastrzelić tego chłopaka i ciebie też zabije, jak tam będziesz.

Najbardziej denerwujące w tych komentarzach matki jest to, że Naturelle ma takie same myśli, ukryte gdzieś głęboko.

Zawsze wiedziała, że pewnego dnia Monty zostanie aresztowany albo zamordowany, że wstanie rano z łóżka i już nie wróci na noc. Nie mogła wyobrazić sobie starości z nim. W ogóle nie mogła wyobrazić sobie Montiego starzejącego się. Próbowwała w myślach posiwić jego włosy, pokryć zmarszczkami skórę i zakłócić jego luźny krok, ale Monty uwalniał się od tej charakteryzacji i uśmiechał do niej szeroko — wolny, swobodny i nieustannie młody. On nie dbał o uczucia swojej rodziny i przyjaciół. Zawsze był kochany; nigdy nie musiał ciężko pracować na to, by być kochanym.

Dlaczego więc Naturelle zostaje? Często, gdy robiła mu zdjęcia,

Monty prowadził samochód, a jego lewa ręka obejmowała dół kierownicy. Pamięta, jak kiedyś jechała z nim po Drugiej Alei, światła układały się szczęśliwie w zieloną falę i pędzili sobie beztrosko. Monty wybijał palcami, na wewnętrznej stronie jej uda, rytm muzyki płynącej z radia. Nagle, przy Dwunastej Ulicy, żółta taksówka wypadła na czerwonym świetle i Naturelle wiedziała, że nie mają czasu na wyhamowanie. Wiedziała już, co się wydarzy: widziała corvetę taranującą bok taksówki, widziała ich zgnieciony dach i ich ciała wyrzucone z auta, widziała, jak to wszystko rozgrywało się błyskawicznie — tylko, że to się nie wydarzyło. Monty przyspieszył i ominął taksówkę z tyłu, niemal ocierając się o jej zderzak. Jego palce nawet na chwilę nie zmyliły wybijanego rytmu.

Trzydzieści sekund później, gdy Naturelle mogła już wydobyć głos, powiedziała:

— Myślałam, że się zabijemy.

— Taksówka? Widziałem, jak wyjeżdża.

Zacząli nadawać reklamy i Monty przełączał stacje radiowe, aż znalazł piosenkę, która mu się podobała.

I właśnie dlatego go kochała, dlatego że w swoich najlepszych momentach miał więcej gracji niż którykolwiek z mężczyzn, jakich w życiu spotkała, dlatego że czasem robił cuda i nawet tego nie zauważał.

Były wieczory, zanim zaczęły się wszystkie problemy, gdy Naturelle nie umiała wyobrazić sobie, że mogłaby kiedykolwiek być z kimś innym. Czuła się ważna będąc z nim. Ludzie patrzyli na nich, przestawali gestykulować i szeptali, gdy oni wchodzili do restauracji. Bramkarze w większości klubów nocnych na Manhattanie znali Montiego; widząc go podchodzili, witali i, obejmując swoimi wielkimi rękami jego ramiona, za-

trzymywali na cichą, minutową rozmowę. Nawet gdy Monty nie znał bramkarza stojącego w drzwiach, maszerował z Naturelle na początek kolejki, mówił: „Jestem Montgomery Brogan” i wprowadzał ją do środka. Nikt nigdy go nie zatrzymywał i nigdy nie zapłacił za wejście. Naturelle wyobrażała sobie, że część tych bramkarzy znała jego nazwisko i wiedziała, że zawsze daje ochronie hojną działkę. W innych znów przypadkach była pewna, że samo nazwisko nic nie znaczy. To raczej sposób, w jaki Monty je wypowiadał. Wiedział, że wejdzie i bramkarze to czuli, i nigdy go nie zatrzymywali.

Naturelle słyszy kroki doganiającego ją innego biegacza. Rzuca spojrzenie przez ramię: samotny mężczyzna w poliuretanowym stroju do joggingu i narciarskiej czapce. Doyle — zastanawia się — gdzie jesteś?

— Drugi fanatyk, co? — mówi mężczyzna, zwalniając tempo i dostosowując krok tak, by biec obok niej. Naturelle nie odpowiada, ale kiwa głową. — Myślałem... że będę tu dziś jedynym biegaczem. Ile okrążeń pani robi?

— Trzy — odpowiada, przeszukując wzrokiem krzaki w poszukiwaniu czarnego psa.

— Biegnie pani w dobrym tempie. Była pani... w szkolnej reprezentacji, co?

— Nie — zaprzecza Naturelle, która wygrywała wszystkie zawody przez cztery lata szkoły.

— Mamy firmowe zawody... w marcu — dyszy, biegnąc, a jego słowa oddzielane są wielkimi obłokami wydychanego powietrza. — Wie pani... dziesięć kilometrów na cel charytatywny... to wszystko. Mój bank daje dużo pieniędzy... ale tylko jeśli... ukończę bieg.

— Powodzenia. — Naturelle próbuje podjąć decyzję, czy przyspieszyć, czy raczej zwolnić.

— Pracuję na Shreve, w Zimmer... Banku. Zdecydowawszy, że mężczyzna jest bliski wyczerpania, Naturelle przyspiesza.

— Mam przyjaciela, który tam pracuje.

— Taak? Kto... jak się nazywa?

— Frank Slattery. Zna go pan?

— Słyszałem opowieści o *tym* facecie... Umieram... dobra... Frank Slattery.

— Jakie opowieści?

— Boże, niech pani zwolni... on jest pani dobrym przyjacielem?

— Tak mi się wydaje — odpowiada po zastanowieniu Naturelle.

— Mocno dzisiaj pada, nie?

— Jakie opowieści?

— Niezłe ma pani tempo... o, kurczę... Nie znam go dobrze, ale... niech pani zwolni, niech pani zwolni... ojej... jest podobno... niezłym gościem.

— Naprawdę?

— Ma twardy tyłek. Znaczy... niech mnie licho... znaczy, że dziś o mało co się nie wyłożył.

— Naprawdę?

— No... tak by się nie stało. Jest gwiazdą. Jezu, kobieto... pani mnie zabije.

Doyle wyskakuje ze śnieżnej nicości, dziko ujadając, jego kły błyskają groźnie w świetle latarni.

— O cholera! Ja pieprzę! Co to?

Bankier wskakuje na ogrodzenie i wspina się do połowy wysokości, podczas gdy Doyle warczy na dole obnażając zęby.

— Hej — krzyczy Naturelle. — Hej Doyle! Chodź tutaj! Doyle! Chodź! Chodź tutaj.

W końcu Doyle wykonuje polecenie i podbiega do Naturelle.

— Bezpiecznie? — pyta bankier.

— Przepraszam bardzo. Jest trochę nadpobudliwy.

— Nadpobudliwy? Tak pani to nazywa?

Bankier zeskakuje z płotu i staje obok, opiera ręce na biodrach i ciężko dyszy. Naturelle biegnie w miejscu, mając nadzieję, że facet nie dostanie zawału.

— Wszystko w porządku?

— To coś... o Jezu... Czy to coś jest pani?

— Mojego chłopaka.

— Jest... — mężczyzna zaczyna się śmiać — Ale mam szczęście, co? Jedyna kobieta, jaką spotkałem... poza biurem w ciągu ostatniego miesiąca i ma... ma chłopaka i pitbulla. O Boże... W porządku... Wszystko ze mną w porządku. Chłopak i pitbull. I na dodatek nawet nie mogę za nią nadażyć — znów się śmieje, patrząc na Naturelle i potrząsając głową. — Przepraszam, ale rzadko wychodzę. Trzymają nas tam po sto godzin tygodniowo.

— Przepraszam za Doyle'a — mówi Naturelle, odwracając się od mężczyzny i zaczyna biec dalej.

— Hej — woła za nią.

Naturelle zawraca i biegnie z powrotem, patrząc na bankiera.

— Jest pani Włoszką? — pyta.



— Portorykanką — kręci głową dziewczyna.

— No dobrze — zastanawia się przez chwilę. — Ale jest pani katoliczką, tak?

— Aha — Naturelle jest już teraz piętnaście jardów dalej, z Doylem przy boku. Bankier znika w śnieżycy.

— Jak się pani nazywa?

— Maria.

— Życz mi szczęścia, Mario! — krzyczy za nią. — Żebyś nie umarł, czy coś...

— Powodzenia! — krzyczy Naturelle i odwraca się do psa — A ty jesteś niedobrym psem. Jeszcze raz mnie tak zostawisz, a skopię ci ten twój mały, czarny zadek.

Biegna przez śnieg. Naturelle oddycha lekko, a jej małe stopy wybijają równy rytm. Dwa lata temu biegła w maratonie. Piękny dzień. Połowa miasta stała i patrzyła na nią i jej kompanów, zjednoczonych wspólnym celem, biegnących przez pięć okręgów wyborczych. To nie były zawody. I to właśnie było w tym piękne. Nikt tak naprawdę nie dbał o to, które miejsce zajmie. Ukończenie — to był cel. Biegając w tysięcznym tłumie przez Verrazano, Naturelle po raz pierwszy w życiu poczuła, że rzeczywiście należy do tego miasta, że jest jego częścią.

Podczas końcowych mil maratonu, biegnąc Osiemdziesiątą Szóstą Ulicą na Manhattanie, wypatrywała Montiego, który obiecał jej, że tam będzie. Nie było go. Przeszukiwała oczami tłum, wypatrując jego twarzy, ale nie mogła go znaleźć. I biegnąc, zdała sobie sprawę, że jego to w ogóle nie obchodzi. Trenowała przez pięć miesięcy, biegła po sześćdziesiąt mil tygodniowo, ustaliła specjalną dietę ograniczającą spożycie wę-

glowodanów — co było najgorszą sprawą. Naturelle odziedziczyła swój apetyt na słodycze po dziadku, który przybył do Bronxu, będąc młodym chłopakiem, i pracował w szpitalu Mount Sinai jako sanitariusz. Przynajmniej trzy razy dziennie potrzebuje swoich smakołyków: czarnej lukrecji, białej czekolady, żelków o smaku coca-coli, lodów o smaku masła orzechowego, ciasteczek z orzechami makadamia, kokosowych cukierków, trufli, kandyzowanej skórki pomarańczowej, chałwy — czegokolwiek pysznego. Przez pięć miesięcy obywatela się bez swoich ukochanych słodyczy, pięć miesięcy spartańskiego życia z namiastkami: z figami, nektarynami i bananami. Naturelle zawsze wzdychała, obierając banana. Jak można się ekscytować bananem? Ale ona to zrobiła, włożyła dużo pracy w to, by w dzień maratonu być w swojej najlepszej formie, mieć dobry nastrój, lekkie, szybkie nogi i świetnie wyglądać. A mężczyzna, z którym była, który zarzekał się, że ją kocha, spał w ich wielkim łóżku albo rozmawiał cicho przez telefon, albo oglądał kreskówki o tym, jak kot z myszą ganiają się po domu.

Była na niego wściekła aż do Osiemdziesiątej Pierwszej Ulicy, dopóki nie usłyszała go wykrzykującego jej imię, nie obejrzała się i nie zobaczyła, jak próbuje ją dogonić.

— Boże, nie słyszałaś, jak cię wołałem? Ile cholernych Naturelli może tu być?

Grupka stojących niedaleko obserwatorów zaczęła się śmiać i Monty, spojrzawszy na nich, również się roześmiał. Był ubrany w białą koszulkę i dzinsy. Wyglądał jakby wciąż był w szkole. Biegli ramię w ramię.

— Jesteś głodna? — Trzymał obraną pomarańczę, podzieloną na ćwiartki i wyciągnął w jej stronę trzy, trochę zgniecione. — Zjadłem jedną

— powiedział. Naturelle uśmiechnęła się i zjadła mu owoc z ręki.

— Jesteś teraz w pobliżu domu. Pomyśl tylko: za godzinę moglibyśmy być w gorącej kąpiel. Zaczekam na ciebie w parku, dobra?

— Taak?

— Cholera, dwadzieścia sześć mil. Jesteś nienormalna. — Klepnął ją w tyłek i pobiegła dalej z ustami słodkimi od pomarańczy.

Piękny dzień. Później siedzieli w wannie i Monty masował jej łydki, a ona oparła się i zamknęła oczy. Gorąca woda, ręce Montiego, Aretha Franklin w radio... Naturelle uśmiecha się, przypominając sobie to wszystko i nagle zaczyna głośno się śmiać, gdy uświadamia sobie, jak dużo kosztowało Montiego bycie takim słodkim. Nie mógł długo tak wytrwać. Trzymając jej nogę nad wodą, wodził palcami po wytatuowanej na kostce, portorykańskiej fladze.

— Tylko nie to — mruknęła.

— Urodziłaś się w Ameryce, mieszkasz w Ameryce całe swoje życie, w Puerto Rico byłaś tylko dwa razy i to na wakacjach. Co to jest? Czy ja powinienem wytatuować sobie irlandzką flagę na tyłku, bo stamtąd właśnie pochodzą moi dziadkowie?

— Nie masz na tyłku *miejsca* na tatuaż.

— Doprawdy? — szturchnął ją w bok. — Czy rzeczywiście tak jest?

— Masz mały, chudy tyłek białego chłopca — powiedziała, szczypiąc go pogardliwie w pośladek.

— Jak się to uśredni, to nasze dzieci będą w sam raz. Monty żartował na temat ich przyszłych dzieci; Naturelle nigdy. Nie mogła go sobie wyobrazić jako ojca. Z łatwością wyobrażała sobie to, jak zapładnia kobietę, ale nie jak zostaje ojcem. Widok Montgomerygo idącego przez

park i niosącego dziecko na plecach był śmieszny i nierealny.

Naturelle i Doyle skończyli swoje rundy i oddalają się od stawu na wschód. Na Piątej Alei dziewczyna wyciąga smycz z kieszeni, ale pies jej się wymyka. Naturelle wie, co ten unik oznacza; wyciąga z kieszeni bluzy plastikową torebkę i czeka. Widzi napis SANE SMITH, wykonany sprayem na latarni i przypomina sobie, jak Monty powiedział jej, że Sanę Smith nie żyje, utopił się w East River.

Doyle, unikając jej spojrzenia, kuca i brudzi czysty śnieg. Zawsze wygląda na lekko zakłopotanego, gdy załatwia swoje sprawy. Naturelle zastanawia się, czy Doyle urodził się wstydlivy, czy może nieśmiałość została w niego wbita przez poprzednich właścicieli. Do tej pory pies kuli się, gdy ktoś obcy wyciąga do niego rękę, chcąc go pogłaskać.

Po skończonym rytuale, biegną do Alei Lexington. Naturelle przywiązuje Doyle'a do budki telefonicznej i wchodzi do „Papaya King”.

— Cześć, Luis. Poproszę kokosowy szampan, duży. Przygryzając słomkę, Naturelle siedzi na krześle i wygląda przez szybę drzwi. Doyle czeka na śniegu, smutnie zerkając na przechodniów.

— Minutkę, piesku — szepce Naturelle, sącząc swój słodki drink i patrzy na czarnego psa drżącego na mrozie.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

**KIEDY MONTY MIAŁ** dwadzieścia trzy lata, prawie wziął udział w zabójstwie Billiego Marra — gwiazdora filmowego. Monty poznał Kostię miesiąc wcześniej na obiedzie, w jednej z restauracji Wujka Blue w Brighton Beach.

— Od teraz — powiedział Wujek Blue, wycierając brodę serwetką z czerwonego materiału — wy dwaj będziecie pracować razem.

Nigdy nie wyjaśnił, dlaczego uważał, że takie partnerstwo jest dobrym pomysłem, albo jak mają się podzielić robotą. Monty od razu nie polubił Kostii. Irytował go wielki człowiek, ciągle błaznujący i przechwalający się. Drażnił go sposób, w jaki Kostia się upijał i śpiewał na ulicy piosenki Bruce'a Springsteen'a albo klękał przed spieszącą się kelnerką i recytował z pamięci rosyjską poezję. Kostia nazywał Montiego „przyjacielem” od pierwszego spotkania. Ignorował jego opryskliwość i podbił go tą pewnością, że ich przeznaczeniem jest bycie partnerami. Monty wiedział, że Ukrainiec jest niebezpieczny. Któregoś wieczoru, w tureckiej łaźni widział pokryty bliznami brzuch Kostii. Poza tym Kostia był jedynym, znanym Montiemu, człowiekiem śpiącym z automatem pod poduszką. Z drugiej strony jednak, Monty potrzebował mieć kogoś niebezpiecznego u swego boku. Sam był zbyt łatwym celem. W Nowym Jorku są tysiące heroinowych bandytów, którzy zdobyli pieniądze, rabując dealerów. Dealerzy są wyśmienitym celem, bo noszą pliki gotówki i nigdy nie wezwą policji, gdy się ich obrobi. Mając Kostię, Monty miał ochroniarza, kogoś, kto straszy samą swoją obecnością.

Mieli spotkać Billiego Marra w jego mieszkaniu w Chelsea. Monty

oparł się o ścianę korytarza, patrząc, jak Kostia wali w drzwi, naciska przycisk dzwonka i mamrocze przekleństwa. Wreszcie, po pięciu minutach wpuściła ich zniewalająca urodą dziewczyna, którą Monty ocenił na osiemnaście lat. Miała na sobie czarny szlafrok z wyhaftowanym na plecach chińskim smokiem, a na głowie turban z zielonego ręcznika. Wprowadziła ich do salonu i odeszła bez słowa. Wszystkie meble były białe. Nad kominkiem wisiał tryptyk kobiecych aktów, malowanych srebrną farbą. Trzech chudych młodzieńców rozpierało się na sofie, trzymając w objęciach czterdziestouncjowe butelki piwa. Przez moment popatrzyli na Montiego i Kostię, po czym odwrócili się z powrotem do telewizora, do materiału o katastrofach lotniczych: dwa samoloty zderzające się nad pasem startowym, myśliwiec roztrzaskujący się o dziób lotniskowca, człowiek, któremu nie otworzył się spadochron i spada, spada i spada. Kamera obserwuje go z ziemi: skoczek jest najpierw widoczny jako punkt na niebie i rośnie coraz większy, aż, na sekundę przed uderzeniem, jego otwarte usta są ostre i wyraźne. Uderza w ziemię tak mocno, że jego ciało podskakuje.

— Ouch — powiedział Kostia. — Czy wiecie chłopcy, gdzie jest teraz Billy Marr?

— Kim jesteście? — spytał jeden z chudzielców, nie odrywając wzroku od telewizora.

— Wezwał nas — powiedział Monty. — Jesteśmy przyjaciółmi Wujka Blue.

Dziewczyna w czarnym szlafroku znów się pojawiła, obierając mandarynkę. Turban zniknął. Miała popielato-blond, krótko ostrzyżone włosy.

— Hej, handlarz złudzeń — powiedziała.

— Luzik — rzekł chudzielec i wstał. — Billiego tu nie ma. Przechowamy to dla niego.

Monty zignorował go i zwrócił się do dziewczyny:

— Wujek powiedział, że mamy porozmawiać z Billym. Wiesz, kiedy wraca?

— Nie będzie go przez cały wieczór — odpowiedziała, rzucając na podłogę skórki mandarynki i dzieląc owoc. — Ile tego jest? Gianni, chłopaki macie jakąś gotówkę?

Trzej młodzieńcy zaczęli odgrywać pokaz grzebania po wszystkich kieszeniach.

— Dwanaście tysięcy dolarów — powiedział Monty i mężczyźni przestali grzebać.

Dziewczyna wzruszyła ramionami, ten ruch spowodował, że dekolt szlafroka rozsunał się. Monty rzucił okiem na białą pierś i spojrzał w jej znudzone, niebieskie oczy. Chciał, żeby dziewczyna zaoferowała mu kawałek mandarynki, ale oczywiście nie zrobiła tego.

— Dlaczego po prostu nie zostawicie mu tego tutaj? — spytała. — On jest ok. To przecież Billy Marr.

— Tak się nie da — roześmiał się Kostia. Dziewczyna wypluła pestkę.

— Jak chcecie poczekać, to mogę wykonać kilka telefonów. On jest przecież tu albo tam.

Spędzili godzinę, czekając. Zajęli sofę, kiedy Gianni i jego przyjaciele wynieśli się do innego pokoju. Kostia otoczył ręką ramię Montiego i mówił cicho do ucha młodszego mężczyzny.

— Bardzo głupie, to co zrobiłeś.

Monty mógł wyczuć w jego oddechu zapach miętowego płynu do płukania ust i czosnku.

— Co takiego zrobiłem?

— Nie znamy tych ludzi, co byli w salonie, a ty im powiedziałeś: „Dwanaście tysięcy dolarów.” Powiedziałeś im: „Jesteśmy przyjaciółmi z Wujkiem Blue.” Nigdy ich przedtem nie widziałeś i mówisz im o naszym interesie. Bardzo głupie. Nie wpieprz mnie, dobrze? Słyszysz? Wiesz, że mam przy sobie dwa gnaty. Nie wpieprz mnie. Nie chcę spędzić życia na składaniu więziennego prania.

Oglądali szybowiec rozbijający się o klif w Meksyku, helikopter wpadający do rzeki, wojskowy samolot transportowy, któremu w czasie lądowania złamało się przednie koło i, sunąc kadłubem po ziemi, zatrzymał się w hangarze.

— Jezu Chryste — powiedział Kostia. — Kto ogląda takie rzeczy?

W końcu dziewczyna ponownie się zjawiała, mając na sobie tym razem czarne, nylonowe spodnie i buty do koszykówki.

— Właśnie do mnie dzwonił. Jest u Pierre'a. Macie samochód? Podam wam numer pokoju.

— Mamy samochód — powiedział Kostia, wstając. — Chodźmy na spotkanie pana Gwiazdora Filmowego.

Kiedy dotarli do pokoju Billiego Marra, na czwartym piętrze Hotelu Pierre, zastali drzwi otwarte kartą obsługi hotelowej. Nierozłupany homar spoczywał na łóżku z wodorostów, jeden ze złamanych czułków sterczał wetknięty w roztopione masło.

— Biedny skurwysyn — powiedział Kostia. — Ugotowany na



darmo.

Weszli i zamknęli za sobą drzwi. Pokój był ciemny. Billy Marr stał przy oknie, pałac cygaro i obserwując światła płynących Piątą Aleją samochodów. Miał na sobie białą koszulkę i czarne dżinsy. Był w wieku Montiego, szczupły, dobrze wyglądający, znany ze swego uśmiechu, na widok którego kobiety traciły rozum z pożądania. Ale w ciemności był nijaki, po prostu szczupły cień. Odwrócił się i kiwnięciem zaprosił gości bliżej.

— Jesteście stąd, chłopcy?

— Z Nowego Jorku? — zapytał Monty.

— Wywnioskowałem, że nie jesteście z Hotelu Pierre — roześmiał się Billy Marr.

— Ja jestem z Ukrainy — powiedział Kostia. — Mój przyjaciel jest z Nowego Jorku.

— A gdzie jest Dakota? — zapytał aktor, wskazując okno. Monty pokazał rząd budynków po przeciwnej stronie ciemnej plamy Central Parku.

— To jeden z tych, nie wiem który.

— Tam mieszkał John Lennon z Yoko Ono. Tam go zastrzelili. Chciałbym zabrać tam jutro moją dziewczynę. John Lennon był bogiem.

Dupkiem, a nie bogiem, pomyślał Monty, dupkiem, który dał się zabić pod własnym blokiem.

— Słuchajcie, bracia — powiedział Billy Marr. — Jestem gotów się zaciągnąć. Dziesięć godzin temu byłem pijany w Londynie.

— Jesteśmy gotowi w momencie, gdy ty jesteś gotów — powiedział Kostia, uśmiechając się i pokazując swoje sztuczne, zbyt białe zęby.

Billy Marr spogląda! na nich przez moment i roześmiał się.

— No tak, pieniądze. Moja głowa wciąż jest w Anglii. — Wyciągnął portfel z tylnej kieszeni i wyjął czek.

— Nie bierzemy czeków, panie Marr — tym razem roześmiał się Kostia.

— Żartujecie — zmarszczył się aktor. — Zawsze płacę moim chłopakom w Los Angeles czekami.

— Ale nie nam — wzruszył ramionami Kostia.

— Myślicie, że nie mam pokrycia? Podcieram tyłek czekami na dwanaście tysięcy.

— Przyjmujemy karty American Express — powiedział Monty.

— Naprawdę?

— Nie, nie naprawdę. Już trzy godziny łazimy, szukając cię. Co to ma być?

— Uspokój się — powiedział Kostia, kładąc Montiemu swoją ciężką dłoń na ramieniu.

— Wiecie, kim jestem? — zapytał aktor zmrużywszy oczy. — Wiecie, z kim rozmawiacie? Jestem Billy Marr.

— Jestem Montgomery Brogan.

— Tak, świetnie. Słuchaj — powiedział aktor, zwracając się do Kostii. — To nie kwestia pieniędzy. Jeśli jest jakiś problem, to może z zaufaniem, ale pieniądze to nie problem.

— Kwestią — powiedział Kostia — są właśnie pieniądze. Billy Marr westchnął ciężko i szturchnął Montiego palcem w pierś.

— Pozwól, że ci coś powiem, bracie. Chodź tutaj. Kostia puścił ramię Montiego i we trzech podeszli do drzwi łączących salon z sypialnią i

łazienką.

— Nie hałasujcie — powiedział aktor, otwierając drzwi.

Telewizor był włączony i oświetlał na niebiesko łożę z baldachimem, białe prześcieradło, perkalową kołdrę i śpiącą na boku kobietę. Billy Marr podszedł do niej na palcach i przyglądał się jej twarzy. Wolno, wolniutko odsunął przykrywającą ją kołdrę i odkrył jej nagie ciało pogrążone we śnie.

Była bardzo piękna. W przyciemnionym pomieszczeniu widać było delikatne rysy twarzy. Klatka piersiowa podnosiła się i opadała w rytm jej oddechu. Monty czuł, że nie powinien patrzeć, a jednak się patrzył: studiował jej uda w miejscu, gdzie spotykają się z biodrami, jej piersi na wpół osłonięte przez ramię, rozchylone usta wyglądające tak, jakby próbowała przemówić w swoim śnie. Billy Marr uśmiechnął się do Montiego i Kostii. Monty odwrócił się i wyszedł z sypialni.

Kostia, potrząsając głową, po minucie podążył za nim. Przysunął się blisko do Montiego, szepcząc:

— Wygląda jak moja kuzynka Zoya. Pokazywałem ci zdjęcia, nie? Pierwsza dziewczyna, jaką kochałem, Zoya. Straciła rękę w brzydkim wypadku, strasznym, w fabryce. Ale ciągle jest piękna. Jednoręka, ale piękna.

— To Cassie Whitelaw.

— Kto?

— Cassie Whitelaw. Jest z telewizji. Nigdy wcześniej jej nie widziałeś? „Szpital St. James”}

— „Szpital St. James”, Luisa Armstronga?

— Nie, to telewizyjny program rozrywkowy. Ona jest pielęgniarką,

jest zakochana w jednym z lekarzy.

Billy Marr cicho zamknął za nimi drzwi od sypialni.

— No? Widzicie, co na mnie czeka, bracia?

— Twoja dziewczyna? — spytał Kostia.

— Dwanaście tysięcy dolarów nic dla mnie nie znaczy — powiedział Billy Marr. — Pojmujecie, co mówię?

— Nie — powiedział Kostia. — Jeszcze nie.

— Mówię, żebyście nie odchodzili z moim proszkiem. Każdy z nas ma to, czego chce druga strona. Chyba się nie mylę?

Kostia spojrzał w stronę sypialni.

— Jest dziwką? Jest piękna, tak, ale nikt nie jest wystarczająco piękny, żeby zapłacić za niego dwanaście tysięcy dolarów.

— Nie — powiedział aktor. — Dam wam pieniądze jutro. To jest rodzaj zaliczki. Jest moją przyjaciółką. Powiem jej, że jesteście moimi starymi kumplami; ona wam pomoże. Nie jest dziwką, jest pieprzoną aktorką. Lubi zabawę. To co? Robimy interes?

Monty splunął na podłogę.

— Jesteś śmieciem — powiedział — kupczącym dupą Cassie Whitelaw.

— Czy ty jesteś nienormalny? Wiesz, kurwa, do kogo mówisz?

— Jesteś śmieciem, nie masz pieniędzy, a twoje filmy są gówniane.

Billy Marr zaczął iść w stronę Montiego z zaciśniętymi pięściami. Monty czekał. Aktor zatrzymał się i roześmiał.

— To jakieś szaleństwo. Jesteś niczym. Jesteś najemnym handlarzem proszku z jakimś Ruskiem udającym ochroniarza.

— Ukraińcem — powiedział Kostia.

— Jutro rano lecę do Los Angeles, tam z lotniska odbiera mnie limuzyna. Jutro po południu będę siedział na brzegu basenu w moim domu, sącząc na słoneczku szampana, a ty będziesz stał na rogu, sprzedając ten swój syf nastolatkom. To twoje życie. Następnym razem zobaczysz mnie w filmie, który będziesz oglądał w pierdłu. Jakiś trzystufuntowy czarnuch będzie cię lutował w dupę, a ty będziesz patrzył w telewizor, a ja będę się uśmiechał, skurwysynu. Będę się śmiał.

— Nie, jeśli cię dziś zastrzelę — powiedział Kostia.

Billy Marr spojrzał na twarz wielkiego mężczyzny i zamrugał oczami.

— No — powiedział — wszystko jest przecież w porządku. Nazwijmy to nieudaną randką, dobra? To wszystko było naprawdę złą randką w ciemno i teraz już wiemy, że więcej to się nie powtórzy. Prawda?

— Mój przyjaciel lubi strzelać, jak mu się nie uda randka — powiedział Monty. — Taki mają zwyczaj na Ukrainie.

Billy Marr przez chwilę nic nie mówił. Kostia trzymał jedną rękę w kieszeni płaszcza, a aktor obserwował tę rękę i potrząsał głową.

— Idę do łóżka. Dobrze? Idę do łóżka, idę spać, a jutro nikt z nas nie będzie o tym pamiętał. Dobrze? — Prześlizgnął się do sypialni, uchylając drzwi i zamknął je za sobą na klucz.

Kiedy zostali w pokoju sami, Kostia chwycił gotowanego homara z tacy. Próbował wsadzić go do kieszeni płaszcza, ale się tam nie mieścił, więc trzymał go w dłoni, gdy jechali windą w dół, gdy przechodzili przez hall, gdy czekali na przyprowadzenie samochodu.

— Cześć, jak się masz? — zapytał Kostia, potrząsając kleszczami homara. — Tak, ten gwiazdor filmowy wystawił cię dziś wieczorem,

wiem. Nas też wystawił do wiatru. Ale kobieta była piękna. Gdybyś widział tę kobietę, umarłbyś może odrobinę szczęśliwszy.

Portier podjechał corvetta Montiego i ten dał mu dziesięciodolarowy napiwek.

Rok później Billy Marr przejechał Cassie Whitelaw, miażdżąc jej obie nogi, po tym jak próbowała, po osiemnastogodzinnej popijawie, zabrać mu kluczyki od samochodu. W konsekwencji odbył sześciomiesięczną karę, z czego dwa miesiące w Północnej Kalifornii, w centrum rehabilitacji, mając do dyspozycji gorące kąpiele i boisko do siatkówki plażowej.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

**ZIELONE ŚWIATŁO ZAPALA** się i Slattery wchodzi na przejście. Jakob łapie go za łokieć. Auto z napędem na cztery koła pokonuje zakręt z dużą szybkością, zostawiając za sobą pomruk basów głośno grającego radia, widok roześmianych twarzy kierowcy i jego kompanów.

— Uratowałem ci życie — mówi Jakob, uśmiechając się.

Jest bardzo zadowolony, że to właśnie *jemu* udało się zauważyć nadjeżdżający samochód, że właśnie *on*, wbrew oczekiwaniom, wykazał się szybką reakcją. Ale Slattery nie okazuje wdzięczności, patrzy ze złością za znikającą ciężarówką.

— Widziałeś to? Śmiali się z nas! Te małe popaprańce o mało nas nie zabiły, a potem się z nas śmiały!

— Palanci — mówi Jakob. — Nastolatki. — Zastanawia się, czy byli jego uczniami. Gang gówniarzy niezadowolonych ze swoich ocen. Może Mary D'Annunzio im zapłaciła.

— Te małe śmiecie — Slattery wciąż stoi na krawężniku, patrząc przez padający śnieg w stronę, gdzie zniknęła ciężarówka. — Prawdziwi twardziele zamknięci w dwóch tonach stali.

Dziesięć minut później, siedząc przy stoliku obok okna w chińskiej restauracji, Slattery wciąż o tym mówi:

— No, spójrz tylko na te dzieciaki, urodzone w latach *osiemdziesiątych*, które nawet nie umieją jeszcze napisać własnego imienia. No, czysto, kurwa teoretycznie. No, przecież to jest tak: „Proszę bardzo, oto prawo jazdy uprawniające do prowadzenia dużej ciężarówki, kiedykolwiek tylko będziesz miał na to ochotę. Ciesz się. Idź na całość.

Nie martw się tym białym towarem. To tylko śnieg. Jeźdź tak szybko, jak chcesz". I wiesz co? Gdyby oni tylko zostali na Island albo w Jersey, albo gdziekolwiek, to w porządku. Świetnie. Niech się tam rozwalą. Ale czy oni muszą przyjeżdżać do centrum i narażać moje życie?

Jakob wygląda przez okno. Jakaś kobieta walczy z parasolką, próbując wyprostować pogięte druty, podczas gdy śnieg zbiera się w gąszczu jej rudych włosów. Patrzy na jej zmagania i zakochuje się w niej. Jakob na zawsze zakochuje się w kobietach zobaczonych przez okno, w ich nieuśmiechniętej determinacji, gdy ponuro dążą do swego celu. Ja tak nie potrafię, myśli smutnie i, odwracając wzrok, pogrąża się w żalu nad samym sobą. Zaparza herbatę sobie i Slattery'emu.

Podchodzi kelner, by przyjąć zamówienie, krzywi się na ich wybór i zabiera karty dań, nie mówiąc ani słowa. Jakob wyobraża sobie kelnera jako wielkiego poetę ich generacji, zmuszonego opuścić Chiny z powodu dysydentów i serwować ludziom bez talentu potrawy bez smaku, żeby tylko przeżyć.

Slattery wskazuje brodą na okno.

— Jest coraz gorzej.

— Mówili, że może spaść nawet stopa śniegu — mruczy Jakob.

Próbuje przepowiedzieć przyszłość z liści herbaty wirujących przy dnie filiżanki. Co się stanie z Montym? Gdzie jest teraz — na dworze, czy w jakimś ciepłym wnętrzu? I co teraz myśli, czy się boi? Musi się bać, chociaż Jakob nie potrafi wyobrazić sobie przyjaciela przestraszonego, nie umie wyobrazić sobie lęku na twarzy Montiego. To nie jest odwaga — to brak czegoś. Czasem Jakob zastanawia się, czy Monty wierzy w realność innych ludzi, w zagrożenie jakie mogą nieść.



Slattery widzi w szybie swoje własne, widmowe odbicie; łysiejącego ducha pomiędzy płatkami śniegu. Spogląda na Jakoba, na jego gęstą czuprynę. Co za strata, myśli Slattery.

— No, więc zrobiłem pewnego wieczoru kalkulacje i jesteś w sześćdziesiątym drugim centylu.

— Ze co? — pyta Jakob.

— Sześćdziesiąty drugi centyl. Wszyscy kawalerowie z Nowego Jorku, wszyscy *normalni* kawalerowie współzawodniczą o kobiety, zgadza się? To tak, jak maturzyści współzawodniczą o miejsca na dobrych uczelniach.

Jakob otwiera usta, żeby coś powiedzieć, zamyka je i znów otwiera.

— I ja jestem w sześćdziesiątym drugim centylu?

— Zgadza się.

— Innymi słowy. Jestem lepszy niż sześćdziesiąt dwa procent nowojorskich kawalerów.

— Jesteś notowany wyżej niż oni. Zgadza się.

— Ale gorszy niż co? Niż trzydzieści osiem procent?

— Trzydzieści siedem. Nie ma stu centyli.

Kelner podchodzi z tacą dań. Rozstawia je na stole i zdejmuje przykrywkę: smutna sterta warzyw na parze po stronie Jakoba, a stos połyskującego mięsa dla Slattery'ego. Jakob bierze swoje pałeczki do ręki.

— Jak doszedłeś do tych sześćdziesięciu dwóch?

— To twoje notowanie. Jest cały skomplikowany sposób do wyliczenia tego.

— Ach, więc jest cały skomplikowany sposób do wyliczenia tego. A ty? Jaką ty masz notę?

— Dziewięćdziesiąty dziewiąty centyl — mówi Slattery, chwytając palcami kluskę i maczając ją w sosie sojowym.

— Ha. Więc dobrze, poczekaj chwilkę. Kto wymyślił ten cały ranking?

— Ja.

— Ah tak, rozumiem. Ty wymyśliłeś ten ranking. I dostałeś dziewięćdziesiąt dziewięć. To bardzo interesujące. A na czym się to opiera? Jakie jest naukowe, że tak powiem, wytłumaczenie...

— Nie irytuj się tak — mówi Slattery z ustami pełnymi wieprzowiny i cebulek. To jest system. I to wcale nie znaczy, że jesteś złym człowiekiem.

— Tylko złym kawalerem.

— Nie. Ponadprzeciętnym kawalerem — Slattery wypuszcza parę z czajniczka na swoją dłoń. — Gorące. Zamówiłeś te wszystkie warzywa i nie jesz.

— Więc jakie są kryteria? — Jakob nabija kawałek warzywa na jedną z pałeczek.

— Chcesz trochę kluseczek?... Dobra, po pierwsze pieniądze. Nie masz ich. Już to samo wyklucza cię z pierwszych dziesięciu procent.

— Dziesięciu procent czego? Dziesięciu procent posiadaczy złota?

— Dziesięciu procent i kropka. Po drugie jesteś niski. Bez obrazy, ale wiele kobiet nie będzie zadawać się z kimś niższym od nich. Dlaczego się tak wkurzasz? To fakt. Ile masz? Pięć stóp i sześć cali?

— Pięć i osiem.

— Nie masz pięć i osiem.

Jakob używa pałeczki jak katapulty, żeby cisnąć strączkiem gorzycy

w twarz przyjaciela. Slattery łapie go w powietrzu i wpycha do ust.

— Pieprz się — mówi Jakob, ale nie brzmi to przekonująco. Jest jakaś niepewność w jego przekleństwach, jakieś zawahanie przed jego kurwami i pieprzeniem, wypowiedzanymi tak, jakby słowa przeszły przez autocenzurę. Mowa Montiego i Slattery'ego jest naszpikowana przekleństwami, ale u nich brzmi to zupełnie naturalnie.

— To po prostu fakt. I nie daj się temu zdołować — wzrusza ramionami Slattery.

Ale Jakob jest zdołowany. W szkole dojrzewał jako ostatni, Pyszczata Dziewica, typ grany w filmach przez śmiesznie wyglądające dzieciaki z aparatem na zębach, sterroryzowane i wyizolowane, ale tracące swoje dziewictwo z pięknosciami. Jakob czuje, że ma prawo do takiego zakończenia; czekał cierpliwie przez dziesięć lat. Nie, żeby był dziewicą — Jakob spał z trzema różnymi kobietami, wszystkie były na swój sposób atrakcyjne — ale *trzy*? Dwadzieścia sześć lat i tylko trzy kobiety? Wie, że nie powinien o tym myśleć w kategoriach statystycznych; nie dąży do pobicia rekordu Hanka Aarona. Ale jest ciężko, gdy twoi najlepsi przyjaciele szaleją z licealistkami, a ty oglądasz nudny talk show na dziesiątym kanale. Ciężko jest uczyć o „*Wielkim Gatsby*”, mówić o Daisy i zdawać sobie sprawę, że twoi uczniowie dokonali więcej czynów niż ty. Trudno jest w wieku dwudziestu sześciu lat bawić się w Pyszczatą Dziewicę, bez pryszczycy i bez dziewictwa.

Przez ostatnie trzy tygodnie gwiazdą wieczornych fantazji była Mary D'Annunzio, co sprawia, że Jakobowi robi się słabo. Nie jestem zboczeńcem, mówi sobie, ale ciężko mu w to uwierzyć. Jest za młoda, on wie, że jest za młoda, wie że nie tknąłby jej, ale Chryste, jest przecież

dziką lokatorką w jego umyśle. A jak poczekam trzy lata? Tyle mógłbym poczekać. Pojechać na uczelnię, którą by wybrała i znaleźć jej nazwisko w wykazie studentów. I wtedy.... co? Zadzwoiłbym do niej? Co bym jej powiedział?

*Cześć, Mary? Mary D'Annunzio? To ja — poznajesz mnie po głosie? Nie? To ja, pan Elinski! Z Campbell Sawyer.*

O, Jezus, myśli Jakob, to żałosne. Musiałbym dowiedzieć się, gdzie mieszka i wtedy tak coś zorganizować, żeby wpaść na nią przypadkiem.

Cześć, Mary? Mary D'Annunzio? O mój Boże, co ty tu robisz? Zdawałaś tutaj? No tak, masz rację, zupełnie zapomniałem... Ja? Właśnie przyjechałem odwiedzić przyjaciół. Co za miła niespodzianka, wpaść przypadkiem na ciebie... Słucham?... Oczywiście, możesz powiedzieć mi wszystko, co sobie życzysz... Nie, powiedz, powiedz. Umiem dotrzymywać tajemnic... Byłaś we mnie zadurzona? Naprawdę?... Nie, nie, nie czuj się zakłopotana, to jest... no dobrze nie wiem, czy wiele dziewcząt. Może kilka.

— Co cię tak cieszy? — pyta Slattery.

— Co daje ci tę notę — te dziewięćdziesiąt dziewięć? Nad tym się zastanawiam.

— Więc, jestem...

— Oprócz twojej pensji.

— Więc... — waha się Slattery.

— Czy to, że gubisz włosy nie strąca cię kilka miejsc niżej?

— Nie, wcale nie. To by przeszkadzało kobietom tylko wtedy, gdy przeszkadzałoby mnie.

— To ci przeszkadza. — mówi Jakob.

— Nie, wcale nie.

— Oczywiście, że tak. Jeśli by ci nie przeszkadzało, to czy smarowałbyś sobie całą głowę tym świństwem dwa razy dziennie?

Jakob wie, że niebezpiecznie jest kontynuować temat, gdy Slattery patrzy na ciebie w taki sposób, jakbyś był małym robaczkiem pełznącym po ekranie telewizora, ale Jakob wie również, że może sobie na to pozwolić. Slattery nigdy go nie uderzy. Jakob wciąż pamięta, jak Slattery przegrał mecz zapaśniczy, na ostatnim roku, jego pierwszy mecz w roli kapitana drużyny. Potem siedzieli obok siebie w szatni i Jakob próbował pocieszyć przyjaciela. Slattery kiwał się w przód i w tył z zamkniętymi oczami, z białym ręcznikiem zarzuconym na głowę, a po nagich plecach spływał mu pot. Jęknął, długo i przeciągle, rzucił się w przód i uderzył lewą pięścią w stojącą naprzeciwko szafkę. Wyszedł z szatni cicho i poszedł pod prysznic, zostawiając Jakoba samego, siedzącego na drewnianej ławce i patrzącego na wgniecioną szafkę z wyrwanym górnym zawiasem.

Używając palców, Slattery wyjmując niedogotowane ziarenko ze swego smażonego ryżu, ogląda je i wyrzuca.

— Włosy nie stanowią tutaj kwestii.

— Czy istnieje tabela spraw, które stanowią kwestię? Ten błyszczący przedmiot, na lewo od twego talerza to widelec. Kiedy dorośli ludzie jedzą ryż, używają pałeczek albo widelca, czy łyżki — czegokolwiek — ale na pewno nie jedzą ryżu palcami. Nie masz pojęcia, jak się zachowywać. Spędzasz cały tydzień na obmyślaniu, jak okraść obce rządy albo cokolwiek tam robisz, a gdy stamtąd wychodzisz i znajdujesz się w tym dziwnym świecie na zewnątrz biura, zwanym *realnością*, nie masz pojęcia,

jak się zachować. A co z Montym? Jak on wypada w tym twoim rankingu?

— Monty? Monty idzie do więzienia. Ma zero. Kompletne. — Slattery podnosi się nieco ze swego krzesła i prostuje lewą nogę, dopóki nie słyszy małego *pyk!*

— Wszystko w porządku? — pyta Jakob — Rany wojenne? Ale Slattery ciemnieje na twarzy, a nozdrza ruszają mu się gniewnie.

— Te małe śmiecie prawie mnie zabiły.

— Kto?

— Gnojki w tym cztery na cztery. Próbowali mnie przejechać.

— Będiesz do tego wracał przez cały wieczór, tak?

— Chciałbym dostać ich w swoje ręce. O Jezu. Wtedy zobaczylibyśmy, jacy są twardzi. Daj mi spotkać się z każdym z nich na pięć minut, w zamkniętej przestrzeni. Daj mi tylko pięć minut. Wtedy zobaczymy.

— Dobra już. Jedz swoje żeberka. Stygną ci.

Jestem otoczony wariatami, myśli Jakob. Kelner jest tu na szalonym wygnaniu, mój najlepszy przyjaciel jest napastliwy, facet przechodzący za oknem, wraca właśnie do domu, by zabić żonę. To miasto maniaków. Co ja tu robię?

Ale Jakob wie, że nigdy nie opuściłby Nowego Jorku. Mieszkał w Seattle przez rok, po studiach — to nie było to. Czuł się jak stereotyp swojej generacji, pracując w kawiarni i, na miłość boską, próbując nawet zapuścić kozią bródkę. Dość szybko zorientował się, że nie lubi muzyki, o której powiedział wszystkim, że lubi; że bliskość tysięcy mil tras do jazdy na górskim rowerze, właściwie nie daje mu oczekiwanej radości; że towarzystwo wytatuowanego i obkolczykowanego pracownika,

obsługującego młynek do kawy, sprawia, że czuje się jak przestarzały dodatek na płycie z muzyką. Poszedł do domu na Seder i zrozumiał, że tęskni do miasta, a *miasto* zawsze będzie oznaczać dla niego jedno tylko miejsce. Gdziekolwiek nie poszedł, ludzie prosili, by wrócił. Wracaj — powiedziała piękność w skórzanych spodniach, pracująca w kasie butiku na Madison Avenue; wróc — śpiewali sprzedawcy żetonów na stacji metra przy Union Square; wracaj — wołali handlujący hot-dogami przy Metropolitan Museum; wracaj, Jakob, wracaj, wyświetlimy twoje imię na Empire State Building.

Slattery zasępia się nad talerzem pełnym kości, drżą mu kąciki ust.

— A jak ci idzie praca? — pyta Jakob, stwierdziwszy, że powinien odciągnąć przyjaciela od złych fantazji. Wygląda na to, że Slattery podczas chłódów jest zawsze bardziej zrzędlivy. W szkole każdej zimy głodził się, by utrzymać wagę i na uczelni też. Jeszcze z tego nie wyrósł.

Slattery nie mówi nic przez kilka sekund, a potem rzuca:

— Pięknie. Wszyscy mnie kochają.

— Masz musztardę na brodzie — mówi Jakob. Slattery wyciera brodę wierzchem dłoni.

— Musimy się zbierać. Powiedziałem Montiemu, że spotkamy się o dziesiątej — łapie spojrzenie kelnera i gestem pokazuje, że chce rachunek.

— To będzie jedenasta trzydzieści C.M.B.

— Wiesz, co ci powiem? Czas Montgomeryego Brogana się kończy. On już za kilka godzin przechodzi na Czas Rządowy.

Jakob potrząsa głową i patrzy, jak na Szóstej Alei ludzie i samochody brną przez śnieg.

— To nie wydaje mi się w porządku.

— Co ci *się* nie wydaje?

— Jakiś facet dźga swoją żonę nożem w twarz — mówi Jakob — i wychodzi po trzech latach. Monty nigdy wcześniej nie sprawiał kłopotów, nigdy nikogo nie zastrzelił, nikogo nie zdzielił w głowę kijem baseballowym i będzie siedział siedem lat. To nie w porządku.

Slattery bierze od kelnera rachunek, szybko przebiega wzrokiem po cenach i podaje kartę kredytową.

— Ile ci jestem winien? — pyta Jakob.

— Biorę to na siebie.

— Dlaczego? Nie, przestań. Jestem w stanie za siebie zapłacić...

— Biorę to na siebie, Jake. Nie przejmuj się.

— Tak czy inaczej, to nie jest w porządku — mówi Jakob, odsuwając krzesło.

— Już to mówiłeś. Właściwie mówisz to samo przez ostatnie dwa tygodnie. Pieprzysz.

— Pieprzę? Poczekaj, myślisz, że to jest sprawiedliwość? Sądzisz, że Monty zasługuje...

— Hej, siedziałem obok ciebie na pogrzebie Aarona Had-dada. Pamiętasz jego matkę? Właściwie musieli ją nieść.

— Pamiętam.

— Ławka, na której siedzieliśmy trzęsa się. Przez całą mszę się trzęsa. I myślałem sobie: przecież nie ma pod nami metra, bo jesteśmy na Madison Avenue, więc dlaczego się trzęsie? Rozejrzałem się i zobaczyłem trzy śliczne dziewczyny wyplakujące oczy. Szlochały tak mocno, że trzęsa się cała ławka. Więc to gówno, które zabiło Haddada jest tym samym gównem, które sprzedaje Monty. No więc nie siedź teraz i nie mów mi, jak



niesprawiedliwe jest to, że biedny Monty idzie siedzieć.

Kelner wraca do stołu, przynosząc potwierdzenie obciążenia konta, na którym Slattery składa podpis. Wsuwa kopię pokwitowania i kartę kredytową do portfela.

— Kiedy dowiedziałem się o Aaronie — mówi Jakob — nie wiem, ale miałem nadzieję, że znajdą faceta, który mu sprzedał ten towar. Myślałem jak głupek, że ten palant wyrzucił to wszystko. Nikt Aarona do niczego nie zmuszał. Dokonał wyboru i wciągnął to. Wiesz co? Przykro mi, wiem, że zabrzmi to podle, ale pieprzyć go. Mikę Feany dostał raka kości i umierał przez cztery lata, walcząc przez cały czas. A Aaron po prostu zrezygnował. Pieprzyć go.

— Fajnie, i pieprzyć też jego matkę. Dzieciak popełnił błąd. I co, Jake? Dzieciaki właśnie to robią — popełniają błędy. To nie czyni go złym.

— Nie powiedziałem, że to czyni go złym — mówi Jakob.

— To nie sprawia, że zasługuje na śmierć. Ile razy na studiach byłem pijany jak bela i jechałem gdzieś po pizzę? Co tydzień? I co, gdybym zabił się po drodze, to też powiedziałbyś: pieprzyć go, zasłużył sobie?

— Gdybyś zabił się, prowadząc po pijaku, tak. Pomyślałbym, że byłeś głupim palantem. I nie winiłbym barmana za to, że sprzedał ci piwo.

Slattery zamyka oczy i ściska nos u nasady.

— Nie gadaj bzdur. Monty robił pieniądze na uzależnieniu ludzi. Jeździł corvetta opłaconą ludzkim uzależnieniem. I nie wciskaj mi tu jakiegoś gówna, bo taka jest prawda. I został złapany i idzie do pierdła i wiesz co? Jest moim najlepszym przyjacielem na świecie — ty i on jesteście moimi najlepszymi przyjaciółmi — i kocham go jak brata, ale on

sobie, kurwa, na to zasłużył.

Ale Jakob wie, że może być tylko jeden najlepszy przyjaciel. Podnosi ręce do góry.

— Dobra, Powiesz mu to? Powiesz mu: „*Hej, Monty przykro mi z powodu jutra, ale zasługujesz na to.*”

— Nie — mówi Slattery, wstając. — Mówię tobie i to zostaje między nami. Chodź, złapiemy go.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

**PATRZ NA MNIE** — mówi Kostia. Uchyła głowę i wyprowadza dwa ciosy lewą ręką zwiniętą w pięść, która tnie powietrze jak błyskawica. — Widzisz? Bardzo prosta linia. Nie chcesz, żeby szła po łuku jak na filmach, nie? Sylvester Stallone wyprowadza duuuuże uderzenie, o tak... — pokazuje nieprawidłowy sierpowy. — Chcesz prędkości, tak? Prędkość. Jaka jest najszybsza droga, żeby dotrzeć od punktu A do punktu B?

— Droga prosta — mówi Volandes.

— Droga prosta. Tak. Punkt A to teraz moja pięść; punkt B to szczeka drugiego faceta. Widzisz? Poczekaj, nie chcę zapocić koszuli. — Kostia zaczyna rozpinąć swoją pomarańczową, jedwabną koszulę. — Kupiłem tę koszulę w Miami.

— Przestań. Rozebrałeś się do naga w moim biurze? — Volandes siedzi przy biurku w swoim ciasnym, pozbawionym okien gabinecie, założywszy ręce za głowę. Ściany są pokryte oprawionymi w ramki fotografiami przedstawiającymi Volandesa z mało znaczącymi, nowojorskimi osobistościami: z prezenterem pogody z lokalnej stacji telewizyjnej, z prezydentem okręgu Bronx, z chwytającym drużyny New York Yankees, z prezenterem radiowym, z modelkami, z aktorami i piosenkarzami. Na wszystkich zdjęciach Yolandes, niski mężczyzna z wielką szopą czarnych kręconych włosów, ma przyklejony do twarzy ten sam uśmiech, szeroko odsłaniający zęby; uśmiech kierownika nocnego klubu. Osobistości uśmiechają się do aparatu ze znużeniem.

— Nic nie wiesz o dobrych ubraniach, mój przyjacielu. Nigdy nie poć się w jedwabiu. — Kostia składa uważnie koszulę i kładzie na blacie

biurka Volandes.

— Nie noszę jedwabiu. Za trudno go utrzymać w czystości. Robisz się gruby, Novotny. — Volandes nie może odwrócić oczu od przypiętej na krzyżu Kostii skórzanej kabury, z której wystaje czarna, stalowa kolba automatu.

— Jedwab jest jak skóra na udzie dziewicy — mówi Kostia, wyciągając oba ramiona nad głową. — Kobiety, widząc mężczyznę w jedwabiu, wiedzą, że ma klasę. Wiedzą, że ma pieniądze. Teraz patrz.

— Wiedzą, że ma klasę, bo nosi skórę z dziewiczych ud? — śmieje się Volandes.

— Patrz. Amerykańscy bokserzy uczą się walki w getcie. Są ulicznymi bokserami. Niektórzy są bardzo dobrymi ulicznymi bokserami, ale nie ma w tym wiedzy, nie ma sztuki. To jest amerykański bokser. — Kostia wyprowadza kombinację lewy-prawy-lewy, trzymając głowę wysoko. — Dobrze uderzenia, tak, ale patrz — powtarza kombinację, jego włochaty brzuch wolno faluje. — Nie ma obrony. Widzisz? Twarz jest...

— Nieosłonięta.

— Twarz jest odsłonięta. I korpus! Amerykańscy bokserzy, oni nigdy nie atakują korpusu. Każdy chce nokautu. Chcą jednego, wielkiego uderzenia. Nie mają dyscypliny, ci bokserzy. Tam, skąd pochodzę, Ukraina, trenujemy od małego i uczymy się techniki. Amerykańscy bokserzy to dobrzy atleci. Ale technika — nie.

— To dlaczego nie ma mistrzów z Ukrainy? — pyta Volandes.

— Mamy mistrzów amatorskich. Ale nasi bokserzy walczą za granicą dopiero od pięciu, sześciu lat. Wkrótce będziemy mieć mistrza.

— Ale nie ciebie, koleś. Nie z tym brzuchem.

— Kobiety lubią mężczyzn z ciałem — oburza się Kostia. —  
Widzisz to? — Pokazuje palcem grubą bliznę biegnącą poniżej pępka, w  
poprzek brzucha. — Kiedy miałem dwanaście lat, złapałem żołnierza  
gwałcącego moją matkę. Krzyczę, biję go, próbuję kopnąć go w jaja. On  
wyciąga nóż i otwiera mi brzuch. Moja matka próbuje mnie odepchnąć.  
Moje, jak to się nazywa, te zwoje...

— Jelita?

— Moje jelita wypadają na zewnątrz. Więc ona wpycha je do środka.  
Bardzo źle. Ale zobacz — Kostia bije się pięścią w pierś — przeżyłem.  
Jestem dużym człowiekiem. Później okazało się, że nie gwałcił mojej  
matki. Więc dobra, nie był takim złym człowiekiem. Odwiózł mnie do  
szpitala.

— Po tym, jak cię pociął?

— Tak, ale czuł się bardzo niedobrze. Przestraszyłem go. Wrócił z  
Afganistanu. Tam złe rzeczy były dla radzieckich żołnierzy. Więc tak,  
pociął mnie, ale później zawiózł do szpitala i zostaliśmy przyjaciółmi.

— A ja myślałem, że to Bronx jest popieprzony — gwizdże  
Volandes.

— Ten mężczyzna, ten żołnierz jest teraz moim teściem.

— Teściem?

— Nie, nie, jak to się mówi? On ożenił się z moją matką...

— Ojczym?

— Ojczym! Tak. Jest moim ojczymem. Wciąż na Ukrainie, z moją  
matką. Dobry człowiek. Wysyłam im pieniądze; dobrze żyją. Na Ukrainie  
nie ma pieniędzy.

— Jak już mówimy o pieniądzach — mówi Volandes — opowiedz

mi o dzisiejszym wieczorze.

— Kobiety lubią blizny — mówi Kostia, drapiąc pomarszczoną skórę.

— Wiesz o kobietach wszystko, co? Skoro wiesz o kobietach tyle, to jak to się dzieje, że zawsze o piątej rano wracasz do domu z jakąś krową?

— Kobiety lubią blizny — powtarza Kostia. — Wiedzą, że mężczyzna gdzieś był, jak ma blizny.

— Więc mówisz mi... — chcę wiedzieć, czy dobrze zrozumiałem. Mówisz mi więc, że kobiety lubią grubych, poharatanych facetów w jedwabiach? Blizny po trądziku też się liczą? — Volandes przebiega dłonią po swojej ospowatej szczęce. — Tłuszcz też mam. Dobra, powiedz, jaki mamy plan na dziś wieczór.

— Musimy mieć salę VIP. Daj mi tam dwóch pracowników. Kto jest przy drzwiach, Khari?

— Dziś jest czwartkowy wieczór. Chcesz, żebym zamknął salę VIP na całą noc?

— Wujek Blue chce salę VIP.

— W porządku — wzdycha Volandes. — Skoro tak chce. To jego lokal. Będzie dziś tłok. Ten didżej, którego na dziś zaplanowałem, jakiś małolat z Queens jest na czasie, jest Jezusem tych dni. Gdziekolwiek gra, pojawia się tłum. Wszystkie nastolatki z pięciu okręgów będą dziś pod drzwiami.

Kostia bierze swoją pomarańczową koszulę i wkłada rękaw.

— Nioletni? Bardzo niebezpieczne. Chcesz mieć tam policję?

— Nie — mówi Volandes. — Powiedziałem pod drzwiami. Nie powiedziałem, że wejdą.

— Khari pracuje dziś wieczorem w sali VIP?

— Nie, Khari pracuje z przodu. Potrzebuję go tam, bo będzie bałagan. Jakbyś dał mi znać wcześniej, to powiedziałbym, żebyście zrobili to innego wieczoru. Wszystko wariuje, kiedy gra ten didżej.

— Innego wieczoru? — pyta Kostia, zapinając koszulę i wsuwając ją w spodnie. — Montgomery idzie do więzienia jutro rano. Chciałbyś, żebyśmy zorganizowali mu imprezę jutro wieczorem?

— A co z wczoraj? Wczoraj było pusto.

— Mój przyjaciel idzie jutro do więzienia na siedem lat — marszczy się Kostia. — A ty mi mówisz, że tłok? Że twój didżej?

— No dobra — Volandes podnosi ręce — przepraszam. Lubię Montiego, jest dobrym dzieciakiem. Dobrze, dwóch pracowników w sali VIP. Postawię Oskara w drzwiach. Dziewczynki?

— Dwie. Może trzy. On lubi — on lubi wszystko, ale najbardziej niskie, ciemne. Portorykanki. Lubi Portorykanki.

— To proste. — Volandes podnosi słuchawkę i naciska guzik. — Przyślij Roz i Maggie... Co? Gdzie ona jest?... O, Boże. Dobra, znajdź ją, tak? Powiedz Roz, żeby tu przyszła. — Odwiesza słuchawkę.

— Szampan — mówi Kostia. — On lubi szampan.

— Jak myślisz, sześć butelek?

— Dwie skrzynki. Cristal.

— Ma drogi gust, ten Monty — uśmiecha się Volandes. — Jeśli chcesz Cristal, to muszę to usłyszeć od Wujka. Ten towar jest zbyt...

Kostia opiera swoje ciężkie ręce na biurku Volandesa i wpatruje się małemu człowieczkowi w twarz.

— Mój przyjaciel idzie do Otisville jutro, na siedem lat. A ty siedzisz

tu...

— W porządku — mówi Yolandes.

— Dwie skrzynki.

— W porządku. Coś jeszcze? — Yolandes trąca palcem wskazującym bok nosa.

— Nie — mówi Kostia. — Nic z tych rzeczy.

Do pokoju wchodzi smukła, miedzianoskóra kobieta z utlenionymi na blond włosami.

— O, Chryste, Roz — mówi Yolandes. — Co ci się stało w głowę?

— Ufarbowałam sobie wczoraj włosy.

— Ufarbowałaś sobie wczoraj włosy. To świetnie. Czy ktoś ci powiedział, że masz je ufarbować? No dobra, dajmy temu spokój. Masz dziś szczęście — spotkasz się z naszym przyjacielem. Nasz przyjaciel wygląda jak gwiazdor filmowy. Jesteś Portorykanką?

— Jemenką — odpowiada dziewczyna.

— Jemenką? — podnosi brwi Yolandes. — Zresztą nieważne, powiesz mu, że jesteś Portorykanką. Nasz przyjaciel lubi latynoski.

— Nie jestem Portorykanką.

— Wiem, że nie jesteś. Wytlumaczę ci to. Po prostu bądź cicho, kiedy z nim będziesz, dobrze? No, po prostu się zamknij. Zacznij ćwiczyć już teraz. Bez rozmów, dobra?

— Jemen — mówi Kostia. Jemen graniczy z Arabią Saudyjską i Omanem, tak?

— Nie jesteś Amerykaninem — uśmiecha się Roz.

— Jestem z Ukrainy.

— Amerykanie — mówi Roz — nie wiedzą, gdzie co jest.



— Taak — mówi Yolandes. — Jemen i Ukraina są takie piękne. To dlaczego oboje przyjechaliście tutaj?

— Edukacja w Ameryce — mówi Kostia — jest bardzo zła. Nie znacie własnej historii. Wiesz chociaż, kiedy była wasza wojna domowa?

— To nie była moja wojna domowa — mówi Yolandes. — Moi rodzice przyjechali tu w 1959.

— Ta koszula — mówi Roz, dotykając materiału, z którego uszyta jest koszula Kostii — jest bardzo ładna.

— Podoba ci się? Jedwab.

— Bardzo miła.

— Kupiłem tę koszulę w Hong Kongu. W Hong Kongu robią najlepsze koszule.

— Całkiem ładne robią też w Miami — mówi Yolandes.

— Twój przyjaciel — mówi Roz — czy on jest sławnym aktorem?

— Bardzo znany — potakuje Kostia. — Wiele filmów. Lubisz filmy?

— Lubię dobre filmy.

— Myślę — odpowiada Kostia — że moglibyśmy zabawić się dziś wieczorem.

— Ty i ja, i przyjaciel? — Roz patrzy na Yolandesę i kręci głową. — Nie, to za dużo.

— Nie — mówi Kostia — tylko ty i ja. — Wyciąga pomięte pieniądze z tylnej kieszeni i rzuca je na stół. — Zabawimy się dziś. Pozwól, że ci coś pokażę. — Kostia rozpina koszulę.

— Co robisz? — pyta Yolandes. — Chcesz też może teraz wypić cały szampan?

— Ona nie jest Portorykanką. Monty nienawidzi Jemenek. Yolandes

potrząsa głową i znów podnosi słuchawkę.

— No i co? Znalazłeś ją już?... O, Chryste. Co tydzień to samo. Możesz znaleźć mi, proszę, dwie Portorykanki... Co? Co? Jesteśmy w centrum pieprzonego Nowego Jorku. To nie może być trudne. Dwie dziewczyny z Puerto Rico. I zadzwoń do Eddiego, niech się upewni, że mamy sześć butelek Cristala. Zarezerwowane dla sali VIP — Volandes widzi, jak Kostia rozmawia z Roz, dotykając jej piersi. — Rocznik nieważny.

Kostia znów zdejmuje koszulę i wciąga brzuch.

— Byłem bokserem — mówi do Roz. — Dotknij mego nosa. Roz dotyka spłaszczonego nosa.

— Tak — mówi. — Najlepszym ze wszystkich bokserem jest Jemeńczyk. Prince Naseem.

— Widzisz? — pyta ją, wskazując na swoją długą bliznę.

— Tak, jak się to nazywa? Cięcie?

— Blizna — mówi Kostia. Przychyła się do niej i szepce do ucha: — Blizna.

Roz śmieje się. Przesuwa koniuszkami palców po bliznie, od pępka aż do miejsca gdzie chowa się pod paskiem spodni. Kostia uśmiecha się do Volandesa.

— Duża blizna.

— Duży mężczyzna — mówi Roz, poklepując ramię Kostii. — Bardzo duży mężczyzna.

— Tak — mówi Kostia, naprężając mięśnie. — Duży mężczyzna.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

**MONTY NAJBARDZIEJ LUBI** swoje miasto, gdy pada śnieg, gdy chodniki poznaczone są nakładającymi się odciskami stóp, a dachy budynków kryją się w chmurach. Kiedy zmieniają się światła, samochody na Houston boksują, kręcą kołami w miejscu, ślizgają się i trąbią. Monty zapomniał założyć buty odpowiednie do takiej pogody; czuje teraz wilgoć wchłanianą przez cieniutką skórę pantofli. Jego płaszcz z wielbłądziej wełny dobrze chroni go przed wilgocią, w głowę grzeje go czapka robiona na drutach. Monty wpatruje się w twarze wszystkich mijanych mężczyzn i kobiet. Zastanawia się, dokąd idą, jakie mają plany na dzisiejszy wieczór. Hinduska para spaceruje pod ramię; mężczyzna w wolnej ręce trzyma nad ich głowami czarny parasol. Monty słyszy akcent, angielski akcent i jedno słowo — *nieosądzalny*. Kobieta podkreśliła *nie* tonem oskarżającym, ale nie jej towarzysza, tylko kogoś innego lub coś innego. Monty zastanawia się, co lub kto jest tym ocenianym — film, szef czy przyjaciółka?

Gdziekolwiek byś nie spała dzisiaj, kobieto, gdzie byś nie położyła swojej głowy, będzie to miejsce, w którym chciałbym być. W ścianach jest gąszcz wadliwej instalacji elektrycznej, sporządzonej tak, by zaiskrzyła i zapłonęła, gdy nadejdzie odpowiedni moment. A ty będziesz spać w smrodzie topiącej się miedzi i palącej się izolacji, będziesz spać w pierwszych liźnięciach płomieni, dopóki nie zapalą się zasłony, dopóki gęsty dym nie skryje sufitu. Wtedy wreszcie otworzysz oczy. Przyjdę po ciebie, gdy tapety będą odparzać się od ścian. Przejdę przez płonące drzwi, na moment przed walącym się sufitem. Podniosę cię z łóżka i zaniosę do okna, przerzucę przez ramię, zniosę po drabinie ewakuacyjnej i tam

zostawię lekarzom. Bo to jest prawda: byłbym świetnym strażakiem.

Monty zatrzymuje się przed oknem piekarni. Gdy mijął kiedyś ten sklep, zobaczył Naturelle smutnie patrzącą na ciastka i odszedł. Patrzy na wypieki porozkładane na srebrnych tacach, luksusowe słodkości kuszące przechodniów: ciastka francuskie i owocowe ciasta, czekoladowe ekierki i placki z orzechami, ciasteczka beżowe i magdalenki, babeczki z truskawkami i ciasto miodowe. Monty nigdy nie był mniej głodny, ale podziwia maestrię wykonania i ekspozycji. Zastanawia się, kto stworzył taką kompozycję, kto siedzi w środku i układa każdy deser na swoim miejscu, z wyczuciem kolorów i form. I zastanawia się, gdzie ona teraz jest. Monty jest pewien, że to kobieta. Wyobraża sobie ją — stojącą w wysoko położonym mieszkaniu, spoglądającą w dół na ulice miasta, wciąż ubraną w biały, roboczy fartuszek, z palcami pobrudzonymi jeszcze czekoladą. *Proszę mi upiec ciasto.*

Odwraca się od wystawy i idzie dalej. Z przeciwka nadbiega młody atleta w sportowej bluzie, ma szeroki kark i króciutko ostrzyżone włosy; trzyma, przyciśnięty do piersi, bukiet róż opakowanych w celofan. Mógłbym ci ją odebrać, myśli Monty. Mógłbym pójść teraz za tobą na miejsce waszego spotkania, przysiąc się do niej i ukraść ją. Albo może nie. Dziewczyna, która umawia się z panem Krótkoobciętym-Z-Różami nie pasuje do stylu Montgomerego; ale wciąż istnieje jakaś szansa. Ich oczy spotkałyby się na długą chwilę, a facet zasiliby szeregi nieparzystych.

Monty nie pamięta okresu, w którym kobiety nie zabiegałyby o niego. Od zawsze był piękny. Dorastając w Bensonhurst, Monty zawsze musiał udowadniać wszystkim, że jest twardy. Jego oczy były zbyt zielone,

rzęsy zbyt długie, nos zbyt delikatny. Chłopcy mu nie ufali, w każdym razie nie na początku. Kiedy był młodszy, wynajdywał sposoby, żeby mniej rzucać się w oczy. Nosił czapkę baseballówkę, żeby ukryć swoje gęste, ciemne włosy; nie uśmiechał się, bo miał doskonałe zęby — proste i nie wymagające aparatu korekcyjnego. Ale te sztuczki nigdy nie pomagały. Zawsze się wyróżniał i dzieciaki go biły. Więc Monty walczył, i to walczył dobrze. Jest jakiś artyzm w boksie młodocianych. Monty uderzał pierwszy, uderzał mocno i nigdy nie przestawał. Nic sobie nie robił z ciosów otrzymywanych w zamian. Czarne, podbite oko było symbolem odwagi i dawało innym chłopakom sygnał, że nie da sobą pomiatać.

Później Monty zdał sobie sprawę, że jego twarz może mu się przydać. Dziewczyny, które mijaly go na ulicy, spoglądały na siebie i chichotały. Starsze kobiety, nauczycielki i matki przyjaciół nadskakiwały mu, słuchały każdego jego słowa, szczególnie gdy dowiadywały się, że jego matka nie żyje. Wielu jego kolegów z klasy, w szkole średniej, miało mu za złe jego status „zdobywcy serc”, ale nie wyrażali swej urazy głośno. W Bensonhurst Monty uchodził za dzieciaka zaczepnego, walczącego o honor i nie do zastraszenia. W Campbell-Sawyer, gdzie miesiące mijaly bez jednej nawet walki, bez jednego uderzenia, Monty zasłynął swoją nieugiętością.

W pierwszej klasie został obwołany podporą obrony w drużynie koszykówki. Podczas jednego z ważnych spotkań w lidze, Monty był ciągle faulowany przez napastnika przeciwników. Za każdym razem, kiedy wyskakiwał do kosza, napastnik, używając swoich łokci i kolan, zwał go na podłogę. Sędziowie odgwizdali parę fauli, ale przeoczyli kilka innych i Monty robił się coraz bardziej wściekły. Trwało to aż do momentu, gdy,

wyskoczywszy po piłkę, poczuł, jak ktoś podcina mu nogi. Spadł na parkiet, uderzając plecami o podłogę. Podniósł się chwiejnie. Napastnik czekał na to i był gotów do walki. Był cięższy od Montiego o czterdzieści funtów i wyższy o kilka cali. Zanim sędziowie i trenerzy rozdzielili walczących, było jasne, że Monty przegrywał. Obaj zostali wykluczeni z gry, ale sędzia upierał się, by podali sobie ręce. Napastnik wyciągnął swoją dłoń, a Monty uderzył go silnie w szczękę, powalając większego chłopaka na podłogę.

Wyrzucono go z drużyny, a bez koszykówki zaczął tracić zainteresowanie szkolnym życiem. Nauka, która z łatwością przychodziła mu w starej szkole, wymagała teraz więcej wysiłku; mimo to Monty był zdolny do sprostania nowym zadaniom i ich intensywności. Latem, na pierwszym roku, jedząc w przerwie pizzę ze starszymi uczniami, Monty przysłuchiwał się, jak dyskutowali nad planem kupna torebki marihuany. Jeden z chłopaków powiedział, że będą potrzebować osiemdziesięciu dolarów. Monty, ledwie zwracając uwagę, powiedział:

— Zdzierają z was skórę.

— Taak? A ile ty płacisz?

Monty wzruszył ramionami, jakby był przyzwyczajony do targowania się o towar, mimo że do tej pory nigdy nie kupował ani nie sprzedawał narkotyków, ani nawet nie rozważał takiej możliwości.

— Mogę to dla was załatwić za połowę forsy — powiedział.

Starsi koledzy dali mu czterdzieści dolarów, a Monty, wiedząc, że jego reputacja sprytnego chłopaka ulicy jest wystawiona na próbę, pogadał z kumplami z Bensonhurst i dostarczył towar na czas. Dołożył co prawda dwadzieścia dolarów z własnej kieszeni, ale wkrótce już wszyscy

przychodzili do niego i Monty zaczął odnosić zyski.

Pod koniec pierwszej klasy, trenerzy dowiedzieli się o biznesie Montiego od kilku młodych sportowców. Poinformowano administrację i pewnego popołudnia, po przerwie na lunch, otworzono szafkę Montiego i znaleziono brązową, papierową torbę wypełnioną receptami na środki przeciwbólowe i tabletkami ecstasy. Następnego dnia Monty został oficjalnie „odseparowany” i dostał permanentny zakaz wstępu na teren szkoły. Do wszystkich rodziców wysłano list, dyskretnie sugerujący chronienie dzieci przed kontaktami z Montgomerym Broganem. Z powodu nieaktualnienia danych w komputerze, jedna z kopii listu została wysłana do pana Brogana, który pojechał na Manhattan i groził dyrektorowi szkoły procesem lub pobiciem, lub jednym i drugim, nie wierząc, że jego syn może być kryminalistą.

W Campbell-Sawyer nie widziano tyle atrakcji od lat, przynajmniej od wtedy, gdy złapano w kabinie ubikacji kierownika katedry historii robiącego loda redaktorowi rocznika. Monty, nawet jeśli się wściekł, to na pewno tego nie okazał. Nigdy nie próbował ustalić, kto go wsypał — co by to dało? Opróżnił swoją szafkę, powiedział „do widzenia” i wyszedł.

W czasie, gdy jego przyjaciele kontynuowali swoją drogę do uroczystego wystąpienia w togach i biretach, podczas uroczystego odebrania dyplomów, Monty wynajął sobie mieszkanie w Yorkville, wziął w leasing corvette i zaoszczędził dość pieniędzy, by urządzić najbardziej wystawne przyjęcie z okazji zakończenia roku. Zaprosił wszystkich z byłej klasy do wielkiego, znanego klubu. Kelnerki krążyły, nosząc tace z kieliszkami szampana. Tancerki ocierały się o odstawionych w smokingi chłopaków. Monty przechadzał się z sali do sali, eskortowany przez

najpiękniejszą szesnastolatkę z Bensonhurst, niebieskooką brunetkę, której ojciec i bracia byli oficerami policji i wierzyli, że Monty jest na pierwszym roku na uniwersytecie Columbia.

Wśród nastolatków zgromadzonych tamtej nocy, przygotowujących się na lato pełne plażowych imprez i na sezon szaleństw przed rozpoczęciem studiów, Montgomery był już legendą — wyjęty spod prawa. Każdy znał opowieści: o tym, jak przebiegł przez tory metra na przeciwległy peron, by pocałować obcą dziewczynę, jak posłał napastnika przeciwnej drużyny koszykówki na podłogę (w późniejszej wersji Monty złamał mu szczękę jednym uderzeniem), jak uwiódł nauczycielkę francuskiego — madmoiselle Cendrars i zostawił ją leżącą nago, ale nietkniętą w sali audiowizualnej. (Mit wymyślony przez Jakoba Elinskiego, który spędził na ostatnim roku wiele czasu w łazience na masturbacji, myśląc o madmoiselle Cendrars. Nawet we własnej fantazji nie był w stanie wyobrazić sobie siebie i Francuzki robiących to razem).

Przyjęcie stało się legendą. Gdy później Monty wpadał na któregoś z absolwentów Cambell-Sawyer, facet zawsze wspominał tę noc i te tancerki... „... A ta dziewczyna, która z tobą była, ta brunetka? Jezu, co się z nią stało?” Co się stało? Jej bracia sprawdzili spis studentów Columbii, nie znaleźli w nim Montgomeriego Brogana, domyślili się jego prawdziwej profesji i powiedzieli swojej siostrze, że nie będzie więcej widywać czarnowłosego Irlandczyka. Dziewczyna zamknęła się w swoim pokoju i przez trzy dni urządzała strajk głodowy, ale Monty sobie odpuścił, stwierdzając, że lepiej trzymać się z daleka od rodziny wściekłych policjantów.

Donatella Bruno. Gdzie ona teraz jest? — zastanawia się Monty.



Zatrzymuje się i otrząsa śnieg z kołnierza. Maca się po krzyżu, wyczuwając pod płaszczem z wielbłądziej wełny twarde, metalowe wybrzuszenie stworzone przez pistolet, umieszczony w kaburze przypiętej do paska. Monty kocha swoją czterdziestkę, ekscytuje go jej waga, czystość linii i prostota. Chodzić z bronią to chodzić z władzą. Nauczył się strzelać na strzelnicy w Brooklynie, mierząc do celów wraz z ojcem, który trzymał pod barem starego dziewięćmilimetrowego browninga. Czarna skórzana kabura Montiego została ręcznie zrobiona przez karłowatego Kalabryjczyka w Bensonhurst; duże B jak Brogan było w stylu starych insygniów Brooklyn Dodgers.

Monty wpatruje się w kolejną szybę. Pomiedzy złotymi literami napisu, zagląda do restauracji — ze stołami przykrytymi białymi obrusami, z mleczno-matowym oświetleniem, gdzie siedzą w ciepłe, wygodnie najedzeni ludzie, a przed nimi stoją butelki czerwonego wina. Hostessa rozmawia przez telefon, obracając długopis między palcami.

Dokąd ja idę, pyta Monty sam siebie. Spotkać się w barze z przyjaciółmi? Co będziemy robić? — Siedzieć, popijać drinki i opowiadać stare historie? Co my, do diabła, będziemy robić? Co może być bardziej pożąłowania godne od niewygodnej ciszy, przyrzeczeń solidarności, szczerej i żalosej przyjaźni?

Monty otwiera drzwi restauracji i przedstawia się hostessie, trzymając czapkę w dłoni. Dziewczyna rzuca *bon soir* do słuchawki i odkłada ją.

— Dobry wieczór — mówi.

Nie jest piękna, myśli Monty, ale ma prezencję: wysoka, elegancka, szarooka Europejka. Słowa *bon soir* zdają się być egzotyczną przyprawą.

— Dobry wieczór — mówi Monty, przyglądając się hostessie. Zapomniał słów. To przecież jego gra, a zapomniał, jak grać. On patrzy na nią, ona się uśmiecha, spuszczając oczy i wpisując nazwisko na listę rezerwacji.

To jest to, mówi sobie Monty. Przegląda w myślach stare taktyki i decyduje się na klasyczną.

— Mam teorię — mówi do kobiety. *Najpierw ją zahaczasz. Nie agresywnie, nie natarczywie. Pozwól niech się zainteresuje.* — Moja teoria, proszę sprostować, jeśli się mylę... Moja teoria mówi, że nie ważne jest, co mężczyzna powie kobiecie, mam na myśli, co powie na początku. Nie ma to znaczenia. On może wyrecytować Ojciec Nasz, czy cokolwiek, a ona już wyrobiła sobie o nim zdanie.

— Ojciec Nasz? — podnosi brwi hostessa.

— Ona już zdecydowała. Zanim on jeszcze otworzył usta, ona już zdecydowała, tak czy nie, kciuk w górę czy w dół. Proszę mi powiedzieć, czy mam rację?

— Ona już zdecydowała, czy on ma szansę — mówi dziewczyna. — Ale czeka, by się przekonać.

— Tak, to jest uczciwe. To rozsądne. Więc gdybym powiedział, że chciałbym panią znów zobaczyć, gdybym powiedział, że chciałbym umówić się któregoś wieczoru, co by pani pomyślała?

— Co bym pomyślała? Czy co bym powiedziała?

— Co by pani powiedziała?

— Powiedziałabym, że mam chłopaka.

— Oh.

— Przyszedł pan na kolację? — pyta, uśmiechając się.

Monty mnie czapkę w dłoni, płatki śniegu topnieją na wełnianej dzianinie.

— Już jadłem — czuje się teraz głupio, nieudany Romeo ociekający na dywan. — Czy mógłbym skorzystać z toalety?

— Przyszedł pan tu, by skorzystać z toalety? — hostessa chyba nie oczekiwała takiego pytania.

— Nie. Wszedłem, żeby się z panią umówić. Ale teraz muszę się wysiusiać.

— Tam z tyłu — mówi dziewczyna i patrzy, jak Monty lawiruje między stolikami, dotykając ramienia kelnera, gdy ten przypadkiem tarasuje mu przejście.

Monty zamyka drzwi małej toalety i siada na klozecie. Ktoś napisał *Pieprz się* nad rolką papieru toaletowego, srebrnym flamastrem. Pewnie, myśli Monty. Ty też się pieprz. Pieprzyć wszystkich. Francuską hostessę, pijących wino gości, przyjmujących zamówienia kelnerów. Pieprzyć to miasto i wszystkich jego mieszkańców. Pseudosprzedawców szczerzących się w uśmiechu na każdym rogu, Sikhów w turbanach i niedomytych Pakistańczyków prowadzących swoje żółte taksówki. Pedalów z Chelsea, z wydepilowanymi klatkami piersiowymi. Pieprzyć ich wszystkich. Koreańskich właścicieli sklepów spożywczych sprzedających za drogo owoce; pieprzyć ich tulipany i róże zawinięte w celofan. Ubranych na biało Nigeryjczyków sprzedających podróbki Gucciego na Piątej Alei. Rosjan na Brighton Beach, pijących herbatę ze szklanek, z kostką cukru trzymaną w zębach. Pieprzyć ich. Religijnych Żydów w czarnych kapeluszach i brudnych, gabardynowych garniturach sprzedających diamenty na Czterdziestej Siódmej Ulicy, liczących pieniądze w czasie

oczekiwania na Mesjasza. Ulicznych żebraków — kalekich, pokręconych, sparaliżowanych. Brokerów z Wall Street, zadowolonych z siebie i wyperfumowanych, czytających swoje pomięte papiery w wagonach metra. Pieprzyć ich wszystkich. Punków na deskorolkach w parku na Washington Square, dzwoniących drobnymi, gdy podskakują na krawężnikach. Portorykańczyków, ich powiewające flagi i głośną muzykę, wydobywającą się z samochodów przez otwarte okna. Włochów z Bensonhurst, pomadujących włosy, chodzących w garniturach ze sztucznego materiału i z medalikiem świętego Antoniego na szyi. Żony z Upper East Side, w szalach od Hermesa, jedzące karczochy od Balducciego. Pieprzyć nastoletnich ćpunów, palących skręty w kuchniach tatusiów, którzy właśnie są w samolocie do Tokyo. Pieprzyć policję, tych tyranów ubranych na niebiesko, mknących w radiowozach i przejeżdżających na czerwonych światłach w drodze do Krispy Kreme. Pieprzyć Knicksów — Patricka Ewinga i jego występy przeciw Indianie, Charlesa Smitha i jego porażki w grze przeciw Chicago, Johna Starksa i tysiące jego chybionych strzałów w meczu z Houston — pieprzyć ich, nigdy nie pobiją Jordana, nigdy nie pobiją Jordana. Pieprzyć Jakoba Elinskiego, wiecznie jęczącego cherlaka. Pieprzyć Franka Slattery'ego, który zawsze gapi się na tyłek mojej dziewczyny. Pieprzyć Naturelle Rosario, która jutro odzyska wolność, gdy ja pójdę siedzieć. Pieprzyć Kostię Novotnego. Ufałem mu, a on mnie wystawił. Pieprzyć mego ojca siedzącego w ciemni i wieszającego mokre odbitki. Pieprzyć moją matkę gnijącą pod śniegiem. Pieprzyć Jezusa Chrystusa, on się łatwo wykipił: popołudnie na krzyżu, weekend w piekle, a potem już alleluja śpiewane przez anielski chór. Pieprzyć to miasto i wszystkich w nim — począwszy od rzędów domów w

Astorii aż do bliźniaków na Park Avenue, od projektów na Brownsville do strychów w Soho, od szpitala Bellevue do czynszowych kamienic w Alphabet City i burdeli przy Park Slope. Niech Arabowie zbombardują to miasto i zostawią gruzy, niech wody się podniosą i zatopią to całe zaszczurzone miejsce, niech trzęsienie ziemi zwali wszystkie wysokie budynki, niech ogień zapanuje nad miastem, niech się spali, niech się spali, niech się spali. I pieprzyć ciebie też, Montgomery Brogan.

Ktoś wali w drzwi toalety, więc Monty wstaje, idzie do zlewu i myje ręce. Przygląda się w lustrze swojej twarzy. Wszystko, co dobre zawdzięcza temu odbiciu. Zielone oczy, ładne kości policzkowe, prosty nos, perfekcyjnie białe zęby. Piękny, biały chłopak. Oczy, policzki, nos, zęby. Ktoś ciągle wali w drzwi i Monty wie już, co powinien zrobić.

— Pieprzyć to — szepce i macha na do widzenia swemu odbiciu.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

**WUJEK BLUE ROZKRAJA** nożem z drewnianym trzonkiem środek swego steku i przygląda się mięsu. Befszyk z polędwicy jest przesmażony, środek ma kolor różowy zamiast czerwonego. Wujek Blue przyzywa kelnera palcem. Chłopak pojawia się natychmiast.

— To nie jest średnio wysmażony. Przynieś mi, proszę, inny.

— Oczywiście, przepraszam bardzo. Napisałem średnio wysmażony.

— W porządku. I jeszcze lampkę wina.

Towarzysz Wujka Blue jest ciemno opalonym mężczyzną w eleganckim, granatowym garniturze. Jego białe mankiety wystają z rękawów dokładnie na jeden cal; ma zadbane, przycięte i opiłowane paznokcie. Przed nim stoi talerz ośmiornic z grilla.

— Proszę — mówi Wujek Blue. — Proszę jeść.

— Myślałem, że w pańskim lokalu przygotowują panu stek, jak trzeba.

— Opalony mężczyzna wyciska sok z cytryny na ośmiornice. — Ale to wygląda dobrze.

— Mam nadzieję, panie Gedny. Ja uczyłem szefa kuchni, jak to przyrządzać.

— Mmm. Bardzo smaczne. Podają też dużo. Dużo ośmiorniczek. Czy ośmiornic?

— Można powiedzieć i tak, i tak — uśmiecha się Wujek Blue. — Zazwyczaj porcje nie są tak duże. Nie zarobiliśmy.

— Ale jem z szefem — Gedny wyciera usta serwetką i wygląda przez okno. — Niech pan spojrzy, co się dzieje. Całkiem zasypie mi samochód.

Siedzą na prywatnym balkonie restauracji. Białe ściany, gliniane kafelki na podłodze, jasne plakaty przedstawiające tonący w słońcu Partenon i Santorini. Stoliki w głównej sali na dole mają szklane blaty, opierające się na miniaturach doryckich kolumn i nie są nakryte. Goście zostali dziś wieczorem w domach, nie chciało im się jechać i iść w zamieci.

— Widział się pan z Broganem dziś rano? — pyta Wujek Blue.

— Widziałem się, taak.

— Jak wyglądał?

— Nie kocha teraz życia. — Gedny sięga po swój kieliszek wina. — To jasne, ale nie wiem. Ciężko z niego coś wyczytać.

— Wiem, że trudno. I nie podoba mi się.

— Na sto procent chłopak nie sypnął. Nie wysłaliby go do Otisville, gdyby sypał.

— Rozmawiamy o ludzkich zachowaniach, panie Gedny. Nic nie jest pewne na sto procent. Nie zakładajmy, że są idiotami. Nie zakładajmy, że nie będą próbowali nas oszukać.

— Dokładnie — mówi Gedny. — Oni nie są idiotami. Ale nie ma też szans, żeby dzieciak spacerował sobie po okolicy, gdyby sypał. Po drugie, jak już pójdzie — to *zniknie*, nieprawdaż? Nie będzie zachodził do mojego biura. Jeśli sypnąłeś federalnym, to nie kończysz w Otisville. Nie, chłopak trzymał gębę na kłódkę.

— Narazie.

— Narazie — potakuje Gedny z ustami pełnymi ośmiornic.

— Nie przejmowałbym się nim za bardzo. To dobry dzieciak. Jest sprytny.

— Co zrobią z jego dziewczyną?

— Zrobili dużo hałasu, że oskarżą ją o współudział, ale nic takiego się nie zdarzyło. Powiedziała im, że nic nie wiedziała, oni jej nie uwierzyli, ale wcale się tym nie przejęli. Jest wolna.

Wujek Blue patrzy na kelnera wspinającego się po krętych schodach, balansującego kilkoma talerzami.

— Proszę, oto pański stek. Szefowi jest niewypowiedzianie przykro. Chciałby, żeby spróbował pan dzisiaj tego. Oto krewetki. Szef prosi o wyrażenie opinii na temat sosu.

— Świetnie, dziękuję.

— Czy mam jeszcze coś podać?

— Nie teraz. Dziękuję, Jeremy. Powiedz Viktorowi, że porozmawiam z nim później. — Kelner skłania głowę i oddala się. Wujek Blue rozkłada stek i sprawdza kolor.

— Czy tym razem jest w porządku? — pyta Gedny.

— Perfekcyjny. O czym mówiliśmy?

— Brogan. Jest dobrym dzieciakiem. Będzie w porządku.

— Jest miękki — mówi Wujek Blue, spoglądając na zegarek.

— Nie przetrwa tam długo.

— Będzie musiał. Federalne więzienie oznacza o jeden dzień mniej za każdy miesiąc dobrego sprawowania. Mówimy o osiemdziesięciu czterech dniach w ciągu siedmiu lat. Pański chłopak nie wyjdzie stamtąd szybko.

— Nie — mówi Wujek Blue.

— Będzie się pan z nim widział, zanim go zamkną?

— Dziś wieczorem, później.



— Pożegnalna impreza, tak? — Gedny kiwa głową. — Gdzie, w „VelVet”? Dobre miejsce, dobry czas. Słyszałem trochę o tych imprezach.

— Nie był pan tam, panie Gedny.

— Wiem, mówię tylko, że te zabawy wydają się być dobre. Co musiałbym zrobić, żeby wziąć udział w jednej z tych specjalności „VelVet”? Poza byciem skazanym na siedem lat, oczywiście.

Wujek Blue przeżuwa swój stek w ciszy i przepłukuje usta czerwonym winem.

— Wygrać więcej procesów.

— Proszę posłuchać, oni znaleźli sześćset pięćdziesiąt gram w poduszce sofy pańskiego chłopaka. — Gedny oblizuje usta. — Wezwali na świadka każdego białego ćpuna z East Side, który mówił, że Brogan sprzedaje. Gra skończona. Co mogę zrobić? To jest kodeks Stanów Zjednoczonych; tu nie ma z czym dyskutować. Z kim miałbym dyskutować? Siedemdziesiąt osiem do dziewięćdziesięciu siedmiu miesięcy, automatycznie. Sędzia powiedział osiemdziesiąt cztery, więc osiemdziesiąt cztery. Uchroniłem go od natychmiastowego więzienia, zatrzymałem go kilka miesięcy dłużej na świecie. Inaczej...

— *Oni* uchronili go od natychmiastowego zamknięcia. To mnie martwi. Kiedy skazali Maravaia, zakuli go w kajdanki jeszcze na sali rozpraw i zabrali do aresztu. Broganowi pozwolili normalnie wyjść drzwiami. Jest wolny przed procesem, jest wolny po procesie, aż do zgłoszenia się na odsiadkę. Biuro Więzień nakazało mu stawić się bezpośrednio do zakładu, zgadza się? Mnie wydaje się to bardzo niespotykane.

— Nie tak bardzo niespotykane — mówi Gedny, nalewając sobie

więcej wina. — To nawet przyjęte, oczywiście dla nieagresywnych. Maravai...

— To mi się wydaje podejrzane, panie Gedny. To sprawia, że wydaje mi się, że Urząd do Walki z Narkotykami poprosił sędziego o ten czas. Zmusza mnie to do myślenia, że oni wciąż próbują go przycisnąć. Co dzień przecież melduje się u kuratora sądowego, prawda? O czym oni tam dyskutują?

— O niczym specjalnym — wzrusza ramionami Gedny. — Odbija kartę. Chcą po prostu być pewni, że jest w pobliżu. Wie pan, dlaczego Maravai został od razu zatrzymany? Jest czarnym dzieciakiem i recydywistą. Brogan nigdy nie był za nic karany. Jest miło wyglądającym, białym chłopakiem i sędzia go polubił. Sędzia jest jak tata. Bar starego Brogana jest kaucją, gwarancją; to się liczy. Nie sądzę, żeby Urząd do Walki z Narkotykami miał z tym coś wspólnego.

— Oni wiedzą więcej niż się panu wydaje, panie Gedny. Oni podeszli prosto do sofy Brogana. Wiedzieli dokładnie, gdzie to znajdują. Jeśli Brogan mówi prawdę, to ktoś go wystawił.

Gedny pokazuje wskazującym palcem na sufit, a potem na swoje ucho.

— Musimy się przejść po obiedzie. Zrobimy sobie małą przechadzkę.

— Restauracja jest czysta.

Gedny nabija krewetkę na widelec, przenosi ją na swój talerz i odcina jej ogon.

— Jestem pewien, że tak. I jestem pewien, że wszyscy myśleli, że „Ravenite” też była czysta. Ale, mimo wszystko, przeszedłbym się. To nie

będzie długi spacer; pańska teoria była prawdziwa. — Gedny bierze kęs krewetki do ust i podnosi brwi — Świetne są te krewetki.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

**ZANIM SLATTERY ZDAŻYŁ** otrzepać swój długi, kaszmirowy płaszcz ze śniegu i powiesić go na wieszaku, szklaneczka whisky już stała na barze i czekała na niego.

— Cześć Jody — mówi zadowolony. Czuje ten ważny w swoim życiu moment: po raz pierwszy barmanka rozpoznaje go w drzwiach i nalewa drinka, nie czekając na zamówienie. Jeśli naląła tego drinka, co trzeba, to uwzględnię ją w swoim testamencie, myśli Slattery. Będę o niej pamiętał w testamencie. Niech bóg błogosławi jej duszę, to rzeczywiście jest Jameson's.

— Muszę zadzwonić — mówi Jakob i podąża na koniec sali, uderzając swoją moką, jankeską czapką o udo.

— Dziś jest wielki wieczór — mówi Jody, opierając się o bar tym wyćwiczonym ruchem, którym prezentuje swój dekolt rozmówcy, jakby chciała bez słów powiedzieć: *Dobry wieczór*. — Pierwszy naprawdę duży w tym roku.

Likiery połyskują kusząco za jej plecami, poniżej są drewniane półki, zapchane szklanymi słoikami. W każdym słoiku widać martwego robaka: wielkie karaluchy, ćmy, rogate żuki i stonogi.

— Ten jest nowy, tak? — pyta Slattery, wskazując na jeden z okazów.

Jody odwraca się, by spojrzeć. Slattery wykorzystuje tę krótką chwilkę, żeby zerknąć na jej piersi. Ładne piersi. Uszczęśliwiają go.

— Który, bananowy pająk? Taak, Linda złapała go, jak była na Florydzie. Wygląda jak tarantula, prawda? Włochate nogi i cała reszta.

— To miłe. Zrobiła kawał dobrej roboty.

— Denerwuje mnie, jak oglądasz te robaki — mówi Jody z uśmiechem, znów odwracając się do niego. — To zły znak, przyjacielu.

Jody zostaje odwołana na drugi koniec baru, a Slattery zerka w stronę drzwi. Montiemu nie spodoba się to miejsce. Jest zupełnie nie w jego stylu. Większość gości to stali klienci — wolno mówiący, biali mężczyźni, którzy przychodzą tu dla muzyki country i ładnych barmanek. Ciężka, czarna mucha przelatuje mu obok twarzy i Slattery uderza ją, niemal zabijając.

„Bug Bar” od wieków jest już niemodny. Stał się, na parę miesięcy, chętnie odwiedzana spelunką po tym, jak znany prawnik rozwodowy został tutaj zastrzelony w toalecie. Teraz znów jest niemodny. Trociny pokrywają linoleum na podłodze. Na końcu sali, brodaty mężczyzna, ubrany w kurtkę moro, ćwiczy uderzenia na stole bilardowym pokrytym czerwonym filcem — pozadzieranym, porwanym miejscami i poplamionym piwem. Grupa licealistów rozgrywa partię krykieta w rzutki swoimi własnymi strzałkami. Telewizor wiszący nad barem pokazuje skrót wczorajszego, wieczornego meczu koszykówki. Facet z tłustym karkiem siedzi zgarbiony obok toalety, nad błyskającym monitorem wideo i gra w pokera. Jerry Jeff Walker śpiewa z grającej szafy przy oknie:

*Masz już tego dość, matko łotrzyka z południowych stanów,*

*matko, która tak dobrze wychowałaś syna (I co? I co?)*

*Syn ma już lat trzydzieści pięć, a wciąż pije w podejrzanych knajpach,*

*wszczyna piekielne awantury i kopie hipisów po tyłkach.*

Slattery czasem chciałby być takim łotrzykiem. Nie zna żadnego.

Jest jeden Teksańczyk na giełdowym parkiecie, z Oklahomy, ale ten Teksańczyk skończył Harvard i Slattery jest pewien, że daleko odszedł już od zachowań prawdziwych Teksańczyków; nawet jeśli żuje tabakę i nosi Wranglery. Zeke cośćam, stusiedemdziesicciosiedmiofuntowy zawodnik z drużyny zapaśniczej na uczelni, był z zachodniej Pensylwanii; prawdziwy zacofaniec. Jak on się nazywał? Nosił czapkę Cat Diesel Power i zawsze mówił coś w stylu: „Oh, chodź, Wielki Frank, zmierzmy się?” Slattery nienawidził być nazywany Wielkim Frankiem, ale uwielbiał rzucać Zekiem o matę przez całe dwie godziny porannego treningu. Zeke wydawał się lubić to nawet jeszcze bardziej. Nie był zbyt dobrym zapaśnikiem, ale miał zadziwiająco wysoką tolerancję na ból. Może Zeke i był takim łotrzykiem, ale Slattery nie chce być Zekiem; chce być prawdziwym łotrzykiem z piosenki, upijać się w podejrzanych knajpach, kopać hipisów po tyłkach i wracać do domu swoją ciężarówką z kilkoma „dobrymi, starymi” dziewczynami.

Jakob wraca z końca sali, jankeską czapkę ma naciągniętą głęboko na oczy. Slattery patrzy, jak przechodzi, dokładnie pomiędzy graczem w rzutki a tarczą, nieświadomy jakiegokolwiek niebezpieczeństwa. Gracz krzywi się do swoich towarzyszy i udaje, że chce rzucić strzałkę tak, by wbiła się w środek głowy Jakoba. Slattery czuje ściskanie w dołku i wi-szącą w powietrzu awanturę. Chciałby potrząsnąć Jakobem za bycie taką wieczną, bezwiedną prowokacją; chciałby walnąć gracza w twarz za takie traktowanie Jakoba. Wpatruje się zmrużonymi oczyma w gracza, ale dzieciak go ignoruje. Slattery poraz tysięczny podziwia, jak przyjacielowi udało się przetrwać kolejne z zagrożeń codziennego życia w mieście. Jakob siada na swoim stoiku obok Slattery'ego.

— To nie do wiary. Moja matka powiedziała: „Nie powinieneś wychodzić dziś wieczorem. Jest zapowiadana najgorsza burza roku.” A ja jej odpowiedziałem: „Mamo, mam już dwadzieścia sześć lat.”

— Więc dlaczego zawsze do niej dzwonisz?

Tłusta mucha wylądowała na barze. Slattery przygląda się, jak owad pociera swoje łapki; przypomina mu kloszarda ogrzewającego ręce nad ogniem, rozpalonym w koszu na śmieci. Uderza pięścią, ale musze udaje się bezpiecznie odlecieć.

— Znasz moją mamę. Mówi, że nie zaśnie przez całą noc, jeśli się nie zamelduję. Powinieneś być słyszeć tę rozmowę. To niewiarygodne. Ona mówi: „Czy zabrałeś już tę rzecz?” A ja mówię: "Tak, mam. Zabrałem ją dwa tygodnie temu." Wiesz, co? Wiesz, co to jest ta rzecz? Ona nie używa normalnych słów, ale ja rozumiem, o czym mówi.

Jody wraca i mruga do Slattery'ego.

— Czy to twój młodszy brat, Frank? Jest słodki.

— Nie marnuj na mnie swego czasu — mówi Jakob. — Jestem w sześćdziesiątym drugim centylu.

Jody kiwa głową, nalewając piwo do zmrożonej szklanki.

— Ale to pewnie dlatego, że nie pracujesz na Wall Street. Skala jest opracowana pod tych, co mają kasę.

Jakob spogląda na nią, a potem na Slattery'ego.

— Czy każdy w mieście wie o tym rankingu?

— Nie każdy — mówi Jody, stawiając przed nimi szklanki z piwem.  
— Tylko każdy tutaj.

Dziewczyna pokazuje język Slattery'emu i ucieka na drugi koniec baru, gdzie starszy mężczyzna siedzi spokojnie, czekając na powrót Jody.

— Świetny sposób na zdobywanie przyjaciół — mamrocze Jakob, krzyżując ręce na piersi. Opiera się o bar i zdmuchuje pianę z piwa.

Slattery skupia się na Jody, a dokładniej na jej pośladkach, doskonale prezentujących się w króciutko obciętych dżinsach z białymi nitkami, które dotykają ud.

— Co o niej myślisz?

— O niej? Znaczy o kim?

— O Jody — mówi Slattery. — O barmance. Na zewnątrz zamieć, a ona ma na sobie Daisy Dukes. Nie uważasz, że jest milutka?

Jakob zerka na Jody i wzrusza ramionami

— Jest śliczna oprócz twarzy...

— Jest śliczna oprócz twarzy?

— Jej twarz jest trochę dziwna.

Mucha ląduje na uchu Jakoba, który szarpie się w bok, prawie spadając ze swego stołka.

— Jest śliczna oprócz tego, że jej twarz jest trochę dziwna?

— No dobra — mówi Jakob, poprawiając się na stołku. — Jest śliczna. — Zdejmuje swoją mokrą czapkę, poprawia daszek i dotyka palcami inicjałów NY — Wszystko jest subiektywne. Jeden z chłopaków w szkole, ten nauczyciel biologii, Terry... Poznałeś kiedyś Terry'ego?

— Nie.

— Wydaje mi się, że poznałeś. Na moich urodzinach, w zeszłym roku. Nieważne, jemu naprawdę podoba się taka dziewczyna. W rodzaju...

— Dziewczyna? — pyta Slattery. — Co masz na myśli? Uczennicę?

— Uczennicę, taak. Z tych młodszych. To jest właśnie dziwne, tak sobie myślę, że ona ma szesnaście lat. Może siedemnaście, nie wiem



dokładnie, ale raczej szesnaście. Musiałbyś ją zobaczyć. Nie jest tak naprawdę śliczna, ale jest... No nie wiem, ma to coś.

— Uhu — mówi Slattery, patrząc na koszykówkę na ekranie telewizora.

— Powiedziałem mu, powiedziałem Terry'emu, że powinien po prostu o niej zapomnieć, wyrzucić z głowy, ale on myśli o przyszłości, myśli długoterminowo. Myśli tak: „Za pięć lat ona już prawie będzie kończyć studia. Ja będę miał trzydzieści jeden lat. Nie ma w tym nic złego.”

— Miami znów wygrali — mówi Slattery i odwraca się, by spojrzeć na Jakoba. — Nie przeleciałaś jej jeszcze, co?

Jakob otwiera szeroko oczy.

— Widzisz, jakbyś mnie słuchał, to wiedziałbyś, że mówię o Terry'm. Terry to ten...

— Pamiętasz, jak pan Green został złapany na dmuchaniu Eddie Arabiana w kabinie toalety? Zszokowało mnie to. Nie miałem pojęcia, że Green był gejem.

— Rozumiesz, że rozmawiamy o Terry'm? — pyta Jakob. — O Terry'm, a nie o mnie.

— Dlaczego Eddie Arabian? Ze wszystkich chłopaków w całej szkole? *Eddie Arabian*. Ten dzieciak zawsze śmierdział jak ryba. O, zobacz, kogo tu mamy!

Naturelle stoi za nim w wilgotnym płaszczu, zarzuconym na ramiona. Skrzy się w swojej srebrnej sukience. Slattery zna tę sukienkę, zapamiętał ją; stał pod prysznicem i przeklinał sposób, w jaki materiał opina biodra dziewczyny, sposób, w jaki połyskuje na brzuchu, gdy ona

siada.

— Francis Xavier Slattery — Naturelle całuje go w policzek, a on podnosi się ze stołka.

— Cześć Jakob — mówi i całuje go również.

Slattery podsuwa jej stołek i dziewczyna siada pomiędzy nimi, jej kolana ocierają się o ich spodnie.

— O czym gadaliście? — pyta.

— Frank mówił... — zaczyna Jakob.

Mucha nadlatuje, Slattery robi zamach otwartą dłonią i omal nie uderza Naturelle w szczękę.

— Spokojnie, morderco — mówi dziewczyna i poklepuje go po brzuchu.

— Frank oceniał barmankę — mówi Jakob.

Naturelle spogląda w stronę barmanki mieszającej brandy.

— Taak? I jak brzmi werdykt?

— Winna — mówi Slattery — dobrego wyglądu.

Jakob i Naturelle zerkają na siebie i dziewczyna uderza Slattery'ego po udzie.

— Ona to same cycki, Frank.

— Nieważne — mówi Slattery, spoglądając na dzinsowe spodniki Jody. — Ta dziewczyna emanuje seksapilem.

Naturelle bierze piwo Jakoba i upija łyk.

— Ona emanuje czymś innym.

Slattery krzywi się i odwraca, by spojrzeć na Naturelle.

— Zauważyłem, że jeśli kobieta ma duże cycki, to inne kobiety uważają ją za dziwkę. Dlaczego tak się dzieje?

— Nigdy tak naprawdę nie studiowałam tego zagadnienia. Slattery zastanawia się przez chwilę, stukając pustą szklanką o brzeg baru.

— Kobiety są dla mnie nie do pojęcia. Jak... Chcesz przykład? Gadanie podczas filmu. Dlaczego kobiety zawsze muszą mówić, jak ty oglądasz film? Albo, jak to się dzieje, że gdy chcę do niej zadzwonić i po prostu powiedzieć, gdzie się spotkamy na kolację, to nie mogę oderwać się od słuchawki przez następne dwadzieścia minut? To jak choroba. Dlaczego kobiety zawsze płaczą po seksie? Co to jest?

Naturelle i Jakob patrzą na Slattery'ego przez kilka sekund z uniesionym brwiami. Nagle zaczynają się gwałtownie śmiać i Jakob podnosi dłoń do ust, żeby nie prychnąć piwem, a Naturelle trzyma się blatu baru, żeby się nie przewrócić.

— Co? — pyta Slattery. — Co? Mam na myśli, że nie *zawsze* ale czasami, czasami. Przestań. Ty nigdy tak nie robisz?

Naturelle próbuje złapać powietrze i gładzi Slattery'ego po głowie.

— Jesteś po prostu smutnym jebaką, Frank.

Jakob dostaje nowego ataku śmiechu, uderza dłonią o brzeg stołka.

— Zostałeś właśnie zdegradowany z dziewięćdziesiątego dziewiątego centyla, chłopie.

Slattery jest zły, że zrobił z siebie głupka, szczególnie, że wyszedł na głupka w sprawach seksu. To rola Jakoba. To właśnie Jakob zapytał się, gdy mieli po dziewiętnaście lat: „Gdzie jest łechtaczka?“, a Slattery odpowiedział: „Jakiś cal wgląd odbytu“ i uderzył go w usta, bo Jakob pokiwał głową z wyraźną troską. Pamięta też, jak Jakob spytał: „Nie uważasz, że pochwa wygląda jak usta kosmity?“ Slattery męczył go za ten komentarz miesiącami, jednak, gdy się nad tym zastanowił, musiał

przyznać, że pochwa wygląda jak usta kosmity albo skrzek; w każdym razie jak coś nieludzkiego. Slattery zrobił błąd i podzielił się tą myślą z Montym, który potrząsnął głową i powiedział: „A co z odbytem, Frank? Wolisz odbyt?” Nikt nie potrafi lepiej niż Monty sprawić, by Slattery czuł się jak głupek. Slattery podejrzewa, że nikt oprócz niego nie potrafi sprawić, by Jakob czuł się głupszy. Tak to właśnie działało pomiędzy nimi trzema, od dziewiątej klasy. Mała rybka pożarta przez dużą rybę pożartą przez większą rybę — aż do teraz, gdy największa ze wszystkich ryb połknęła Montiego w całości.

Slattery najbardziej boi się tego, że Naturelle pomyśli, że jest głupi. Nie chodzi o to, że chce ukraść kobietę Montiego, on po prostu chce ją przelecieć, jeden raz. Od lat był niewolnikiem widoku jej ciała: w bikini na Jones Beach, w porwanych dżinsach w barach, w czarnych rowerowych szortach w Central Parku, w obcisłych sukienkach w klubach i dyskotekach. Gdy Naturelle tańczy, Slattery stara się nawet nie patrzeć.

Pewnego razu grali z Montym w kosza, w parku Riverside. Slattery zawsze był dumnym sportowcem; nie lubił sportów, do których nie miał talentu. Tego dnia jednak grał uparcie, dobiegał na swoją pozycję po każdej zmianie piłki, odpychał łokciami każdego, kto stawał zbyt blisko. Przez cały czas bez koszulki, grał lub czekał na bocznej linii na następną grę. Kobiety stały wokół boiska, trzymając się barierek, gadając, odrzucając piłki, śmiejąc się. Naturelle założyła spódniczkę tak krótką, że Slattery dziwił się, dlaczego w ogóle ta spódniczka mu przeszkadza.

— Ta spódniczka jest zbędna — powiedział do Montiego. — Mogę zobaczyć dolną część jej tyłka.

— A ja mogę zobaczyć twój pępek — wzruszył ramionami Monty.

Naturelle bierze jeszcze jednego łyka ze szklanki Jakoba.

— O czym myślisz, Frank?

— Zastanawiam się po prostu, gdzie on jest — mówi Slattery, strzelając kostkami palców.

— Mówisz tak, jakby zwykle bywał o czasie.

— Lepiej, żeby jutro był punktualnie — mówi Slattery. — Jak się nie pojawiasz, wtedy gdy miałeś się pojawić, to robią z tego ciężkie przestępstwo.

Teraz mucha siada na twarzy Naturelle, która ją przegania, potrząsając włosami.

— Będzie. Od tego zależy bar jego ojca.

— Jak się ma jego ojciec?

— Wygląda jakby się postarzał o dwadzieścia lat w ciągu ostatnich kilku miesięcy.

— Zawsze go lubiłem — mówi Jakob. — Zawsze był dla mnie miły. Boże, będzie to ciężko znosił.

— To straszne, ale nie wydaje mi się, żeby pan Brogan wytrzymał te siedem lat — mówi Naturelle. — Nic mu nie zostało.

Slattery puka trzy razy w siedzenie stołka.

— Spójrzcie, co my robimy? Siedzimy i gadamy, jakie to wszystko jest smutne. Po co? Taka jest rzeczywistość. Naszemu chłopakowi zostało dziesięć godzin. Co będziemy robić? Siedzieć, płakać i trzymać się za rączki?

Naturelle podnosi się ze stołka i obciąga sukienkę.

— No dobra. Daj nam jeszcze kilka wskazówek na temat seksu. To rozweseli atmosferę. Którędy do toalety?

— Bardzo śmieszne — mówi Slattery.

Patrzą, jak Naturelle mija graczy, którzy trącają się łokciami i śmieją, gdy ich przywódca udaje, że wbija sobie sztylet w serce. Dobrze wyglądająca kobieta nie jest często spotykanym widokiem w barze „Bug”.

— Mogę się założyć, że *ona* płacze po seksie — mówi Slattery, wpatrując się intensywnie w graczy, którzy stanowczo i konsekwentnie go ignorują.

Podnosi swoją pustą szklanekę w stronę Jody, ale ta patrzy na kogoś, kto właśnie wchodzi do baru. Bez odwracania głowy Slattery wie, że wreszcie zjawił się Monty. Kobiety zawsze patrzą na wchodzącego Montiego.

Jakob i Slattery podnoszą się i obejmują Montiego. Jego twarz ma rumieńce od mrozu, a czapka i płaszcz pokryte są śniegiem. Opiera ręce na ramionach przyjaciół, uśmiecha się do Jody i zamawia jeszcze trzy szklaneczki Jameson's.

— Nat jest w łazience — mówi Slattery.

— Długo już siedzicie?

— Niece.

— Urządzają dla mnie imprezę w „VelVet”. Musimy niebawem się tam pojawić. — Monty puszcza przyjaciół i ogląda twarze siedzących przy barze. — Co to za miejsce?

— Frank chciałby być łotrzykiem — mówi Jakob. — Przychodzi tu i gwizdże Dixie, gdy siusia.

Jody ustawia przed nimi trzy szklaneczki whisky.

— Powinniście przyjść w niedzielę na Super Bowl. Instalujemy duży ekran telewizyjny. Linda ma kuzyna, który gra dla Packersów. On wygląda

tak jak ona, tyle że waży sześćset funtów.

Slattery skubie skórki przy paznokciach, a Jakob patrzy cicho w podłogę. Jody śmieje się.

— Nie musicie przychodzić. Tak tylko powiedziałam. Monty klaszcze głośno w dłonie. Wszyscy patrzą na niego.

Bierze koktajlową serwetkę z baru i wyciera rozgniecioną muchę ze swej dłoni, zgniata serwetkę w kulkę i wrzuca do śmietnika stojącego obok kasy. Uśmiecha się do Jody.

— Pieprzyć niedzielę — mówi i po geście toastu wychyla całą swoją whisky.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

**CAŁE MIASTO WYLEGŁO**, by powiedzieć „do widzenia” — mówi Monty, wysiadając z taksówki. Rojący się tłum okupuje kilka okolicznych ulic, setki nastolatków obozują pod masywnymi, czerwonymi drzwiami "VelVet". Grupki palących opierają się o budynki, osłaniając w dłoniach przed padającym śniegiem swoje tłące się papierosy. Inni siedzą na parkujących samochodach, pijąc piwo z czterdziesto-uncjowych butelek, ukrytych w papierowych torebkach. Żaden z nich nie jest ubrany odpowiednio do panującej pogody, ale też żaden nie wygląda na takiego, co by się tym przejmował.

— Masz wielu młodych fanów — mówi Naturelle. — Sądzę, że jesteśmy tu najstarsi.

— Poczekajcie tu chwilkę — mówi Monty i prześlizguje się przez masę ciał i twarzy dziewcząt i chłopców, słysząc urywki leniwych, przerywanych rozmów.

— Tosh ma w środku ludzi, ale to Tosh...

— Wiem. Nienawidzę tego spojrzenia. Ona zawsze rzuca mi takie spojrzenie.

— ... już trzy cale. Seb mówi, żeby jutro pojechać na północ stanu...

— Kupiłam pierwszy. Jest bardziej egzotyczny. On już nie jest teraz taki egzotyczny...

— To jest ładny zielony, ładny zielony...

— Pociąg R to piekło, człowieku. Prawie jak w czasach pionierów. Jeżdżę tym gównem po drodze do domu, już od tygodni...

Monty pokonuje drogę do aksamitnych linek. Filar, który okazuje się



być człowiekiem, i to ubranym w płaszcz z wielbłądziej wełny, dokładnie taki sam jaki ma Monty, sprawdza nazwiska na liście.

— Niezły płaszcz, skubańcu — mówi Monty. Ochroniarz marszczy brwi, podnosi oczy i rozpromienia się w uśmiechu.

— Oto ten człowiek. Oto on. Przybył. W moim płaszczu.

— Nie, nie, nie — mówi Monty. Płaszcz jest mój. Kupiłem oba dwa lata temu.

— Co to jest? Najlepszy z Woolwortha? Kupiłeś na przecenie?

— Khari, mój młody, czarny przyjacielu, to jest płaszcz od Paula Stuarta. Słyszałeś może o Paulu Stuarcie? To ten sklep, do którego nie możesz wejść, ponieważ tam wzięliby cię za ten twój poliestrowy, czarny tyłek i wywaliliby cię z powrotem do Queens.

— Mam nadzieję, że masz do tego płaszcza jakieś naftalinowe kulki na mole o siedmioletnim działaniu — śmieje się Khari.

Monty waha się i za chwilę śmieje, stwierdziwszy, że tak będzie lepiej. Jest już chory od tego przebywania wśród ludzi, którzy zachowują się wobec niego tak, jakby miał umrzeć jutro rano.

— O co chodzi z tymi dzieciakami?

— Oglądałem serie podrabianych dowodów tożsamości — mówi Khari. — Ten punk, tutaj miał świetnie zrobione prawo jazdy stanu Nowy Jork. Wszystko grało, z wyjątkiem jednej rzeczy. Rok urodzenia 1947. Spojrzałem na niego i mówię: „Chłopie, nie możesz mieć pięćdziesięciu lat.” A on tylko: „O kurwa, znowu. Falszerz przekręcił cyfry.” Miało być 1974.

— Co się dzieje dziś wieczorem?

— Legendarny DJ Dusk miksuje muzę. Mój krajan z Hollis. Chłopak

ma siedemnaście lat. Trochę dziewczęce ruchy. Ale, ale, zarezerwowali dla was wszystkich salę VIP.

— Moi ludzie czekają na ulicy. Mam ich tu przyprowadzić?

— Nieee — mówi Khari. — Przyprowadź ich do tego drugiego wejścia, od alei. Wiesz, o którym mówię? — Podrzuca krótkofalówkę i łapie ją w swoją wielką dłoń. — Powiem im, że idziecie.

— Dzięki, Khari.

— Nie ma za co. Kiedy tam jedziesz?

— W południe.

— Do Otisville, tak? Monty potwierdza kiwnięciem.

— Wujek nie ma tam żadnych ludzi?

— Nikogo wartego zachodu — mówi Monty.

— Jeden z moich chłopaków, Etienne, tam jest. Zapamiętaj to imię: Etienne Michaux. On tam rządzi. Zapamiętasz to imię?

— Etienne Michaux. Kim on jest, Haitańczykiem?

— Nieee, jest z Paryża. Powiedz mu, że jesteś przyjacielem Khari. On cię ustawi. Jest blisko z klawiszami.

— Klawiszami?

— Ze strażnikami, człowieku, ze strażnikami. Federalni prowadzą milszy zakład. Dużo milszy niż stanowi.

— Jestem zatem szczęściarzem — uśmiecha się Monty.

— Szczęście Irlandczyka, co?

— Szczęście Irlandczyka. Khari ściska ramię Montiego.

— Posłuchaj, nie trać panowania nad sobą, chyba że nadejdzie czas, by to panowanie nad sobą stracić. Słyszysz?

— Dobra — mówi Monty. — Zobaczymy się w środku. — Monty

prześlizguje się z powrotem przez tłum i sygnalizuje przyjacielom, żeby szli za nim.

Jakob wchodzi na chodnik i planuje swoją drogę. Patrzy z pogardą na Slattery'ego, który opuszcza głowę i przebiega do przodu, taranując i zmuszając młodzież do ustąpienia mu miejsca i zejścia z drogi. Nie ma stylu, myśli Jakob. Tragiczne jest w tym wszystkim to, że nikt nie docenia jego wielkiego talentu. Nie przypomina sobie, żeby kiedykolwiek dostał komplement dotyczący jego pieszych manewrów. Dziś stopień trudności jest znaczny: cztery drinki (sześć, jeśli liczyć te dwa z LoBianco), wypełniony ludźmi chodnik, śliski śnieg, który utrudnia kroki w bok. Monty jest dobrym piechurem; Jakob to docenia. Monty jest elegancki, mimo że nigdy tak naprawdę nie myśli o tym, jak idzie; robi to instynktownie. Naturelle wzoruje się na Slatterym. Pozwala mu przebijać się przez mottach i podąża za nim utorowaną ścieżką, podczas gdy młodzi chłopcy odwracają się, by się jej przyjrzeć. Jakob idzie ostrożnie za nimi, omijając skamieniałą dziewczynę, która podniosła głowę do góry i otwartymi ustami próbuje łapać spadające płatki śniegu.

— Hej, Elinski! Panie Elinski! Hej!

Jakob zamiera na sekundę. Nic dobrego nie może z tego wyniknąć. Idzie dalej.

— Elinski! Hej, to jest Elinski!

Jakaś ręka chwyta jego rękaw i Jakob zmuszony jest się odwrócić i spojrzeć w nienaturalnie błyszczące oczy Mary D'Annunzio.

— Oh — mówi Jakob. Jest bardzo bliski powiedzenia: „oh, nie”, ale zamyka usta, zanim wymyka mu się „nie.”

— Co pan robi? Boże, nie wiedziałam, że pan w ogóle opuszcza

szkołę. Myślałam, że pan ma łóżko w kotłowni albo gdzieś...

Umysł Jakoba przerzuca możliwe plany ewentualnej ucieczki. Rozważa użycie: „*Nie jestem tym, za kogo mnie bierzesz; jestem bratem bliźniakiem Jakoba Elinskiego*” — ale ostatnio, gdy próbował tej linii obrony, nikt mu nie uwierzył i znalazł się w jeszcze większych tarapatach.

— Mary D'Annunzio — mówi, by zyskać na czasie. Dziewczyna ma na sobie niemodne, ciemne dżinsy z odwiniętymi na czarnych butach mankietami i kurtkę ze sztucznego futra szopów. Nie ma czapki, a jej czarne, wilgotne włosy przyklejają się do czoła i szyi. Na policzkach widać ciemne smugi rozmazanego cienia do powiek.

— Mary Czwórka z Plusem D'Annunzio to ja. — Błędnie odczytuje wyraz panicznego strachu na jego twarzy i dodaje — Żartuję. To nie ma znaczenia. To było właściwie tylko gówniane opowiadanie.

— Muszę iść — mówi Jakob. — Jestem tu z przyjaciółmi.

— Taak, ten facet, co poszedł porozmawiać z ochroniarzem, zgadza się? Zna ludzi, co? Jak pan myśli, mógłby nas wprowadzić?

— Hm, nie sądzę...

— Nie wpuszczają teraz nikogo. Mówią, że jest już za dużo ludzi. Ja muszę tam wejść. Jest pan fanem Duska?

— Pewnie.

— Jest absolutnie wspaniały, prawda? Jest taki prawdziwy. Nie mogę uwierzyć, że zna pan Duska! Bez obrazy, ale wydawało mi się, że słucha pan fletów czy...

— Sądzę, że Dusk jest bardzo dobry — mówi Jakob — ale wolę jego wcześniejsze rzeczy.

— Wcześniejsze rzeczy?

— Jake, co ty robisz? — Monty zawrócił i daje Jakobowi znaki, żeby się pośpieszył. — Mam chłopaka, który trzyma dla nas drzwi.

— Jestem Mary D'Annunzio — mówi dziewczyna, nie puszcżając rękawa płaszcza Jakoba.

— Świetnie — mówi Monty. — No chodź, chłopie, idziemy.

— Jestem z nim — mówi Mary, kładąc głowę na piersi Jakoba. — Jesteśmy kochankami.

Jakob zamyka oczy.

— Czy to prawda? — szczerzy się Monty w uśmiechu. — Nie uświadamiałem sobie, że wy dwoje jesteście kochankami. Dobra, chodź. W środku jest mnóstwo miejsca.

— Poczekaj — mówi Mary. — Jestem z trójką przyjaciół.

— Jesteś z trójką przyjaciół? — przygląda się jej Monty. — Czy ty jesteś psychiczna? Chcesz wejść czy nie?

— Dobra — mówi. — Lepiej jedna niż żadna. Jakob wciąż ma zamknięte oczy.

— Chodźmy — mówi Monty do Mary. — Bierz swego kochanka i chodźcie za mną.

— Dogonią nas — mówi Naturelle, prowadząc Slattery'ego na piętro.

— Wiesz, dokąd idziemy? — Slattery niesie płaszcze ich obojga, przewieszane przez ramię.

— Byłam tu już zbyt wiele razy — mówi. — Ale grają tu dobrą muzykę.

Slattery nakazuje sobie skierować wzrok na schody, a nie na odzianą w srebro pupę Naturelle. Po przejściu jednej trzeciej schodów przestaje jednak, na moment, słuchać swego własnego nakazu i jest zgubiony;

wszystko wokół blednie i znika wobec tego pięknego, mieniącego się przed jego oczami widoku.

— Monty dziwnie się zachowuje — mówi Naturelle.

— Taak.

— Powinniśmy mieć go na oku. Dobrze? Frank? — odwraca się i spogląda na niego. Slattery patrzy na nią i uśmiecha się. — Czy ty mnie słuchasz?

— Mieć go na oku. Zgadzam się. Ale dlaczego? O czym myślisz?

Naturelle marszczy brwi i wspina się dalej.

— On po prostu bardzo dziwnie się zachowuje. A ciebie nie dziwi jego zachowanie?

— Za kilka godzin idzie do więzienia, Nat. Jak chciałabyś, żeby się zachowywał?

— Chciałabym, żeby widać było, że się boi — prowadzi Slattery'ego przez szare, stalowe drzwi i zalewa ich muzyka, fala basów.

Stoją teraz na długim balkonie, pięćdziesiąt stóp nad parkietem do tańca. Opierają się o poręcz i patrzą w dół na wijącą się masę ludzi.

— Nigdy nie widziałam tu takich tłumów — mówi Naturelle. Slattery potrząsa głową, nie słysząc jej słów zagłuszonych przez muzykę. — Tędy — krzyczy dziewczyna. — Tędy.

Idzie za nią na koniec balkonu i po kilku małych schodkach w dół. Na tle aksamitnej kurtyny stoi mężczyzna z okropną blizną pooparzeniową na połowie twarzy; skóra jest nienaturalnie naprężona i błyszcząca od maści. Mężczyzna uśmiecha się, widząc nadchodzących i pochyla się, by pocałować Naturelle w policzek.

— A gdzie jest On?! — pyta, krzycząc jej do ucha.

— Będzie tu za minutę! Oskar, to jest Frank!

Slattery i ochroniarz kiwają sobie głowami na powitanie. Naturelle odsuwa na bok kurtynę i prowadzi do pustej sali VIP.

— Zgaduję, że mamy dla siebie oddzielne miejsce. Tu jest przynajmniej trochę ciszej.

— Co się stało z jego twarzą? — szepce Slattery.

— Nie wiem, pytałam Montiego i powiedział mi: „Podpalił się” — potrząsa głową.

Slattery nienawidzi nocnych klubów. Nienawidzi tych dzieciaków, które ważą po dziewięćdziesiąt funtów i palą papierosy bez filtra, nienawidzi tych łazienkowych scen, gdy faceci stoją po dziesięć minut przed lustrem, żelując włosy, kontrolując uśmiech, poprawiając spodnie w kroku. I patrząc teraz wokół, nienawidzi również sal VIP. Ściany pokryte są grubym, czerwonym, gniecionym aksamitem. Poduszki są obciążone czerwonym aksamitem, bogato zdobione krzesła są pokryte czerwonym aksamitem, dywan jest czerwony i wygląda jak aksamit. Mały barek na jednym z końców jest obity czerwonym aksamitem. Błada kobieta w zielonej sukience stojąca za barem macha do Naturelle. Czarny, stalowy znak zapytania zwisa z sufitu pośrodku sali, jego kropka dynda siedem stóp nad podłogą. DJ Dusk puszcza pulsujące dźwięki muzyki, dobiegające tu z głośników umieszczonych na ścianach.

— Nie patrz na mnie — mówi Naturelle. — Ja nie mam z tym nic wspólnego.

— Zorganizuj mi drinka — mówi Slattery. Siada na jednym z krzeseł i zamyka oczy. Nie śpi od piątej trzydzieści rano. Ta noc się nigdy nie skończy.

— Skąd znasz Jake'a? — pyta Mary, podążając za Montym schodami. Jakob idzie z tyłu. Nadal nie jest pewny tego, co się dzieje.

— Chodziliśmy razem do szkoły — mówi Monty.

— Naprawdę? Campbell-Sawyer? Chodziłeś do Campbell--Sawyer? Nie pasowałbyś tam.

— Oni też tak uważali.

— Nienawidzę tego miejsca. Elins... Jake jest w porządku, ale większość jest...

— Ile masz lat? — zatrzymuje się Monty.

— Dwadzieścia jeden — mówi Mary bez zawahania. — Przetrzymani mnie chwilę.

— Ile masz lat?

— Siedemnaście.

— A pan Elinski jest twoim nauczycielem — uśmiecha się Monty.

— No tak — Mary obraca się i klepie Jakoba po ramieniu. — Jestem jego najlepszą uczennicą.

— Spójrz — mówi Jakob. — Ona ma siedemnaście lat. Nie możemy jej tu zabierać.

— Dlaczego nie? — pyta Monty. — Przecież już jest w środku.

— W czym problem? Mam dowód.

— Możesz sprowadzić na ludzi kłopoty — mówi Jakob. — Mogą im przez ciebie zamknąć klub.

Monty wzdycha i wchodzi dalej po schodach.

— Pieprzyć klub. Mówiłaś, że jak się nazywasz? Mary D'Agostino?

— D'Annunzio.

— Co myślisz o Elinskim?



— Jest w porządku — odwraca się i uśmiecha do — Czasem zachowuje się jakby żył nie w tych czasach.

— To prawda. Myślę, że dziś będzie wielki dzień dla pana Elinskiego. Sądzę, że powinniśmy się postarać, żeby chociaż raz się dobrze bawił.

— Dobra — mówi Mary. — Więc, jak chodziliście do C-S, to chodzili tam sami chłopcy, tak?

Monty otwiera drzwi ewakuacyjne i wprowadza ich na balkon.

— Same chłopaki — mówi, ale hałas zagłusza jego słowa.

— Oh, posłuchaj tego! Słuchaj! Dusk jest taki prawdziwy! Musimy zatańczyć!

— Jeszcze nie — mówi Monty. — Mamy imprezę, na której musimy być. — Nie mogą go usłyszeć, ale idą za nim po schodkach w dół, do sali VIP. W wejściu Monty wita się z Oskarem.

— Powiem ludziom, że już jesteś — krzyczy Oskar.

— Daj mi z godzinkę! Jeszcze nie jestem gotowy na całe to przedstawienie.

W środku Naturelle siedzi przy aksamitnym barze, rozmawiając z barmanką ubraną w zieloną sukienkę. Obie odwracają się do wchodzącego Montiego. Monty podnosi zaciśnięte pięści w górę jak mistrz boksinista i uderza Slattery'ego w ucho.

— Obudź się, chłopie! Co robisz? Slattery otwiera oczy.

— Nie śpię. W tej sali czuję się jak połknięty przez wieloryba. Co się dzieje?

— Co się dzieje? Moja pożegnalna impreza zaraz się zaczyna. Daphne! Szampana! Chodź tu i przyłącz się do nas D'Annunzio, to jest

Slattery.

— Cześć — mówi Mary. Siada na brzegu najbliższej sofy i rozgląda się. — Widziałam tę salę na zdjęciach — mówi. — Smashing Pumpkins byli tutaj. — Patrzy na Montiego — Kim jesteś? Jesteś kimś sławnym?

Monty kiwa głową.

— Zrób nam przysługę D'Annunzio. Nie mów za dużo.

Daphne, barmanka w zielonej sukience, przynosi dwie butelki szampana w wiaderku z lodem. Za nią idzie Naturelle z tacą wysokich kieliszków. Monty całuje Daphne w policzek, porywa z wiaderka jedną z ociekających butelek i zaczyna ją otwierać.

— Gdzie jest łazienka? — pyta Slattery, wstając z krzesła. Idzie w kierunku wskazanych mu drzwi. — Jeśli deska klozetowa jest pokryta czerwonym aksamitem, to kogoś uszkodzę.

Daphne stawia kubek z lodem na czarnym, stalowym stoliku i wraca za bar. Monty strzela korkiem, wylewając odrobinę szampana na czerwony dywan. Przyciska butelkę do czoła i czuje żyłkę pulsującą w zetknięciu z zimnym szkłem. Nagle zdaje sobie sprawę, że wszyscy go obserwują i uśmiecha się szeroko. Nalewa szampana, rozdaje kieliszki i siada na sofie. Ewa na Jakoba, żeby się przysiadł.

— Muszę potańczyć — mówi Mary, zdejmując swoją futrzaną kurtkę. Ma na sobie biały top z ptaszkiem Tweety na piersi. Wytatuowane róże oplatają jej lewy nadgarstek. Zrywa Jakobowi jankeską czapkę, jej ręce są zbyt szybkie jak na jego spowolniony refleks, i zakłada ją sobie daszkiem do tyłu. — Czy ktoś jeszcze chce potańczyć?

— Ja chętnie potańczę — mówi Naturelle. — Chcesz potańczyć z nami? — pyta Montiego.

— Trochę później. Muszę pogadać z Jakobem.

— Jestem Naturelle — mówi, wychodząc z Mary z sali.

— Mary D'Annunzio. Jestem kochanką Jakoba.

Jakob siada obok Montiego, opiera się i zasłania oczy przedramieniem.

— Co ty mi robisz?

— Ona jest milutka, chłopie — śmieje się Monty. — Za dużo mówi, ale jest milutka.

— Chcesz, żeby mnie wylali? Zdajesz sobie z tego sprawę? Ona powie swoim kumplom, a oni powiedzą swoim kumplom i całkiem szybko wszyscy w szkole już będą wiedzieli, że Mary D'Annunzio i pan Elinski poszli razem do nocnego klubu.

— Poszliście do nocnego klubu. I co z tego? Powiesz im, że to były urodziny twego przyjaciela i wzięłaś ją ze sobą. Nie zrobiłaś niczego złego, prawda? Jeszcze nie.

— Jeszcze? Co to ma niby znaczyć?

— Chcesz tej dziewczyny, prawda?

— Cholera, Monty, ona ma siedemnaście lat! Jest moją uczennicą. Nie mogę jej dotknąć.

— A ja bym dotknął — mówi Monty. — Ma ten wygląd. Lubię małe dziewczynki z tatuażami.

— Świetnie.

— Nie widzę tego inaczej. Każdy z nas ma swoją drogę.

— Tak sądzę.

— Jest źle. Jesteś mądrzejszy niż ludzie, których obecnie znam. Tutaj — mówi Monty, podnosząc kieliszek szampana — wznieśmy toast.

— Chcesz, żebym ja wznosił toast? — pyta Jakob, podnosząc swój kieliszek.

— Tak. Nie będę widywał cię przez dłuższą chwilę. Powiedz coś miłego.

Jakob obserwuje wznoszące się bąbelki.

— Boże, moja głowa nie pracuje zbyt dobrze.

— Dobra — mówi Monty. — Za Doyle'a.

— Za Doyle'a? Dobra, za Doyle'a — trącają się kieliszkami i piją.

— Teraz jest twoim psem — mówi Monty.

— Co?

Monty pozwala, by szampan pomusował przez chwilę na języku, zanim go połknie.

— On potrzebuje domu. I lubi cię.

— Taak, ale... Nie wiem. Widziałeś, jak małe jest moje mieszkanie.

— Biedny Doyle, będzie musiał mieszkać w małym mieszkaniu. Hej, on jest twardym psem. Przyzwyczai się.

— Dlaczego Nat nie może go wziąć?

— Ona wyprowadza się do swojej matki. Ta kobieta go nienawidzi.

Doyle nie lubi Franka. A mój ojciec ma alergię na sierść.

— A co z Kostią?

Monty przejeżdża palcami po swoich czarnych włosach.

— Kostii nie będzie. Więc tak. Nie ma nikogo innego, kogo mógłbym o to poprosić.

— Nie wiem — mówi Jakob. Monty ponownie napełnia kieliszki.

— Dają mi dzisiaj wszystko, co? Cristal. Jestem szczęśliwcem, że pracuję z tak troskliwymi ludźmi.

— Jeszcze jeden kieliszek i będę oficjalnie pijany.

— Posłuchaj — mówi Monty. — To dla mnie ważne. Doyle jest dla mnie ważny. On nie jest moją zabawką. Jest przyjacielem. Wiem, jak to brzmi. Wiem, że to brzmi dziwnie, ale słuchaj. Gdy go znalazłem, nie ufał nikomu. Odgryzłby rękę każdemu, kto chciałby go pogłaskać. Prawie nie żył, gdy go znalazłem. Jeszcze kilka godzin, a szczury by go zjadły. Faceci, którzy mieli go przedtem, gasili na nim papierosy, bili go łańcuchem, czy czymś takim. I stracił ucho, które mu odgryzł przeciwnik w walce psów.

— Taak, opowiadałeś mi.

— Doyle jest najtwardszym gościem jakiego znam. Gdy go znalazłem, leżał koło autostrady i czekał na śmierć. Wiedział, że niedługo umrze, ale nie wydał z siebie głosu. Siedział tam po prostu i powiedział „pieprzę cię” bólowi, i powiedział „pieprzę cię” śmierci, i powiedział „pieprzę cię” do mnie, kiedy próbowałem mu pomóc. Ale zrobiłem to, pomogłem mu. I wiesz co? To jest najlepsza rzecz, jaką zrobiłem w całym moim życiu. Pomyśl o tym. Taka jest prawda. Najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłem w całym moim życiu, to uratowanie tego małego, czarnego sukinsyna. Każdy jego dzień, począwszy od wtedy, Doyle przeżywa dzięki mnie. Każda wiewiórka, którą goni, każdy kęs żarcia, który połyka, każda kość, którą obgryza — dzięki mnie. I jest to coś innego niż byś się spodziewał. Bo to nie Doyle jest wdzięczny. Nie, Doyle kocha mnie, ale on nie pamięta tego wszystkiego. Dziwne jest to, że to ja jestem wdzięczny. Bo to ja widzę go biegnącego wkoło, słyszę, jak szczeka i wiem, że to jest najlepsza rzecz, jaką w życiu zrobiłem. I nie oddam go hyclowi. Doyle jest najbrzydszym psem we wszystkich pięciu

okręgach. Kto go zaadoptuje? Wyobrażasz sobie, że jakaś mamusia z tatusiem zabiorą go do domu dla swojej małej córeczki: „Zobacz, kochanie, pieseczek dla ciebie”. Wyobrażasz sobie ten wrzask dzieciaka? Jezu, Doyle wygląda jakby wyrósł w piekle. I mówię ci teraz, nie pozwolę jakiemuś weterynarzowi wbić mu igłę i go wykończyć. Uratowałem mu życie, tak? Jestem za niego odpowiedzialny. Nie przeszedłem tego wszystkiego po to tylko, żeby jakiś weterynarz mógł go uśpić. Jeśli już by miało do tego dojść, sam to zrobię. Wpakuje mu dziś wieczorem nabój w ucho. Więc pytam cię, Jake, proszę cię o przysługę i dla mnie to jest wielka przysługa. Weźmiesz go? Zabierzesz go ze sobą do domu?

Jakob siedzi cicho, pocierając dłonią o czerwony aksamit poduszki.

— Wiesz co? — mówi w końcu. — To będzie dla mnie zaszczyt.

Monty uśmiecha się i ma w oczach łzy.

— Miałem nadzieję, że tak odpowiesz. Naprawdę miałem taką nadzieję.

— Wiesz, po tej przemowie jak mógłbym odmówić?

— Dobrze — mówi Monty, rozpromieniając się. — No, teraz pozostaje nam tylko połączyć cię z tą dziewczuszką D'Annunzio i całe twoje życie będzie odmienione.

— Hej, to nie jest śmieszne. Ona jest moją uczennicą, Monty. To byłoby bardzo złe.

— Taak — mówi Monty, opierając głowę o sofę i zamykając oczy.

— Ale co z tego?

Slattery wychodzi z łazienki i przysiada się do nich na sofę.

— Nigdy więcej chińskiego żarcia — mówi, masując się po brzuchu.

— Nigdy.

— Hej, w porządku — mówi Jakob i poklepuje Montiego po ramieniu. — Mam do ciebie pytanie.

— Jakie?

— Czy myślisz...

— Jak zapytasz go, czy wyglądasz jak fretka — mówi Slattery — to cię chyba zabiję.

Jakob przerywa i kręci głową.

— Nie o to chciałem zapytać.

— Kto myśli, że wyglądasz jak fretka? — pyta Monty.

— Dzieciaki w Campbell-Sawyer — mówi Slattery.

— Nie, nieprawda — mówi Jakob. — To nic. O to bym nie pytał.

— Jake jest w złym nastroju przez cały wieczór — mówi Slattery. — Chłopak potrzebuje jakiejś dupy.

— Ta dupa jest tam, na parkiecie — mówi Monty, oczy ma ciągle zamknięte i wystukuje na poduszce sofy rytm muzyki puszczonej przez DJ Duska. Dziwna, złowieszcza muzyka; przyspieszająca perkusja i kontrast organów z syntezatora. Temat wydaje się ginąć w dysonansie, jakby Dusk próbował straszyć słuchaczy możliwościami chaosu, ale potem mutuje na chwilę perkusję i wreszcie samotny dźwięk organów stawia wszystkim uszy na baczność.

— Jak myślisz, Frank? — pyta Monty, otwierając oczy. — Ona wygląda całkiem nieźle, prawda?

— Ona jest moją uczennicą — mówi Jakob. — Zrozumiano? Moją uczennicą.

— Czy to ona nazwała cię fretką? — pyta Slattery. Światła przygasają i Monty podnosi się na sofie, sięgając do kabury po broń.

Światło znów się zapala. Kostia stoi przed aksamitną kurtyną z dłonią na przełączniku.

— Impreza rozpoczęła się beze mnie? Monty wypuszcza rękojeść pistoletu i wstaje.

— Powinienem cię zastrzelić, ty tłusty, ruski popaprańcu. Kostia zbliża się powoli, grożąc palcem.

— Ukraiński. Tłusty, ukraiński popaprańcu. — Obejmuje Montiego jak niedźwiedź i całuje go w policzki. Monty stoi sztywno w objęciach dużego mężczyzny. Po uwolnieniu się z nich wyciera sobie twarz rękawem czarnego swetra.

— Montgomery. Mój przyjacielu. Długo już tu jesteś? I otworzyłeś szampana beze mnie? Frank! Cześć Frank!

— Cześć Konstantine.

— Kostia. Proszę, mów mi Kostia — opiera swoją wilgotną dłoń na ramieniu Montiego. — Będzie lepiej, jak mój przyjaciel już do nas wróci. Tak. Cześć. To Jason, tak?

— Jakob — mówi Elinski. Spotkali się wcześniej przynajmniej z pięć razy. Jakob nie lubi Kostii. Ukrainiec jest zbyt duży, zbyt głośny. Jakob nie lubi jego jedwabnych koszul, jego złotych pierścieni, jego uśmiechu z tytoniowym nalotem. Kostia stracił przednie zęby; nosi mostek, który wyjmuje zawsze, gdy jest pijany, żeby uśmiechać się do kobiet i pluć orzeszkami przez całą salę.

— Mam wszystko dla ciebie załatwione — mówi Kostia, mrugając do Montiego. — Bardzo miła dziewczyna.

— Nie mam nastroju.

— Oh, jak ją zobaczysz, będziesz miał nastrój. Znalazłem ją



specjalnie dla ciebie.

— Ostatnia wyjątkowa dziewczyna, jaką mi przedstawiłeś, nie miała trzech zębów.

Kostia śmieje się głośno.

— Śmieszne, powinieneś to opowiedzieć.

Wszyscy czekają na dalszy ciąg. Wreszcie Monty pyta:

— Dlaczego śmieszne? Powiniennem to opowiedzieć?

— Śmieszne było to, co powiedziałeś — wzrusza ramionami Kostia.

Cisza.

— Czekaj — mówi Monty. — Kiedy mówisz: „Śmieszne, powinieneś to opowiedzieć” to znaczy: „To przypomina mi tę śmieszna historię”.

— Nie, nie. Ja mówię, że to, co powiedziałeś było śmieszne. Rozumiesz? Było śmieszne, że to powiedziałeś.

Przez chwilę nikt się nie odzywa.

— Chodź — mówi w końcu Kostia. — Chcesz się z nią spotkać?

— Nie sądzę. Naturelle tańczy na dole.

— To pójdziemy szybko, pójdziemy od razu. Tak? Musisz zobaczyć tę dziewczynę, Monty. Znalazłem ją specjalnie dla ciebie. Dobry szampan?

— Ile masz tam dziewczyn? Masz też jakieś ładne dla moich przyjaciół?

— Nie dla mnie — mówi Slattery. — Dzięki. Monty sięga po rękę Slattery'ego.

— Chodź ze mną na dół. Muszę z tobą pogadać.

— To nie w moim stylu, Monty. Ja naprawdę... — Slattery chwytając Montiego za rękę i podciąga się, wstając z sofy. — Dobra. Prowadź.

Jakob przesuwa się niespokojnie na swoim miejscu.

— Chcecie, żebym tu został?

— Musisz tu zostać. Kto się zajmie Mary D'Agostino, jak wróci?

— Mam powiedzieć Nat, że jesteś na dole z prostytutką?

— Nie — mówi przestraszony Kostia. — Nie mów jej tak.

— Powiedz jej, co chcesz — uśmiecha się Monty. — Ale nie zniknij, pójdziemy do mojego mieszkania po imprezie, żebyś zabrał Doyle'a.

Jakob patrzy, jak trzech mężczyzn opuszcza salę. Trzech mężczyzn, myśli. Wszyscy trzej mają fizyczną siłę, prezencję; wchodzisz z nimi do lokalu i czujesz się bezpieczny, chroniony. Jakob *zawsze* czekał, że jeszcze urośnie. Jego ojciec jest wysoki, jego starszy brat wiosłuje w Syracuse. Nawet jego młodsza siostra jest od niego o cal wyższa. Co to za facet, który jest niższy nawet od własnej młodszej siostry?

Jak wygląda D'Annunzio, gdy tańczy? Jakob zastanawia się. Czy tańczy z jakimś chłopakiem, czy z Naturelle? Mary D'Annunzio i Naturelle Rosario tańczące razem. To obraz, który sprawi, że będzie ci ciepło nawet w zimową noc. Jezu Chryste, one są orgią samogłosek.

*O co mężczyzna nie musi nigdy pytać w sklepie „Victoria's Secret”?* I kim, do diabła, jest LoBianco, żeby moralizować? I gdzie teraz w ogóle jest LoBianco? Czy dotarł bezpiecznie do domu, czy może siedzi skulony i chrapie w jakimś starym barze, gdzieś na rogu Christopher Street? Stary i dziwny, i wywalony z pracy. Szczęśliwego Nowego Roku.

Trzej mężczyźni stoją przy poręczu i patrzą w dół na tańczących. DJ Dusk obsługuje swoje obrotowe talerze na platformie umieszczonej ponad parkietem. Stoi w świetle bursztynowego reflektora, otoczony monitorami dźwięku i generatorami, które wydmuchują kłęby białego dymu. Zręcznie

umieszcza igłę na kręcącej się płycie i pianino Keitha Jarretta wybija się ponad przemysłowe dźwięki.

— Spójrz na nią! — wrzeszczy Kostia do Montiego. — Ta w czarnym, błyszczącym topie! Szwedka? Jak myślisz? Nigdy nie pieprzyłem kobiety z blond futerkiem! A ty? O, zobacz kogo zamówiłem! — szturcha Slattery'ego łokciem i puszcza oko. — Pani Puerto Rico tu jest.

— Dlaczego nie zamkniesz gęby? — mówi Monty Kostia nie słyszy go, ale widzi wyraz jego twarzy. — Obraziłem cię? Przepraszam, mój przyjacielu! Nie bądź ze mnie zły!

— Gdzie ta dziewczyna, do której mnie zabierasz?

— Na dole, w Niebieskim Pokoju! Gotowy? Idę sprawdzić, czy tam jest. Spodoba ci się ta dziewczyna. Jest naprawdę bardzo miła.

— Dobra. Będę na dole za kilka minut.

— Pójdiesz tam na dół, przelecisz ją, wrócisz na górę i będziesz pił z przyjaciółmi. To jest impreza.

— Za minutę.

Kostia klepie go po plecach. Monty patrzy na Slattery'ego, podąża za jego wzrokiem na dół, gdzie w kącie parkietu napotyka Naturelle i Mary w grupie spoconych tancerzy.

— Świetnie wygląda w tym srebrnym — mówi Monty wystarczająco głośno, by przyjaciel usłyszał. — Nie sądzisz?

Slattery prostuje się, jakby go ktoś uderzył w plecy.

— Kto, Nat?

— Jest piękna. Jest jedyną kobietą... mówiłem ci już o tym kiedyś, prawda? Naturelle jest jedyną kobietą, o której fantazjuję po tym, jak się z

nią przespałem. Wciąż tak mam. Czasem jadę metrem i jedyną rzeczą, o jakiej mogę myśleć jest to, że przyjdę do domu i ją rozbiorę. To jest całkiem normalne, jak sędzę.

— Tak mi się wydaje — mówi Slattery. — Całkiem dobry rodzaj normalności.

Monty patrzy na nią. Na parkiecie jest pewna siebie. Dobrze się rusza i wie o tym; muzyka zmienia rytm, przeskakuje, ale Naturelle nigdy nie gubi rytmu.

— Jak idzie w pracy?

Slattery potrząsa głową i pokazuje na ucho. Monty powtarza głośniejsze pytanie. Slattery potakuje.

— W pracy jest dobrze. Ten ranek był wielki, naprawdę wielki — czeka, żeby zobaczyć, czy Monty zapyta, ale Monty nie pyta, więc Slattery mówi. — Zarobiłem dwa miliony dolarów w około dziewięć minut. To całkiem blisko rekordu. Niewielu dwudziestosiedmiolatków bawi się takimi kwotami.

Monty patrzy, jak muskularny biały mężczyzna, bez koszuli, z ramionami pokrytymi tatuażami toruje sobie drogę do grupki Naturelle i zaczyna z nią tańczyć.

— To ile z tego zobaczysz?

— Co masz na myśli? Prowizję? Nie ma prowizji. To nie działa w ten sposób.

— Więc dwa miliony dla nich oznaczają zero dla ciebie? — Półnagi mężczyzna pochyla się do Naturelle, żeby jej coś powiedzieć na ucho. Ona wzrusza ramionami i odwraca się.

— Wszystko opiera się na premii — mówi Slattery. — Im więcej

pieniędzy zarobię dla banku, tym więcej zarobię dla siebie. Mamy teraz taki system, który nazywa się kapitalizm. Nie wiem. Myślę, że to może działać.

Dwóch młodych mężczyzn zbliża się do nich, idąc po balkonie. Zobaczywszy Montiego, poklepują go po plecach i krzyczą mu coś do ucha. Obaj ubrani są w drogie garnitury, ale nie mają krawatów; pod rozpiętymi kołnierzykami koszul błyszczą złote łańcuszki. Slattery patrzy na tańczących. Teraz wytatuowany facet rozmawia z Mary. Mary łapie go za pasek i zaczyna ocierać się biodrami o jego uda.

— Jeszcze sześć miesięcy — mówi Monty, gdy jego przyjaciele już odeszli.

— Mów głośniej! — krzyczy Slattery i Monty potakuje.

— Jeszcze sześć miesięcy i przyszedłbym i powiedziałbym: „Masz tu zdobyć. Co mam z tym zrobić? Pobaw się tym. Kup jakieś akcje. Pomnóż pieniądze.” Sześć miesięcy. Zrobiłem się chciwy. I stało się. Zrobiłem się chciwy i wtedy się wystawiłem. Teraz mnie wydupczą.

— Nie możesz w ten sposób o tym myśleć.

— Mogę. Wszystko, co teraz *mogę*, to o tym myśleć. I wiesz co ci powiem, Frank? — mówi Monty swoim chłodnym, opanowanym głosem. Slattery musi się przysunąć bliżej, żeby słyszeć. — Nie dam rady. Zawsze myślałem, że jestem twardym gościem, zawsze myślałem, że mogę znieść wszystko, ale to nie tak. Nie dam rady. Są tam, w środku, setki facetów twardszych ode mnie i będą mnie używać i wykończą mnie. Spójrz na mnie. Jestem ślicznym, białym chłopaczkiem. Nie przeżyję tam siedmiu lat.

— Przeżyjesz. Będziesz musiał.

— Nie słuchasz mnie.

— Nie masz wyboru, Monty.

— Co?

— Powiedziałem, że nie masz wyboru!

— Mam wybór. Jeśli zdecyduję się nie iść tam jutro, to tam jutro nie pójdę.

Slattery potakuje.

— Nie uciekasz jednak. Jeśli chciałbyś uciec, to już by cię nie było, uciekłbyś.

— Nie uciekam — mówi Monty. — Jest inne wyjście.

— To głupia rozmowa — mówi Slattery, potrząsając głową. — Musisz być silny.

— Silny? To się już skończyło, bracie. Silny, po co? Co chcesz, żebym zrobił? Zagryzał wargi, jak zaczną mnie obracać? Nie mów mi o sile. I nie stój tak, jakbyś wiedział, co robić.

— Jesteś sprytniejszy od nich wszystkich — mówi Slattery. — Posłuchaj, jesteś. Minie tydzień i będziesz wiedział, o co chodzi, będziesz znał imiona w scenariuszu. Tylko...

— Pozwól, że wyjaśnię ci pierwszą noc. Wyobraź to sobie, dobrze? Pierwsza noc, miejsce jest przepelnione, mają porozkładane, piętrowe prycze w sali gimnastycznej, żeby radzić sobie z przelewającym się tam motłochem. Nadążasz za mną? Następna rzecz, którą wiem to to, że wszyscy strażnicy będą się śmiać, wychodząc, będą na mnie patrzeć i potrząsać głowami. *Biały chłopcze, jesteś całe mile od domu.* Boom, i już jestem na podłodze, Ktoś wielki opiera kolano na moich plecach. Staram się wyrwać, ale jest ich zbyt wielu. Jeden facet zaczyna uderzać mnie po

twarży rurką. Wybija mi zęby. Dławię się własną krwią. Kopia mnie po zębach. Rzygam i są w tym zęby, widzę własne zęby w wymiocinach na podłodze. Wybili je, wybili je wszystkie. Wiesz dlaczego? Zęby mogli używać moich ust przez całą noc i nie obawiać się ukąszeń. Zrobią ze mnie ssącą marionetkę dla każdego, kto tylko zechce. I co z tego, że przez to wszystko przejdę? Co będzie, nawet gdy będę to robił przez siedem lat, minus osiemdziesiąt cztery dni za dobre sprawowanie? Co wtedy? Wychodząc, będę miał trzydzieści cztery lata. Jaką pracę będę mógł zdobyć? Co będę potrafił robić, jakie umiejętności posiadam? Będę wydupczonym skazańcem ze sztuczną szczęką, opłaconą przez rząd. To o co, kurwa, chodzi? Przemyślałem to, Frank, uwierz mi. Rozpatrzyłem wszystkie opcje.

— Trzydziestoczwololatek jest wciąż młody. Posłuchaj mnie, możesz? Hej, posłuchaj mnie. Wciąż będziesz jeszcze młodym facetem. Ja będę już nieźle ustawiony. Będę prowadził własny interes. Ty i ja, zaczniemy coś razem. Nie, posłuchaj. Ja będę pracował, Monty, przez siedem lat będę pracował. Będę pracował ciężiej niż etatowy jebaka tam na dole. A kiedy wyjdiesz... zaczniemy coś razem. Kupię restaurację albo bar na Upper West Side. Tam, w dobrym barze można zrobić duże pieniądze. Ja wyłożę gotówkę, ty poprowadzisz lokal, będziemy panami okolicy. Kilka irlandzkich dzieciaków z Brooklynu, Jezu, jak możemy nie mieć baru? Zielone piwo na dzień świętego Patryka, darmowe hot-dogi w Poniedziałkowe Wieczory Futbolowe. Cholera, jeden dzień w tygodniu ja będę pracował przy drzwiach, nie robiłem tego od czasu studiów. Pomyśl o tym. Staroświecka szafa grająca stałaby w kącie, stół do bilarda w końcu sali...

— Frank, mogę ci coś powiedzieć? Doceniam to, dobra? Ale nie widzę w tym przyszłości. Nie widzę nas pracujących razem. Nie widzę mnie i Jake'a spędzających razem czas. Nie widzę siebie i Naturelle. Nie widzę tego.

— Nie wspominałem o nich — mówi Slattery miękko. Monty nie patrzy na niego, nie widać po nim, że usłyszał, więc Slattery mówi głośniej. — Nie wspominałem o Jakobie. Nigdy nie wspominałem o Naturelle.

— Tylko ty, tak?

— Powiedz mi coś, dobrze? Czy kiedykolwiek zламаłem daną ci obietnicę? Czy kiedykolwiek, chociaż raz zламаłem daną ci obietnicę? Czy powiedziałem kiedykolwiek, że gdzieś będę i nie byłem?

Monty milczy przez chwilę, oglądając sobie dłonie.

— Nie.

— Mówię ci, że tam będę, to tam będę.

— Dobra — mówi Monty. — Ale jutro cię tam nie będzie. Slattery potakuje w milczeniu.

— Więc chciałbym prosić cię o przysługę. Jesteś moim bratem, prawda, moim najlepszym przyjacielem?

— Przecież wiesz.

— Potrzebuję, żebyś zrobił coś dla mnie. Slattery czeka.

— Nie tutaj — mówi Monty. Nie możemy zrobić tego tutaj. Będziesz mógł pojechać do centrum ze mną i Jakobem? Oddaję mu Doyle'a.

Slattery uśmiecha się.

— Bałem się, że to mi dasz psa.

— Nieee, Doyle cię nie cierpi. Będziemy się stąd niedługo zbierać.



Spotkamy się potem w sali VIP, dobra? Muszę powiedzieć do widzenia kilku osobom. Pasuje ci?

— Cokolwiek sobie zażyczysz — mówi Slattery. — Wiesz o tym, że tak zawsze jest.

— Dobrze. — Monty odwraca się i patrzy na tańczących. Półnagi mężczyzna leży na podłodze, zwinięty na boku, ręce trzyma między nogami. Mary i Naturelle nie ma w zasięgu wzroku. — Nasz przyjaciel Jake — mówi Monty — wybrał sobie zwycięzcę.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

**JAKOB PRZYGLĄDA SIĘ** czarnemu, stalowemu znakowi zapytania i popija szampana. Chciałby być w domu i wyciągnąć się w swoim ciepłym łóżku. Zbyt długo już nie śpi.

Czerwona sala wypełnia się. Jakob nie rozpoznaje nikogo z przeciskających się przez drzwi i aksamitną kurtynę. Są tu teraz głośno rozmawiający mężczyźni, trzymający kieliszki w upierścienionych dłoniach, chude kobiety stojące w grupkach, rozmawiające przyciszonym tonem. Jakob siedzi samotnie na sofie i podsłuchuje, próbując wyłowić zdania z mieszaniny słów, wypowiedzianych z różnymi akcentami: brooklyńskim, bostońskim, dominikańskim, wschodnioeuropejskim, portorykańskim, brazylijskim. Słyszy imię Montiego w czterech różnych językach, w tuzinie dialektów, ale zawsze wypowiedziane tym samym przyciszonym tonem, jakim przyjaciele siedzący na shivah wspominają tego, który właśnie odszedł.

Jakob zastanawia się, ile osób zgromadziłby na swojej pożegnalnej imprezie; porównuje tę wyobrażoną grupę z tłumem, który widzi przed sobą i czuje ostry ból w swoim małym jestestwie. Kto by przyszedł? Kilku nauczycieli angielskiego w ubrudzonych kredą swetrach, Paul z wydziału matematyki, Slattery, dwóch, może trzech przyjaciół z college'u. Powymienialiby się dobrymi historyjkami o Jakobie, wyczerpując je wszystkie w ciągu ośmiu minut. Egzystencja Montiego wydaje się być niesamowicie dramatyczna: broń, prostytutki i Południowi Amerykanie; życie warte tego, by o nim posłuchać. Jeśli ktoś napisałby o nas opowiadanie, myśli Jakob, jeśli ktoś zdecydowałby się na opowiedzenie

naszej historii, to gdzie byłbym w tym wszystkim ja?

Pomieszczenie jest już zasnute papierosowym dymem. DJ Dusk puszcza ciężką bossa novę, Elis Regina wykrzykuje jedną zapętloną frazę. Trzy kobiety pośrodku sali rzuciły na podłogę swoje torebki i tańczą wokół nich, jednocześnie czujne i niepohamowane. Jakob wyobraża sobie, że podchodzi i przyłącza się do nich, widzi ich sceptyczne spojrzenia przegradzające się w oszołomiony podziw, gdy on porusza biodrami w wyzywający, prowokujący sposób, wykonuje doskonałe salto i zaczyna chodzić na rękach. Wzrusza ramionami. Nie potrafię nawet wyobrazić sobie siebie dobrze tańczącego, myśli ze złością. Dopija kieliszek szampana i próbuje wstać, ale bez powodzenia. Oh, chłopie, myśli, jesteś pijany.

Zanurza głowę w miękkim aksamicie podłokietnika sofy i zamyka oczy. Tylko nie wypuść kieliszka, myśli sobie. To jest jego ostatnia świadoma myśl zajmująca umysł, zanim nie zapada w otchłań snu. Nie rozlej mleka.

Następną rzeczą, jaką czuje jest nacisk ciepłego ciała wtulającego się w niego i dłoń otwierająca palce zaciśnięte na nóżce kieliszka. Gdzieś głęboko, w podświadomości włącza mu się alarm, pulsujący dzwonek: *niebezpieczeństwo!* Ale czerwony aksamit jest zbyt wygodny, ciężkie, wolne uderzenia basów są zbyt embrionalne, zbyt usypiające, jest za ciepło.

Czuje paznokcie sunące po krzywiźnie jego żeber i jakaś jego część zna imię właścicielki tych paznokci; inna jego część wie, że właśnie tego pragnie — tych paznokci, tego ciepłego ciała. Imię i pragnienie nie zderzają się, ale krążą po orbicie umysłu jak odpychające

się elektrony.

Wtedy język zagłębia się w zakątkach jego ucha i słyszy swoje imię, wyszeptane przez głos, który nie może pozostać anonimowy. *Jakey*, słyszy szept. *Jakey*.

Jeszcze przez moment ma oczy zamknięte i nadzieję, że szept należy do snu, ale ona nie znika; jej język, paznokcie i jej głos wciąż są przy nim. Otwiera oczy i widzi Mary D'Annunzio obejmującą go, z jednym kolaniem przełożonym przez jego uda. Jej orzechowe oczy spoglądają na niego spod jankeskiej czapki. Dopada go silne pragnienie, by złamać zasady, ale opamiętuje się jakoś.

— Oh, co ty robisz? Mary, złaż ze mnie.

Mary marszczy się i opada plecami na czerwone, aksamitne poduszki, jej czarne Martens'y wciąż spoczywają na kolanach Jakoba.

— Nie panikuj. Wszyscy mają tu wszystko gdzieś.

— Ja nie mam — mówi, zrzucając z siebie jej stopy. — Co to znaczy, że nikogo to nie obchodzi? Wiesz, co by się stało, gdyby ktoś mnie, nas tak zobaczył?

Widzi jednak, że to prawda, że nikt w sali nawet nie zwraca na nich uwagi. Trzy kobiety wciąż tańczą wokół swoich torebek; mężczyźni nadal głośno spierają się, gestykulując trzymanymi w dłoniach papierosami; Daphne wciąż manewruje pomiędzy stłoczonymi ludźmi ze swoją tacą pełną drinków i koktajli.

Mary leży na plecach, jej stopy zwisają z brzegu sofy. Ona również przygląda się otaczającym ich ludziom.

— Wiesz co? Mam jakieś dziwne wrażenie, że Campbell-Sawyer nie spędza zbyt wiele czasu w „VelVet”.

Jakob prostuje się, odwija zrolowane rękawy koszuli i zapina je przy nadgarstkach.

— Ale ja tu jestem, tak? Nigdy nie wiadomo.

— Właśnie kopnęłam jakiegoś faceta w jaja. Leży i zwija się na podłodze.

— Doprawdy? To miłe — Jakob opiera się i pociera skronie palcami.

— Mary?

— Co?

— Dlaczego kopnęłaś jakiegoś faceta w jaja? Mary uśmiecha się na wspomnienie.

— Tańczyłam z nim i zdecydował się, że włoży mi rękę w majtki. Właściwie włożył mi tę rękę do tyłka. To co niby miałam zrobić?

Ten lapidarny opis ręki obcego w jej majtkach, staje się dla wyobraźni Jakoba zbyt żywym obrazem. Jakob próbuje to jakoś zablokować, zatrzymać, ale nie potrafi; widzi grube paluchy wślizgujące się pod pasek jej ciemnych dżinsów i chwytające ukryte, białe wypukłości.

— Tarza się po podłodze i jęczy, że mnie zabije, i opisuje, jak mnie zabije, więc Naturelle poszła po ochroniarzy i go wyrzucili. Naturelle jest blisko z ochroniarzami. Jest spokojna jak cholera. Ładne to imię, mam rację? Na-tur-elle! Sto procent Naturelle. Smaki Naturelle!

— Taak, świetna sprawa, ona nigdy wcześniej nie słyszała takich żartów. Mogłabyś ją naprawdę rozbawić — mówi Jakob, przyglądając się piersiom Mary. Zaalarmowany Ptaszek Tweety patrzy na niego.

— Więc co z jej chłopakiem? Wygląda jakby był tu właścicielem.

— Posłuchaj, Mary, myślisz, że możliwe jest, żebyśmy nie rozmawiali o dzisiejszym wieczorze w szkole?

— Myślę, że tak.

— To byłoby naprawdę mądre — mówi Jakob. — Myślę, że tak będzie dobrze dla nas obojga.

— Myślisz, że możliwe byłoby postawienie mi piątki za semestr?

Jakob patrzy na jej grubo pomalowane powieki, na jej strąkowate, czarne włosy.

— Powiedz, że żartujesz.

— Żartuję, panie Elinski. Wiesz, jakie jest moje ulubione słowo w języku angielskim? Omdlewać. Kocham to słowo. Omdlewać. Nigdy nie omdlałam. A chciałabym, wiesz? Jakieś małe omdlenie, a ktoś przystojny by mnie złapał.

— Świetnie. Więc uzgodniliśmy nie rozmawiać o dzisiejszym wieczorze?

Mary uśmiecha się i zamyka oczy.

— To mi się właśnie w tobie podoba, Elinski.

— Co ci się we mnie podoba? Mary otwiera oczy.

— Nie pamiętam. O czym mówiłam?

— Nie ważne.

— Dusk jest prawdziwy. Prawda? Halo? Elinski? Czy myślisz, że jestem dziwna?

— Nie — mówi Jakob. — Myślę, że lubisz się czasem zgrywać, ale nie jesteś dziwna. Jesteś... — Jakob zamyka usta, zanim wymyka mu się słowo „piękna”. — Nie dziwna.

— Deering uważa, że jestem dziwna. Moja mama uważa, że jestem dziwna. Dlatego właśnie ciągle przesiaduję w pokoju Rubena. Oni uważają, że jestem dziwna.

— Doktor Ruben rozmawia z wieloma dziećmiakami.

— Taak, i wszystkie one są dziwne. Nie wysyła się normalnych dzieci do psychologa.

Rozmowy Jakich Nigdy Nie Chciałbym Odbyć, myśli Jakob, numer 9307.

— (*telefon zaufania*)

— Hmm...

— Jenny Klemperer jest bulimiczką, Lan Hart nigdy się nie kąpie, Sebastien McCoy gada do siebie, na głos. Dziwolągi. *Dziwaki* — śpiewa.

— Jenny Klemperer jest bulimiczką?

— Jenny Klemperer jest bulimiczką i wciąż jest gruba. To już *naprawdę* dziwne. Mam na myśli, jaki w tym sens?

— Dobra, właściwie nie róbmy tego, proszę. Nie rozmawiajmy o nich.

— Taak, ale myślę, że ona chce, żeby ludzie o niej mówili. Co właściwie jest rodzajem dziwactwa.

— Ty byś nie chciała, żeby ludzie o tobie mówili?

— Gdyby to były dobre rzeczy, to pewnie. Ale dlaczego miałabym chcieć, żeby ktoś mówił: "Zobacz, to Mary D'Annunzio, ona rzyga w ubikacji, codziennie po obiedzie." To nie jest reputacja, o którą mi chodzi. Przychodzisz zobaczyć „*Hamleta*” w przyszłym tygodniu?

— Oczywiście. Grasz w tym, zgadza się? Ofelię? Mary wznosi oczy.

— Pieprzyć Ofelię. Laertes.

— Laertes?

Chcesz zobaczyć moją scenę śmierci? — Zeskakuje z sofy, cofa się trzy kroki do tyłu i zaczyna kroczyć w kierunku Jakoba, rękami obejmując się za brzuch. „Przebaczmy sobie nawzajem, cny Hamlecie. Niech moja

śmierć i śmierć mojego ojca nie spada na cię ani na mnie twoja." Przewraca się na czerwone poduszki i drga, jęcząc.

Grupa mężczyzn palących w kącie cygara głośno klaszcze. Jakob krzywi się na ten ich rozradowany aplauz i uświadamia sobie, że jest zazdrosny. Inni mężczyźni nie powinni patrzeć na dziewczynę, z którą jestem, myśli, nawet jeśli jest moją uczennicą. Nie wiedzą przecież, że jest moją uczennicą.

Jakob patrzy w dół na leżącą na brzuchu Mary, na pasek bladej skóry pomiędzy ciemnymi dżinsami a białą bawełnianego topu. Rządek trzech kręgów kusi palce do pogłaskania, połączenia punktów. Jakob chciałby przykryć ją kocem albo zedrzeć z jej ciała ubranie.

Mary siada i odgarnia dłońmi swoje czarne włosy z oczu.

— Lepiej to wygląda ze sztuczną krwią.

— Nie, to było bardzo dobre. Masz już fan club.

— Panna Taylor mówi, że jestem najlepszą „umieraczką”, jaką kiedykolwiek widziała. Widziałeś „*Romea i Julię*” w zeszłym roku? Byłam Mercutio. To była najlepsza śmierć wszechczasów. Moja matka płakała. Moja matka płacze na wszystkim, ale jednak. Wiesz, kim chciałabym być tak naprawdę? Kaskaderką. Mimo tego, że mam lęk wysokości. Myślisz, że zatrudnię kaskaderkę, która ma lęk wysokości?

— Nie wiem, może — Jakob ma nadzieję, że nie zabrzmiał zbyt znudzenie, ale jest w połowie przekonany, że powinien brzmieć znudzenie, żeby żaden interesujący komentarz nie był przypadkiem odebrany jako flirt.

— Właściwie to niebawem będę musiał już iść — mówi do niej. — I wydaje mi się, że ty też powinnaś.



— Naprawdę chcesz być widziany, jak opuszczasz nocny klub ze mną?

O tym nie pomyślał.

— Dobra. Ty wyjdiesz pierwsza, a ja parę chwil później.

— Pieprzyć to — mówi Mary. — Dusk gra w Nowym Jorku tylko kilka razy w roku. Głównie siedzi w Londynie. Ja nie wychodzę, dopóki nie wzejdzie słońce. Zresztą jutro i tak będzie padał śnieg.

Jakob pociera oczy dłońmi.

— Muszę iść spać.

Mary kładzie się na plecach, wyrzuca stopy w górę i zaczyna robić rowerek, założywszy ręce na kark. Podwinięte nogawki jej znoszonych spodni odsuwają się aż do kolan i Jakob może oglądać jej smukłe łydki i tatuaż, przedstawiający lilie splecione wokół prawej kostki. He ona ma tych tatuaży?

— Nie mogę jeszcze spać — mówi, kręcąc nogami jak szalona. — On ciągle gra.

Jakob przytakuje. Odkrywa, że jest dziwnie oczarowany muzyką, luksusem, wilgotnością tropiku, brzmieniem perkusji, mantrującą frazą Regina, której zbitku słów nie potrafi przetłumaczyć, bo ton i śpiew czynią tłumaczenie niemożliwym.

— Wiesz, co w tobie lubię, Elinski? — pyta Mary, drapiąc się stopą w kolano. — Sposób, w jaki chodzisz. Wygląda to jakbyś planował wszystko z góry, lewa stopa tutaj, prawa stopa tam. Albo sposób, w jaki trzymasz książkę. Stoisz sobie tam w klasie, ucząc, i trzymasz tę książkę Melville'a, czy cokolwiek innego, trzymasz ją jakby była czymś kruchym, jakby była pisklęciem; jakbyś mógł ją zabić przez nieuważne, silniejsze

ściśnięcie. Bardzo to lubię. Muszę zrobić siusiu.

Jakob patrzy, jak Mary toruje sobie drogę przez tłum i zatrzymuje się, by zatańczyć przez moment z trzema kobietami pośrodku sali. Jakob patrzy, jak wyglądający na twardziela facet szacuje ją wzrokiem, jak odwraca się do swoich przyjaciół i kiwa głową. Widzi, jak Mary chwyta Daphne za nadgarstek, staje na palcach, by szepnąć coś wyższej od niej kobiecie na ucho; widzi, jak Daphne uśmiecha się i wręcza jej niebieskiego drinka. Patrzy na Mary otwierającą drzwi łazienki i znikającą w środku. Wie, że się skończyło; wie, że już przepadło. Wstaje i idzie niepewnie na drugi koniec sali, opiera się o czerwoną, aksamitną tapetę i czeka, aż otworzą się drzwi łazienki.

Minutę później Mary wychodzi i wpatruje się (*wpatruje się!* — zauważa szczęśliwy) w twarz Jakoba. Jej oczy są tak szeroko otwarte jak oczy ptaszka Tweety.

— Idziesz na siusiu? — pyta dziewczyna.

— Nie — mówi Jakob. Przeciska się do niej i zamyka za sobą drzwi. Łazienka ma czarne ściany, oświetlone pojedynczą, niebieską żarówką.

— Hej? — pyta Mary.

Jej zęby błyszczą w niesamowitym świetle. Jakob chwyta ją ramieniem i mocno całuje w usta. Jest to wspaniały i pełen poczucia winy pocałunek, niebieski pocałunek, wstrząsający pocałunek. Jakob zaciska palce, jego oczy są zamknięte jeszcze długo po pocałunku. Wydaje się niezbędne, by jego dłonie powędrowały na jej biust, i wędrują, palce wciskają się pod stanik.

Zwal to na szampana, mówi sobie Jakob, na tysiące maleńkich bąbelków unoszących się w twoich żyłach, wzburzających twój mózg.

Dobra, ona jest bardzo dobra; miękka tam, gdzie powinna być, miękka i mocna. To wszystko przez szampana. Szampan dla moich prawdziwych przyjaciół, prawdziwy ból dla moich fałszywych przyjaciół.

Dopiero teraz Jakob zdaje sobie sprawę, że ona nie oddaje mu pocałunków, że jej język jest nieruchomy, a otwarte ręce wiszą swobodnie wzdłuż ciała. Odskakuje od niej, wycierając usta wierzchem dłoni. Jankeska czapka siedzi krzywo na jej głowie. Dziewczyna wpatruje się w podłogę, a Jakob stoi z otwartymi ustami. Nagle odwraca się i taranem wypada przez drzwi łazienki, rozpychając palaczy cygar i tańczące kobiety; teraz już biegnie. Przeciska się przez aksamitną kurtynę i ucieka.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

**KOBIETY, KTÓRE MONTY** znał, dorastając, były hałaśliwe, głośno przeklinały i obgryzały kurze kości. Inaczej niż kruche dziewczęta, które spotkał w szkołach na Manhattanie. Dziewczęta, które gotowe były się rozsypać, gdyby krzyknął, że mają leżeć nieruchomo na drewnianych podłogach w swoich mieszkaniach. Naturelle była w sam raz, dziewczyna z sąsiedztwa, z którą można się było bawić we wszystkie gry.

Spotkał ją pewnego gorącego, sierpniowego popołudnia na placu zabaw w Carl Schurz Park, niedaleko od jej średniej szkoły. Siedziały z przyjaciółką na huśtawkach, paląc papierosy, gdy właśnie przechodził Monty, trzymając ociekający rozek waniliowych lodów z kawałkami czekolady. Miał dwadzieścia lat. Przed chwilą sprzedał jakiemuś Anglikowi pięćdziesiąt działek hery za dwa tysiące dolarów. Anglik mógł kupić tyle samo towaru za pięćset dolarów, gdyby przeszedł się dwie mile dalej, ale nie wiedział, że został naciągnięty albo nie chciał zagłębiać się w ulice Harlemu. W ten sposób srebrny klips Montiego był wypchany setkami.

Monty usiadł na zielonej, parkowej ławce i lizał swoje lody, patrząc na dwie dziewczyny huśtające się wyżej i wyżej. Były ubrane w swoje szkolne mundurki: białe bluzy z wyszytymi inicjałami szkoły, zielone kraciaste spódniczki i czarne rajstopy. Monty zastanawiał się, czy czarne rajstopy stanowią element szkolnego mundurka; ocenił, że są złym pomysłem. Gdy dziewczyny, huśtając się, wyciągały nogi prosto do przodu, wszystko, co mógł zobaczyć pod ich spódniczkami było czarne. Czarny, cenzorski kleks ukrywający wszystko i psujący całą zabawę.

Wiedziały, że im się przygląda i wiedziały, że dobrze wyglądają. Ich wysportowane nogi prostowały się i zginały, prostowały i zginały, ich długie włosy powiewały w rytm huśtania. Monty dał blondynce wysoką ocenę za jej długie uda, ale skupił się na brunetce. Podczas gdy blondynka, huśtając się wysoko, trzymała papierosa w zaciśniętej dłoni, brunetka nie przestawała się zaciągać nawet wtedy, gdy rozhuśtała się bardzo wysoko. Trzymała się łańcucha zgiętym łokciem tak lekko, jakby za chwilę miała odlecieć w niebo. Jej pogarda dla niebezpieczeństwa przestraszyła Montiego. Obawiał się, że w każdej chwili dziewczyna może zsunąć się z brzegu siedziska huśtawki, przelecieć nad East River i spaść w Queens. Ale nie spadła, huśtała się i, paląc, rozmawiała z przyjaciółką, bez wysiłku, delikatnie pracując nogami.

Mały chłopczyk płakał, bo matka odciągnęła go siłą od zjeżdżalni. Piaskownice były pełne dzieciaków budujących drapacze chmur; wiadro piasku umieszczone na następnym wiadrze piasku, umieszczone na następnym wiadrze piasku, wyżej i wyżej, aż wszystko się zawaliło i dzieciaki krzyczały i śmiały się, i zaczęły wszystko od nowa. Starsi chłopcy grali w zbijaka na boisku, zatopionym przez działające latem zraszacze.

Monty przełknął ostatni kęs lodu i wytarł usta papierową serwetką. Podszedł do dziewcząt i usiadł na wolnej huśtawce. Portorykanka — zdecydował, przypatrując się brunetce. Stypendystka. Spojrzała na niego, przelatując obok na swojej rozbujananej huśtawce.

— Cześć — powiedział. — Mógłbym dostać papierosa?

— Co? — przeleciała obok.

— Papierosa — mówi Monty. Myślał, że prosząc dziewczynę o

papierosa, zmusi ją do zatrzymania się, chociaż na chwile, ale to nie zadziało.

— To mój ostatni — powiedziała, przelatując obok.

— Chodzisz do Chapin, tak?

— Taak.

— Znasz dziewczynę, która nazywa się Ella Butterfield? Blondynka zahamowała, szurając stopami i zatrzymała się.

— Spotkałam cię gdzieś wcześniej, mam rację?

Monty kiwnął głową, mimo że był pewien, że nigdy w życiu nie widział jej wcześniej.

— Taak, właśnie myślałem, że wyglądasz znajomo. Jesteś przyjaciółką Elli Butterfield?

— Wiem, kim jesteś. Chodź, Nat, mamy zajęcia.

— Wiesz, kim jestem? — zapytał Monty. Brunetka zaczęła zwalniać, przyglądając mu się. — Kim jestem?

Ale blondynka nie odpowiedziała. Zeskoczyła z huśtawki, złapała swój plecak i odeszła, nie oglądając się, czy jej przyjaciółka podąża za nią.

Monty zwrócił się do brunetki.

— Więc jesteś Natalie?

— Naturelle.

— Naprawdę? Naturelle. Podoba mi się. Naturelle. Więc, co za problem ma twoja przyjaciółka?

— Jesteś tym, którego wyrzucili z Campbell-Sawyer za pchnięcie nożem chłopaka podczas meczu koszykówki, tak?

— Teraz okazuje się, że pchnąłem go nożem — roześmiał się Monty.

— Nie, nie za to mnie wylali. Jak to się stało, że nie poszłaś z blondynką

na zajęcia?

— Chciałam skończyć papierosa — wzruszyła ramionami.

— Skąd jesteś?

— Z Bronxu.

— Taak, wyczułem, że jesteś P.F. Jak się nazywasz?

— Skąd wiedziałeś, że jestem ER? Skąd wiedziałeś, że nie jestem z Riverdale?

— Bo jeśli Portorykanki są w Riverdale, to tylko po to, by woskować tam podłogi.

Dziewczyna wyrzuciła tłący się niedopałek przez ogrodzenie, wstała i zaczęła odchodzić. Monty zeskoczył z huśtawki i dogonił ją.

— Poczekaj. Hej, poczekaj. Przepraszam. Obrażam Riverdale a nie Portorykańczyków. Ja też byłem ER

— Odejdź.

— Nie obrażam cię, to sprawa sąsiedztwa. Hej, przestań. Przepraszam. Mogę ci to wynagrodzić, jak zechcesz. Kolacja gdziekolwiek zechcesz, ty wybierz miejsce. Przestań, spójrz chociaż na mnie. Potrafisz wyglądać na obrażoną, jeśli tylko chcesz, wiesz o tym? Wyglądasz trochę jak ten facet z „*Ulicy Sezamkowej*”, jak on się nazywał? Ciasteczkowy Bandyta. Wyglądasz jak Ciasteczkowy Bandyta. Hej, powiedz coś do mnie, Ciasteczkowy Bandyto. No, powiedziałem przecież, że przepraszam.

— Ciasteczkowy Potwór.

— Właśnie! Ciasteczkowy Potwór. Jesteś też mądra. Więc co? Będziesz ze mną rozmawiać? Jesteśmy znów przyjaciółmi?

— Jesteś za stary na przesiadywanie na placach zabaw —

powiedziała i zostawiła go.

— Dobrze — powiedział Monty. — Jutro o tej samej porze?

Nie najgładsze pierwsze spotkanie, pomyślał Monty, ale był obdarzony pewnością siebie; był pewien, że spodobał się dziewczynie, mimo wszystkich znaków świadczących o czymś wręcz przeciwnym. Pożyczył więc rocznik od Elli Butterfield, znalazł jedyną Naturelle i jej nazwisko. Zaczął zostawiać dla niej prezenty u szkolnej recepcjonistki. Platynową bransoletkę, parę bursztynowych kolczyków, kołnierz z szynszyl:co tydzień jeden prezent. Recepcjonistka została współkonspiratorką. Naturelle przyjmowała prezenty, ale nigdy nie zadzwoniła na numer wyraźnie napisany na każdym bileciku pod tekstem, który zawsze czytała: „*Daj mi szansę*”. W końcu Monty wpadł na świetny pomysł: zostawił dla niej pojedynczy bilet z najlepszym miejscem, na pierwszy w tym sezonie mecz rozgrywany przez Knicksów.

Tego wieczoru założył swój nowiutki, granatowy garnitur i dziko drogą parę włoskich, zamszowych butów, dokładnie zaczesał włosy do tyłu, włożył swoje srebrne pierścienie i dołączył do tłumu podążającego na Madison Square Garden. To miasto należy do mnie, powiedział sobie. Któregoś dnia będę miał tę drużynę i zagram na pozycji obrońcy. Mrugnął do biletera i zszedł na dół betonowymi schodami. Jedno z jego miejsc zajęte było przez tłustego faceta w pomarańczowej koszulce, popijającego przez słomkę Coca-colę.

— Czas już iść — powiedział Monty. — Idź już. Wynocha.

— Pieprz się — powiedział tłusty facet. — To moje miejsce — pomachał Montiemu biletem.

— Skąd, kurwa, masz ten bilet?



— Moja siostra. Powiedziała, żeby ci powiedzieć cześć, i że jest jej przykro, że nie mogła przyjść dziś wieczorem. Woskuje podłogi w Riverdale.

Monty uśmiechnął się i usiadł.

— Pozwól sobie postawić piwo.

Następny bilet, jaki Monty zostawił dla Naturelle, był na przedstawienie tańca nowoczesnego w Brooklyńskiej Akademii Muzyki. Liścik brzmiał: „*Powiedz Hektorowi, że kurtyna idzie w górę dokładnie o ósmej i później nie dadzą mu wejść. Powiedz mu, żeby nie zakładał pomarańczowej koszulki. Ma na niej plamy od musztardy*”. I za pięć ósma, w szczęśliwym okręgu Brooklyn, Naturelle Rosario przeszła wzdłuż przejścia i usiadła obok Montgomery'ego Brogana.

W klubie „VelVet”, wczesnym rankiem, ostatniego styczniowego piątku, Monty patrzy, jak piękna kobieta rozpina mu rozporek i powoli przesuwa długimi paznokciami wzdłuż spodniej strony jego członka.

— Jak się nazywasz? — pyta ją.

— Maggie.

— Maggie, tak? Podoba mi się. Maggie.

— To zdrobnienie od Marguerite — mówi do niego, uśmiechając się.

Dziewczyna klęka teraz na niebieskiej poduszce, a Monty zamyka oczy, oddając się jej mistrzostwu i niezaprzeczalnej rozkoszy z dobrze robionego lodu. Pod zamkniętymi powiekami rozbiera Naturelle: jej czarne rajstopy, zieloną kraciatą spódnicę, białą bluzę. Przesuwa swoje ręce w dół, po jej smukłych bokach i przyciąga ją do siebie. Zna to ciało tak dobrze, jego zapach, jego smak. Nagle coś zaczyna się psuć. Jego dłonie spoczywają na śliskim obiciu sofy, a nie na skórze Naturelle.

Zapach unoszący się w powietrzu jest zapachem starych papierosów i porozlewane go alkoholu. Monty otwiera oczy i patrzy na niebieskie ściany. Próbuje znów wyobrazić sobie Naturelle, ale jej twarz jest nieostra, nie chce przyjąć wyraźnego kształtu. Monty czuje, że jego podniecenie słabnie, mimo że dziewczyna porusza głową coraz szybciej, starając się pobudzić go jak najlepiej. Znów zamyka oczy i próbuje w myślach uchwycić Naturelle, ale to nie działa. Ona już odeszła z jego umysłu; teraz Monty podróżuje na północ, długa podróż autobusem do Otisville. Monty nigdy nie mieszkał poza miastem. Nigdy nie wyjeżdżał z miasta na dłużej niż tydzień. Liczy słupy telefoniczne, małe stłamszone miasteczka wzdłuż autostrady, pokryte śniegiem pola.

W końcu delikatnie klepie Marguerite po ramieniu, dziewczyna odsuwa się od niego, podnosi głowę, zerka na jego twarz i oblizuje usta.

— To moja wina — mówi Monty. — Jesteś bardzo piękna.

— A ty jesteś bardzo przystojny — mówi Maggie, po przełknięciu dużego łyka szampana. — Jesteś aktorem?

— Taak — mówi Monty, zapinając rozporek. — Jestem gwiazdą.

Kiedy kobieta wychodzi, Monty podnosi swój kieliszek szampana do oka, zmieniając niebieskie ściany w zielone. Gdzieś w tym mieście krzyczą dzieci, ale nikt ich nie słyszy. Gdzieś w tym mieście płonie pożar i nie ma nikogo, kto by go ugasił. Nie ma wspaniałego strażaka, który zdusiłby ogień.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

**NATURELLE ZNAJDUJE SLATTERY'EGO** ukrytego w kącie klubu przy barze, medytującego nad swoją whisky i przyciskającego do twarzy granatową chustkę. Na stołku obok wisi jego kaszmirowy płaszcz. Wystrój salki stylizowany jest na bibliotekę starej, angielskiej, wiejskiej rezydencji: ciemna, drewniana boazeria, ściany zastawione regałami i półkami, wypełnionymi tomami oprawionymi w skórę, migoczące światła imitujące lampy gazowe. Dwóch mężczyzn z dreadami siedzi naprzeciw siebie, po dwóch stronach szachownicy ustawionej pośrodku salki; jeden z nich w zamyśleniu poklepuje koronę swojej królowej, a jego przyjaciel potrząsa swoimi długimi lokami w tył i w przód, w rytm uderzeń muzyki DJ Duska.

— Francis Xavier — mówi Naturelle, ściskając mu kark. — Co to za impreza?

Slattery przeciera chustką oczy, składa ją i wkłada do kieszeni. Prostuje się i uśmiecha do niej. Jego oczy są czerwone. Naturelle czuje się zaskoczona i winna. Do teraz nie potrafiłaby sobie nawet wyobrazić, że Slattery płacze.

— Hej — mówi Slattery. — Widziałem, jak tańczyłaś.

— Dlaczego jesteś sam? — Siada na stołku obok i dotyka jego ramienia. — Dobrze się czujesz?

Slattery potakuje.

— Nie mogłem już wysiedzieć w tej pieprzonej, czerwonej sali. To miejsce dla motłochu. Nie znam tam nikogo. Czy to są przyjaciele Montiego?

— Tak mi się wydaje. W każdym razie często kręcą się w pobliżu.

Slattery znów potakuje, przechyla swoją szklaneczkę i obserwuje, jak whisky przelewa się w naczyniu, dotykając krawędzi. Za każdym razem, gdy porusza nadgarstkiem, wydaje się pewne, że teraz whisky się przeleje, ale jednak się nie wylewa. Naturelle patrzy zahipnotyzowana na wirującą whisky, dopóki Slattery nie wypija jej jednym haustem.

— Nienawidzę tego miejsca — mówi. — To jest właśnie przepaść pomiędzy mną i twoim mężczyzną. Ja nienawidzę takich miejsc, a on je uwielbia. On również wygląda lepiej niż ja.

Naturelle śmieje się.

— Teraz zachowujesz się jak Irlandczyk: pijesz whisky i sam opowiadasz sobie historie. Widziałeś go gdzieś tutaj? Gdzieś w pobliżu?

— Nie tańczył z tobą? — Slattery zerka na zegarek i podnosi się. — Za godzinę powinienem być w pracy. Jezu, nie mogę sobie nawet wyobrazić, jak będę dziś pracował. Zaraziłaś mnie gripą, dobra? Zadzwoń, że jestem chory.

— Chciałabym, żeby Monty mógł zadzwonić, że jest chory — patrzy na pustą szklankę Slattery'ego. — Gdzie on jest?

— Gdzieś w pobliżu. Pewnie zegna się ze wszystkimi ochroniarzami. I z menadżerem; jak on się nazywa? Żegna się.

— Slattery odwraca się, by zerknąć na szachistów. — Siedzę tu już od czterdziestu pięciu minut, a ten facet jeszcze nie wykonał swego posunięcia.

— Nie zauważyłeś czegoś dziwnego w tej grze? — uśmiecha się Naturelle.

— Po pierwsze powinien przesunąć swoje wieże na środek. Są

bezużyteczne, stojąc na rogach.

Naturelle szturcha go w żebra.

— Wszystkie figury i piony są czarne, Frank. Slattery mruga i szerzej otwiera oczy.

— Co oni robią? Obaj grają czarnymi? Kto się ruszył pierwszy?

— Nie wiem. Wydaje mi się, że to nie ma znaczenia. Wszystkie są po tej samej stronie.

— Więc na czym polega ta gra? — pyta Slattery. — Gdzie tu zabawa? Gońce pieszczą pionki?

— Posłuchaj, chciałam cię o coś spytać. Możesz zrobić mi przysługę?

— Jaką?

— Miej Montiego na oku, możesz? Spróbuj się dziś do niego przykleić. On mnie niepokoi.

Slattery odwraca głowę od graczy i studiuje twarz Naturelle.

— Co się stało?

— Monty nie jest teraz sobą. To go zabija. To czekanie. Nie wydaje mi się, żeby on naprawdę rozumiał strach, wiesz? Myślę, że teraz po raz pierwszy w życiu jest przestraszony i nie łapie tego. Nie rozumie, nie wie, co się dzieje.

— Bał się już w przeszłości — potrząsa głową Slattery. — Ile miał lat, kiedy zachorowała jego matka, siedem? Powiedział mi, że nie spał przez cały czas, kiedy ona była w szpitalu. Wiesz, jak długo ona była w tym szpitalu?

— Trzy miesiące.

— To wszystko jest takie głupie — mówi Slattery i twarz mu

czerwienieje. — To takie głupie. Tyle osiągnął, jest taki sprytny i co robi? Rzuca to wszystko. I oto jestem ja, jego prawdopodobnie najlepszy przyjaciel, tak? Czy jestem jego najlepszym przyjacielem?

— On cię kocha, Frank. Wiesz o tym.

— Jego najlepszy przyjaciel, i co robię, żeby go powstrzymać? Nic. Nigdy ani słowa. Kiedy zaczął sprzedawać marychę dzieciakom w Campbell-Sawyer, czy powiedziałem cokolwiek? Kiedy każdy mówił o kupowaniu od Montiego, cała szkoła, a ja wiedziałem, że go nakryją, wiedziałem, czy powiedziałem choć słowo? Przez ostatnie dziesięć lat patrzyłem, jak wchodzi w to głębiej i głębiej... A ci jego przyjaciele, ci popaprańcy, nie chciałybyś nawet, żeby pogłaskali twego psa. Czy powiedziałem: *Hej, Monty. Uważaj. Wyjdź z tego. Rzuć to*. Nic, ani słowa. Jego najlepszy przyjaciel. Kurwa mać, Naturelle, jestem jego najlepszym przyjacielem i po prostu siedziałem i patrzyłem, jak rujnuje sobie życie. I ty również. Oboje, my wszyscy, siedzieliśmy i pozwoliliśmy mu na to.

Naturelle przejeżdża paznokciem po swoim przedramieniu i obserwuje delikatny, biały ślad.

— Monty nigdy nie słuchał. Wiesz o tym; wiesz, jaki jest uparty. Mówiłam mu setki razy, że powinien przestać...

— Mówiłaś mu? Przed czy po tym, jak wprowadziłaś się do jego mieszkania?

Naturelle zna oznaki niezdrowego podniecenia Slattery'ego: lekko przymknięte powieki, zabawa kciukami, strzelanie kostkami. Zawsze dotąd potrafiła go uspokoić, powstrzymać.

— Nie zaczynaj — mówi spokojnie, dotykając jego kolana. — Nie dzisiaj, Frank.

— To było przed czy po tym, jak dał ci te diamentowe kolczyki? Albo dał pojeździć swoją corvetta po mieście, żebyś nie musiała z torbami pełnymi zakupów jeździć metrem? Czy byłaś zakłopotana tym, skąd pochodzą te pieniądze? Czym zapłacono za te kolczyki, Nat? Poleciełście oboje do San Juan; super, wielki czad, przedstawiłaś go swojej babci. Czy zapłaciłaś za bilety? Pierwsza klasa przez całą drogę w obie strony, zgadza się? A czym zapłacił za Puerto Rico? Czy powiedziałaś mu, żeby przestał? Gówno, a nie powiedziałaś. A cała ta bzdurna historia o tym, jak udało mu się przekonać cię, żebyś się z nim umówiła: prezenty, bilety. Jak za to zapłacił? Wiedziałaś wtedy, kim on jest; wszyscy, w każdej prywatnej szkole na Manhattanie wiedzieli, kim on jest. Nie skarżyłaś się wtedy, prawda? Nigdy w życiu nie słyszałaś o normalnej pracy. Żyłaś w dostatku, Naturelle i nigdy nie powiedziałaś pieprzonego słowa.

Naturelle patrzy na niego, jej nozdrza drgają.

— Kim ty jesteś, żeby oceniać moją prawość? Czy ty się go wyrzekłeś? Jesteś jego najlepszym przyjacielem i nigdy nic mu nie powiedziałaś, ale to jest *moja* wina? To ja jestem zła?

— Nigdy nie brałem jego pieniędzy.

— Jak długo to w sobie dusiłeś? Minutę temu myślałam, że jesteś moim przyjacielem. Usiadłam tu, myśląc: *To jest mój przyjaciel, Frank. Przyszłam z nim porozmawiać. Czy ty jesteś pijany, Frank? Powiedz mi, że jesteś pijany. Powiedz, że ci przykro, że za dużo wypiliśmy, że nie wiesz, co mówisz.*

— Wiem dokładnie, co mówię. Za siedem lat od dziś, będę czekał przy bramie, a ty poślubisz pieniądze.

— Frank, co ci jest? Chcesz, żebym była tą złą? Dobra, jestem tą złą.

Chcesz mnie teraz uderzyć? Czy to pomoże? Co chcesz mi zrobić? Czego chcesz, Frank?

Slattery siedzi cicho, jego gruba szyja czerwienieje.

Naturelle wstaje i wygładza zagięcia swojej srebrnej sukienki.

— Jak zobaczysz Montiego, to powiedz mu, że poszłam do domu. Powiedz mu, że tam na niego czekam. I Frank? Jeśli będziesz pamiętać tę rozmowę jutro, jeśli będziesz miał ochotę wysłać mi kwiaty, albo zadzwonić i przeprosić, to nie rób tego.

Slattery patrzy, jak Naturelle odchodzi. Patrzy na facetów z dreadami, skupionych nad swoją beznadziejną, szachową rozgrywką. Ogląda swoje ręce leżące na kolanach: mięsiste dłonie z pozginanymi palcami. W ten sposób nie będzie żadnej pokusy.



## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

**GDYBY PRZENIEŚĆ CZŁOWIEKA** ze średniowiecza do tego klubu nocnego, myśli Jakob, to byłby pewien, że trafił do piekła; uwięziony wśród kołyszącej się hordy chorych, świecących dusz, które zraszają parkiet własnym potem. Chłopcy i dziewczyny, dziewczyny i chłopcy, bez par, wszyscy tańczą razem albo każdy tańczy oddzielnie.

Jesteśmy w piekle, myśli Jakob. Wielki, zły pocałunek otrzeźwił go i natychmiast wywołał kaca. Jego język jest suchy i ciężki, w żołądku panuje niestrawność, czaszka pulsuje w rytm basów DJ Duska. Musi z kimś porozmawiać, przyznać się do przestępstwa, opracować plan. Ale jest pewny, że nikt tutaj nie może mu pomóc. Slattery nie zwróci uwagi, albo raczej będzie się śmiał i robił sobie z tego żarty. Monty nie zrozumie problemu. Naturelle? Naturelle pomyśli, że jest zboczeńcem. I dlaczego w ogóle miałyby to ich obchodzić? Mają ważniejsze rzeczy czy zmartwienia, niż ten głupi, głupi pocałunek.

Pyta ochroniarza, gdzie są telefony. Gigant, nawet nie spoglądając na Jakoba, rozplata ramiona, gestykułuje wymijająco wskazującym palcem i z powrotem zaplata ramiona. Jakob w końcu odnajduje telefony w wąskim korytarzu, naprzeciwko łazienki oznaczonej XX. Ledwie zauważa delikatne muśnięcie, które normalnie uznałby za irytujące. Kolejka kobiet czeka przy drzwiach, większość z nich opiera się o ścianę, dając odpocząć stopom i obserwując popiół swoich papierosów.

Jakob podnosi słuchawkę najbliższego telefonu i wzdraga się, bo chromowany sznur dynda swobodnie jak pępowina. Jakob ostrożnie odwiesza słuchawkę na miejsce i przesuwa się do następnego telefonu,

wrzuca dwie ćwierćdolarówki, wybiera Brooklyn.

LoBianco odbiera po jedenastym sygnale. Jedyne człowiek, jakiego Jakob zna, który nie kupił jeszcze automatycznej sekretarki.

— Anthony? Mówi Jakob. Spałeś?

— Puszczają „*Shane*”. Widziałem ten film ze czterdzieści razy i wciąż na mnie działa. Alan Ladd był trochę grubawy, nie? Było na nim trochę tłuszczu. Inne czasy. Kobiety lubiły, żeby ich mężczyzna był przykości. Wiesz, co sobie uświadomiłem oglądając to? Jack Palance jest prawdziwą gwiazdą. Spójrz na te oczy. Wyglądają bardziej wężowo niż oczy węża.

— Naprawdę muszę z tobą porozmawiać.

— Rozmawiasz ze mną. To właśnie robisz. Rozmawiamy. Jakob patrzy na kolejną kobietę, opartych o ścianę jak wyczerpane oskarżone, czekające na wskazanie ofiary, ukrytej za weneckim lustrem.

— Właśnie zrobiłem coś naprawdę głupiego. Mógłbyś posłuchać przez chwilę? Jesteś pijany?

— Co zrobiłeś? — pyta LoBianco, ożywiając się. — Czyżbym cię zainspirował? Przeszedłeś na drugą stronę?

— Co?

— Niech zgadnę. To był pocałunek.

Jakob opiera czoło o plastikową płytę oddzielającą telefony.

— Tak.

— O-ho, o-ho, taak, to jest powód do świętowania, chłopcze. Myślę, że zasługuję na trochę uznania, nie? Za moją namową. Moje lekkie popchnięcie. Po prostu malutkie popchnięcie w odpowiednim kierunku. To często dzieje się w ten sposób. To jak skoczyć na głęboką wodę.

Potrzebujesz tam swego tatuśka, potrzebujesz kogoś, kto by cię pobudził do działania. Więc kim jest ten chłopak, mmm? Gdzie go spotkałeś?

— O czym ty mówisz? Pocałowałem Mary D'Annunzio.

— Mary D'Annunzio?

— Jestem w nocnym klubie i byłem pijany, i ona była pijana czy wstawiona, czy cokolwiek i... Pocałowałem ją. Pocałowałem Mary D'Annunzio.

— Kogo?

— D'Anmmzio! Jezu, Anthony, uczyłeś ją na jesieni. Mary D'Annunzio!

Małą, kruczoczarną aktorkę? Ah. Dobrze, to trochę okreźna droga, by się tam dostać, ale może najlepsza.

— Anthony, czy ty mnie słyszysz? Pocałowałem swoją uczennicę!

— W policzek? Cnotliwe cmoknięcie w policzek?

— Otwarte usta. I możliwe, że dotknąłem jej biustu. Jakob podnosi oczy i widzi, że kolejka kobiet uważnie przysłuchuje się jego rozmowie. Dziewczyna z rudymi warkoczykami podnosi wysoko brwi.

— Hubba hubba — mówi.

— Anthony? — Jakob szepce do słuchawki, odwracając się tyłem do kobiet.

— Nie powinieneś był tego robić, wiesz? — mówi LoBianco.

— Tak, dziękuję ci. Jestem tego świadom.

— Nie panikowałbym. Ona nie jest typem, który chciałby cię wygryźć. To zupełnie nie pasowałoby do całego jej etosu. Ona jest namiętą, małą dziewczynką, czyta „*Guerrille Warfare*” Guevara, nie wygada dyrekcji.

— To jest... Nie wiem. Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłem.

— Poczekaj chwilkę. Lód mi się roztopił.

Jakob zerka przez ramię, a dziewczyna z warkoczykami mruga do niego. Jakob ukrywa twarz w rękawie koszuli i słucha dźwięków wystrzałów dochodzących z telefonu.

— Jesteś tam, chłopcze? Ah, to za Palance. Był jednak szybki. Trafił Ladda z czterdziestki piątki, ale Ladd jest za silny, żeby zginąć od jednego naboju. Oops. Zobacz, co zrobili. Chodzi o wódkę, Jakob, trzeba pamiętać: wódka nigdy nie płami. No więc?

— Więc co powinienem zrobić? Powinienem z nią porozmawiać? Przeprzić? Udawać, że nic się nie stało?

— Kobieta to kłopot. Zawsze cała ta dziedzina to bałagan. Mój ojciec był wielkim playboy'em, wielkim wielbicielem kobiet. I co mu się dostało? Moja matka. A potem ja...

Jakob uderza głową w przepierzenie i czeka, trzymając telefon przy udzie. W końcu podnosi z powrotem słuchawkę i mówi tak spokojnie, jak tylko potrafi.

— Anthony, proszę.

— Muszę mu przyznać, był cholernie płodny. Nie mógł rozpiąć rozporka bez zapłodnienia kogoś. Zgodnie z osiedlową legendą, nieprawi LoBiancowie zaśmiecają pięć okręgów. Słyszałem pogłoski, że mam brata mulata we Flatbush.

— Nikt już nie używa słowa mulat.

— Nie? Pół-rasa? Dobrze, nieważne, całe to kochanie zaprowadziło go donikąd. Ujeździł jedną klaczkę za dużo i to był jego koniec. Coś mu strzeliło w mózgu. Ostatnie sześć miesięcy spędził, śliniąc się, podczas

gdy moja matka siedziała w kącie i robiła na drutach. Najlepsze swetry, jakie kiedykolwiek zrobiła. Moi rodzice: ojciec śliniący się i matka robiąca na drutach, a Antonio — ich syn onanizuje się w łazience. Amerykańska rodzina. Koniec zajął tatusiowi sześć miesięcy. Kiedyś był potężnym mężczyzną. Łóżko wyglądało na małe, gdy w nim leżał. Ale po wylewie łóżko rosło i rosło, aż w końcu go pochłonęło.

— Przepraszam — mówi Jakob. — Ja nie...

— I wtedy umarł. Mały, martwy człowiek opakowany w gigantyczną skórę. Sześć miesięcy po tym, jak umrę, wynajdą lekarstwo na śmierć. Czytałem o tym. Dadzą ci do wypicia zawiesinę, a w tej zawieszynie będzie dziesięć milionów robotów o rozmiarach twoich komórek. I te roboty będą się roić w twoim ciele i niszczyć wszystkie złe rzeczy. To już nadchodzi, Jakob. Śmierć to paskudny pomysł i jakiś właściwy chłopak z nią skończy. Będą musieli zamordować te wszystkie króliki, na których testują zawiesinę. Ale jeśli to ma uratować czyjaś córkę, a zawsze będzie czyjaś córka do uratowania, to pieprzyć króliki. Niech im wyrosną kciuki i niech z nami walczą.

— Posłuchaj...

— Nie umiem opowiedzieć prostej historii, zgadza się? To mój problem. Nienawidzę jasnych, prostych historii. Mój ojciec, mój ojciec jest gwiazdą. Jedna z jego kochanek miała czelność pojawić się u nas w domu, na kilka dni przed jego końcem. Moja matka była poruszona tym, jak brzydka była ta kobieta. Oh, powiedziała, ona ma twarz potwora. Ale wszyscy byli bardzo uprzejmi i pili kawę, i patrzyli na śliniącego się ojca. I potem matka powiedziała: „Czy można winić tę dziewczynę?”, a ja myślałem, że winić ją za to, że była brzydka.

Oczywiście, że mogłem. Winiłem brzydką kobietę za bycie brzydką i umierającego ojca za umieranie, i dobrotliwą matkę za matkowanie. Wszyscy byli jednakowo odpowiedzialni za to gównu, jakie przynieśli na świat.

Jakob trzyma słuchawkę przy uchu i nic nie mówi.

— Rozumiesz mnie, chłopcze? Nie mogę ci pomóc. A ty nie możesz pomóc mnie. Nikt nie może nikomu pomóc.

— Nie wierzę w to.

— Kłopot z tym światem — mówi LoBianco — polega na tym, że nie ma on nic wspólnego z tym, w co wierzą ludzie.

Twarz Jakoba robi się gorąca, czuje gniew narastający w swoim ciele — czysty, żywy gniew spalający komplikacje, wstyd, niechęć do samego siebie i strach.

— A kłopotem w tej filozofii — mówi Jakob cicho, wymawiając wyraźnie każde słowo — jesteś ty, skończony na własne życzenie, pijący kiepską wódkę, oglądający nocne filmy i niedbający o nikogo.

— Tak. Dobrze, to również jest prawdą.

— Dobranoc, Anthony — Jakob odwiesza słuchawkę i odchodzi, a dziewczyna z warkoczykami gwizdże w ślad za nim.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

**I JAK? — PYTA KOSTIA**, szczerząc się. — Podoba ci się ta dziewczyna?

— Bardzo miłutka — mówi Monty.

— Ma trzy zęby? Co? Nie, myślę, że ma dużo zębów. Myślę, że ci się podoba.

— Tak powiedziałem, nieprawdaż? Jest bardzo ładna.

— Bardzo ładna — kiwa głową Kostia. — Chodź, Wujek Blue chce się z tobą zobaczyć.

Monty idzie za Ukraińcem wzdłuż długiego, słabo oświetlonego korytarza. Wydaje mu się, że jest daleko od tego, co się dzieje, że ogląda siebie na ekranie pozbawionego zakłóceń telewizora. Patrzy, zmęczony i wyczerpany, jak bladolicy aktor, grający Montgomery'ego Brogana, maszeruje naprzód. I mimo, iż wie, że powinien się bać, Monty — obserwator nie jest w stanie wywołać żadnego lęku w Montym — aktorze.

Nie widział się ani nie rozmawiał z Wujkiem Blue od czasu próby; jego jedynym źródłem informacji był Kostia, który zawsze koloryzował i prawnik Gedny. Ale nikt tak naprawdę nie wie, co się dzieje w głowie Wujka Blue.

Kostia puka w pokryte stalą drzwi i odwraca się, by mrugnąć do Montiego. Łysiejący, palący papierosa mężczyzna otwiera im drzwi i zamyka je za nimi. Kiwa do nich obu i oddają mu swoje pistolety. Sprawdziwszy zabezpieczenia, mężczyzna wtyka broń za swój pasek i, trzymając papierosa w zębach, obszukuje ich. Montiemu przychodzi do głowy, że on wcale nie szuka broni. Po zakończeniu rewizji, mężczyzna

stuka w drzwi i drzwi się otwierają. Kostia i Monty wchodzą do pokoju. Łysiejący mężczyzna wchodzi za nimi do środka, podaje ich pistolety jednemu z bliźniaków Zakharovów i wychodzi z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Wystawiają strażnika, myśli Monty. Wie, że coś jest nie w porządku, ale jest zbyt zmęczony, żeby zagłębiać się w szczegóły. Tu na dole słychać tylko niskie tony pulsujących basów: stała, odległa kanonada.

Monty był już kiedyś w tym pokoju, pokoju menadżera klubu. Patrzy na fotografie znanych osobistości na ścianach i czeka. Wujek Blue siedzi za biurkiem i czyta gazetę, palcami jednej ręki przeczesuje swoją czarną brodę. Senka Valghobek siedzi przed biurkiem, pali, widać jego wielki brzuch, odziany w prujący się sweter ze wzorem w romby — sweter, który, jak powiedział kiedyś Montiemu, zrobiła mu na drutach, dwadzieścia lat temu, jego nieżyjąca już teraz żona. Valghobek kiwa głową wchodzącym i uśmiecha się, pokazując złamany przedni ząb; jego oczy są głęboko osadzone i ukryte pod gęstą, zrośniętą szczotką brwi. Wskazuje krzesła z plastikowymi oparciami; Monty i Kostia siadają. Rudowłosi bracia Zakharov stają za nimi. Monty nigdy nie potrafił im powiedzieć, żeby się odsunęli. W swoim starym kraju byli sportowcami, bokserami w Czerwonej Armii; niewysocy, ale zastraszająco szybcy. Monty niewiele z nimi rozmawiał, ale wie, że pogardzają Kostia, uważając go za chwalipiętę i kłamcę. Jeden z bliźniaków przekazuje pistolety Wujkowi Blue, kładąc je ostrożnie na stole.

Wujek Blue składa starannie gazetę.

— Montgomery — mówi. — Jak impreza?

— Jest w porządku — odpowiada Monty. — Dziękuję za



organizację.

— Kiedy pierwszy raz szedłem do więzienia, miałem czternaście lat, byłem małym, chudym chłopaczkiem. Bardzo się bałem. Zanim wyszedłem, miałem już brodę, byłem dorosłym mężczyzną. Wróciłem do rodzinnego miasta, odnalazłem matkę i ucałowałem ją. A ona zaczęła krzyżeć — uśmiecha się Wujek Blue. — Nie poznała mnie. Byłem w trzech różnych więzieniach, Montgomery, w trzech różnych krajach. I wiesz, czego się nauczyłem?

Monty potrząsa głową i czeka.

— Nauczyłem się, że więzienie nie jest dobrym miejscem do przebywania.

— Ja wiedziałem to, zanim tam poszedłem — śmieje się Kostia.

— Nikt nie mówi do ciebie — wtrąca Valghobek. — Zamknij dziób.

— Siedem lat to dużo czasu — mówi Wujek Blue. — Niektórzy zrobiliby wszystko, żeby uniknąć siedmiu lat więzienia.

Monty czeka.

— Twój ojciec jest ciężko pracującym człowiekiem — mówi Valghobek. — Gdzie jest jego bar? W Bay Ridge? Róg Osiemdziesiątej Szóstej Ulicy i Szóstej Alei, mam rację?

— Tak — odpowiada Monty.

— Ma przynajmniej krótki dojazd do pracy — mówi Valghobek. — Właściwie mógłby chodzić pieszo. Gdzie on mieszka? Na Siedemnastej Alei? Przy którym skrzyżowaniu? Przy Osiemdziesiątej Pierwszej? Zgadza się? Pierwsze piętro. Musi tam być głośno, mieszkanie na pierwszym piętrze. Ale on nie chodzi do pracy pieszo, nieprawdaż? Jeździ. Hondą z 1987. Czy muszę ci mówić, ile ma na liczniku w tej swojej

Hondzie?

Monty nie mówi nic.

— Twój ojciec — mówi Wujek Blue. — Lubię twego. Ciężko pracujący człowiek. Miał kiedyś pecha, bardzo dużego pecha. Strasznie mi przykro z powodu tego, co się przydarzyło twojej matce. Wszyscy w sąsiedztwie ją uwielbiali. Pamiętasz ją, Senka?

— Pewnie. Była piękną kobietą. Prawdziwa piękność.

— Chciałbym pomóc twemu ojcu — mówi Wujek Blue. — Mógłbym znaleźć zajęcie dla takiego człowieka, ciężko pracującego człowieka, człowieka, któremu mógłbym zaufać. Ma duże doświadczenie, mam rację? Mógłby kierować jednym z moich klubów, zarabiać dobre pieniądze. Mógłbym zaopiekować się twoim ojcem. Rozumiesz, co mam na myśli, Montgomery?

Monty trzyma oczy spuszczone w podłogę i mówi bardzo spokojnie.

— Nie musi pan tego robić. Nigdy nikomu nie powiedziałem ani słowa. Nie musi go pan zatrzymywać.

— Zadałem ci pytanie, Montgomery.

— Dokładnie rozumiem, co pan ma na myśli.

— Mam dobrą pracę dla twojego ojca — mówi Wujek Blue. — Pomożemy mu spłacić długi. Może kupiłbym bar, a on by go prowadził na Trzeciej Alei. Co o tym myślisz?

— On lubi swój bar.

— On lubi swój bar, dobrze, coś wymyślimy.

Wujek Blue obraca broń Montiego w rękach, sprawdzając masę i chwyt. Wyjmuje magazynek, przygląda się pierwszemu naboju i z powrotem wsadza magazynek na miejsc, kojęć pistoletu.

— Dobra broń. Dokładna? . Monty potakuje.

— Polimerowy korpus, bardzo dobry, łatwy do czyszczenia. I niezawodna? Nie zacina się?

Monty zaprzecza, kręcąc głową. Czuje, jak ściąga mu się skóra na jądrach. Wujek Blue uśmiecha się.

— Strzelałeś z niego kiedyś? Do kogoś, mam na myśli.

— Nie.

— Nie. Dobrze. Dla ciebie to zabawka. Nie zabawka, podpora. Twoja podpora. Mylę się? Z tą bronią czujesz się bardziej... niebezpieczny?

— Nigdy nie powiedziałem nikomu ani słowa. Przyszli do mnie, żeby trafić do ciebie. Nie chodzi im o mnie. Ale nigdy nie powiedziałem ani słowa.

— Wierzę ci — mówi Wujek Blue. — Jak tam trafisz, Montgomery, zorientuj się, kto jest kim. Znajdź faceta, którego nikt nie chroni, człowieka bez ludzi, bez przyjaciół. I bij go, dopóki nie zleje się krwią. Niech myślą, że jesteś trochę szalony, ale też pełen szacunku, pełen szacunku dla odpowiedniego człowieka. Jesteś dobrze wyglądającym chłopakiem; nie będzie ci tam łatwo. Ale pamiętaj, ja miałem czternaście lat, kiedy pierwszy raz trafiłem do więzienia. I przeżyłem. — Kiwa głową i patrzy Montiemu w oczy. — Robimy to, co trzeba zrobić, żeby przetrwać.

Wujek Blue wskazuje na Kostię, bliźniacy Zakharov chwytają Ukraińca od tyłu i rzucają go na podłogę. Jeden z nich wbija kolano w plecy Kostii, drugi przykładą lufę pistoletu do jego ucha. Mówią do niego coś po rosyjsku i Kostia staje się bardzo spokojny; jego twarz przyciśnięta

jest mocno do gołej, betonowej podłogi.

Wujek Blue przygląda się tej akcji i znów kiwa na Montiego.

— Powinieneś był nam wcześniej powiedzieć.

— Powiedzieć wam, co? — pyta Monty. Nie patrzy na Kostię. Nie chce widzieć. Nie chce słyszeć jego strachu, przyśpieszonego oddechu.

Valghobek potrząsa głową i wydmuchuje nosem dym.

— Ilu ludzi wiedziało, że trzymasz towar w poduszce sofy? Co? Twoja dziewczyna, Kostia, kto jeszcze? Musiałeś wykryć to wcześniej.

— Monty — jęczy Kostia. — Proszę, Monty...

Bliźniak trzymający automat przesuwają zamek pistoletu i wprowadza nabój do komory, a Kostia nadal jęczy, dopóki Zakharov nie wali jego twarzą o beton.

Monty zamyka oczy.

— Kostia cię wystawił, braciszku — mówi Wujek Blue. — Wykonał telefon i ukradł siedem lat twego życia.

— Oczywiście, że tak — potwierdza Monty.

Wujek Blue, mrużąc oczy, przygląda się Montiemu przez obłok papierosowego dymu.

— Powinieneś był nam powiedzieć. Monty otwiera oczy i patrzy do tyłu.

— Powinniście sami to wiedzieć. Pan mi powiedział, żeby mu zaufać, więc mu ufałem, a teraz idę na siedem lat. Tyle wam zajęło, żeby to wykryć? Mieli na niego haka, a on wystawił mnie. Nie ma w tym nic skomplikowanego.

— Nie rozumiem cię — mówi Valghobek. — Ten człowiek, ta kurwa, sprzedała cię federalnym, a ciebie to nie obchodzi? Nadstawiasz

drugi policzek? Dlaczego nam nie powiedziałeś?

— Nikt mnie nie pytał.

Wujek Blue rozgania dłonią dym spomiędzy ich twarzy i przysuwa się bliżej.

— Wydając kapusia, nie stajesz się kapusiem. To sprawiedliwość. — Bierze do ręki broń Montiego i podaje ją Valghobekowi, a ten wręcza ją Montiemu.

— Nie chcę tego.

— Jest twój — mówi Wujek Blue. — Wiesz, jak go użyć? Valghobek trzyma pistolet za lufę, czekając z nieznacznym uśmiechem na twarzy, aż Monty ją weźmie. Wreszcie Monty bierze broń i wstaje.

— Wiem, jak się tym posługiwać.

— Dobrze — mówi Wujek Blue. — Ten człowiek nie zasługuje na to, by żyć. Zdradził ciebie, zdradził mnie. Okradł cię. Ukradł ci siedem lat. Skończ z nim.

Wszystko wydaje się teraz Montiemu głupie; głupi ludzie grający w głupie gry, pomieszanie grózb i zdrady, i wszystko z powodu takich przyziemnych powodów, za tak małe stawki. Dramat głupców grany przez ciemnych zbirów, recytujących te same frazy, które były recytowane już wcześniej przez poprzednie pokolenia ciemnych zbirów.

Zakharov trzymający broń uderza lufą w tył głowy Kostii, w miejsce, gdzie czaszka spotyka się z kręgosłupem. Uśmiecha się szeroko do Montiego.

— Dokładnie tutaj — mówi. — Bardzo szybko. — Prostuje się i odchodzi. Jego brat nadal trzyma Kostię na betonowej podłodze, kiwa na Montiego i przygląda mu się.

Monty podchodzi do Ukraińca i wycelowuje broń. Kostia rzuca się, chcąc odwrócić głowę. Z nosa cieknie mu krew.

— Monty...

— Milcz.

— Posłuchaj Monty, proszę posłuchaj. Nie miałem wyboru. Ja...

— Miałeś wybór — mówi Monty. Patrzy staremu przyjacielowi w oczy i nie czuje żalu, nie żałuje tego człowieka, który pił z nim wódkę, który grał z nim w karty, który zabierał go do rosyjskiej restauracji na Brighton Beach i nauczył go kląć w trzech językach.

Montiemu wydaje się teraz, że zemsta jest najprostszą ze wszystkich przyjemności, najbardziej zrozumiałą: ktoś rani ciebie, ty ranisz jego. I czy to nie ułatwia sprawy? Siedem lat w celi ze świadomością, że człowiek, który cię tam posłał nie leży na plaży, słuchając szumu fal i ciesząc się latem; nie siedzi w barze na Grand Central Station, wyciągając ostrygi z muszli; nie przeklina hokeistów za puszczenie krążka; po prostu *nie jest* i kropka.

— To nie ma już znaczenia — mówi Monty, odbezpieczając broń. — O co chodzi? Mogłem powiedzieć wam o Kostii siedem miesięcy temu. Wtedy już było za późno i teraz jest za późno. Czy go zabijecie, czy go pogrzebiecie, ja wciąż jestem w Otisville. Więc co za różnica? — Rzuca pistolet Wujkowi Blue, który go łapie i odrzuca.

— Bądź ostrożny — mówi Wujek Blue.

— Będę ostrożny. I pan niech też będzie ostrożny. Myśli pan, że jestem miękki, prawda? Myśli pan, że jestem miękki?

— Monty — mówi Yalghobek. — Powinieneś uważać, co mówisz.

— Nie. To nie ma dla mnie znaczenia. Nic nie ma dla mnie, kurwa,

znaczenia poza tym, że jeśli cokolwiek stanie się mojemu ojcu, zabiję was obu.

Jeden z braci Zakharovów zadaje pytanie po rosyjsku, ale Wujek Blue podnosi rękę.

— No dalej — mówi Monty. — Daj mu rozkaz, jeśli tego chcesz. Ale jeśli wyjdę z tego pokoju, jesteście kwita. Słyszysz? Ja wychodzę, zostawiacie mojego ojca w spokoju.

— To nic nie zmieni — mówi Wujek Blue, pokazując Kostię, który zaczął cicho szlochać. — Nie oszczędzasz nikogo.

— Chcesz mi dać odejść czy nie?

Wujek Blue bębni palcami w blat. Valghobek zapala następnego papierosa, gasi płonącą zapałkę gwałtownym ruchem nadgarstka i rzuca ją na podłogę. Wszyscy czekają. Linia basów jest ledwie słyszalna tu na dole, ale Monty czuje w kościach wibracje. Szklanka wody, stojąca na blacie biurka, drży leciutko.

— Pamiętaj, co ci powiedziałem — mówi Wujek Blue. — Człowiek bez przyjaciół.

Kiwa na Valghobeka, który podchodzi do drzwi i otwiera je. Valghobek wydmuchuje idealne kółko dymu, a Monty patrzy, jak dym, drżąc, unosi się w kierunku jarzeniowych świateł.

— Chodź — mówi Yalghobek. — Tracisz swoją imprezę.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

**TRZEJ MŁODZI MEŹCZYŹNI**, cisi i drżący, stoją oparci o zamknięte, faliste okiennice kiosku z gazetami na stacji metra. Dwaj nastolatki z ogolonymi głowami i zaspanymi twarzami stoją na drugim końcu peronu, popijając na zmianę pomarańczowy sok z kartonu. Stary mężczyzna, ubrany w czarną, plastikową torbę na śmieci z otworem wyciętym na głowę, opiera się o wielką, niebieską kolumnę podtrzymującą strop stacji. Trzyma przy uchu małe radio i słucha kaznodziei prowadzącego kazanie po hiszpańsku. Śnieg topi się na włosach staruszka, woda kapie mu po szyi, ścieka po czarnej, plastikowej torbie na śmieci i rozpryskuje się na jego stopach.

Slattery słyszy, jak dwaj nastolatki się śmieją; widzi, jak podchodzą do brzegu platformy i przyglądają się torom. Wychyla się do przodu. Ale nie może dojrzeć, z czego się śmieją. Monty i Jakob nie zwracają na to uwagi. Slattery jest ciekawy, więc odrywa się od kiosku i podchodzi do chłopców.

— Co jest tam na dole? — pyta, a jego oddech unosi się białym obłokiem nad ich głowami.

Chłopcy przyglądają mu się uważnie przez chwilę, uznają za bezpiecznego i pokazują palcem. Slattery wpatruje się w ciemność.

— Co?

I wtedy widzi różowy ogon szczura śpiącego pod stalową szyną. Oczy Slattery'ego zaczynają wyławiać ruchy w cieniu i dostrzega sześć, siedem, dziewięć szczurów łączyjących po torach, węszących wśród zgniecionych w kule papierowych toreb, jednorazowych kubków,



papierków od cukierków, skórek pomarańczy.

— Te tutaj — mówi wyższy z chłopców — jedzą trutkę na szczury jak czekoladę. Służby miejskie sypią wciąż więcej i więcej trucizny, a szczury robią się coraz grubsze i grubsze. Mówi się o tym, żeby wziąć węże, te pytony z Afryki i wrzucić ich kilkadziesiąt, żeby się zgubiły w tunelach i zjadały szczury.

— Wystarczy wziąć koty — mówi Slattery. — Byłoby taniej.

Chłopak krzywi się.

— Koty wpadałyby pod pociągi. Chodzi o to, że wąż mógłby po prostu prześlizgnąć się pod wagonem.

Slattery uśmiecha się, próbując wyobrazić sobie nowojorskich polityków importujących afrykańskie węże, żeby wpuszczać je do tuneli metra.

— Mój ojciec pracuje w służbach miejskich — mówi chłopak. — Opowiadał mi kiedyś, jak ci faceci pracowali któregoś razu tu, na dole, na torach i nagle jeden z nich poczuł coś wspinającego mu się po nodze, pod spodniami i zaczął wrzeszczeć. Zanim jego kumple do niego podbiegli, szczur odgryzł mu jaja.

— Nie truj — mówi niższy chłopak.

— To prawda. To dlatego teraz faceci pracujący w tunelach, sprawdźcie, jak ich zobaczycie następnym razem, mają zawsze spodnie wpuszczone w buty. Mówię wam — ciągnie dalej, nie zważając na powątpiewające gdakanie swego przyjaciela.

— Popatrz na to — mówi Slattery. Grzebie po kieszeniach spodni, wyciąga garść drobniaków, bierze pięciocentówkę i ciska nią w najbliższego szczura. Pięcicentówka odbija się od szczurzego łebka i

uderza w szynę. Szczur wpycha się do ciemnej niszy pod brzegiem peronu. Chór wysokich pisków rozśmiesza chłopców.

— Mówią: "Uważaj!" — stwierdza wyższy chłopak.

— Masz — mówi Slattery, oferując dłoń pełną drobniaków.

— Rzuć w nie.

Chłopcy patrzą na siebie przez moment, a potem każdy bierze po monecie. Patrzą na Slattery'ego, a on potakuje głową.

— Zobaczmy, czy wam się uda.

Wyższy chłopiec wybiera ostrożnie na cel tłustego, szarego szczura, którego głowa i przednie łapki tkwią we wnętrzu pustej torebki po frytkach ziemniaczanych. Rzuca monetę za mocno; pieniądz odbija się z brękiem od płytki po drugiej stronie tunelu, pod napisem SANE SMITH.

— Zbyt wysoko ją wypuściłeś — mówi Slattery. — Patrz

— Naśladuje ruch chłopca. — Widzisz? Ty wypuszczasz ją tutaj, więc leci tam. To jak... grasz w futbol?

— Nie.

— Baseball?

— Nie.

— Nie? A w co grasz?

— W piłkę nożną.

— W piłkę nożną? Dobra, nieważne. Twoja kolej, młody człowieku.

Niższy chłopak przekazuje karton z sokiem pomarańczowym przyjacielowi. Podchodzi bliżej, trzymając jedną rękę na kolanie, a drugą, tą z monetą, opierając z tyłu na biodrze jak miotacz rzucający piłkę i próbujący odczytać sygnały łapacza. Tłusty, szary szczur siedzi teraz przykucnięty, trzymając w łapkach sreberko z frytką. Skubie ją i rozgląda

się wokół; ma czarne oczka, małe i wilgotne jak dwie kropelki krwi. Chłopiec podnosi wysoko lewą nogę, w stylu wielkiego Juana Marichala, bierze zamach i rzuca monetę. Pieniążek wiruje w powietrzu i wszyscy go obserwują, nawet szczur patrzy teraz w górę, uroczyście skubiąc swego smażonego ziemniaka. I pac! — pięciocentówka trafia go w głowę. Szczur porzuca frytkę, trzęsie się przez moment i umyka w cień, a ludzie śmieją się radośnie.

— Synek tatusia! — krzyczy Slattery. Podnosi rękę i chłopcy przybijają mu piątkę, szczerząc się w uśmiechu.

— Widziałeś? Widziałeś? — krzyczy wyższy. — Szczur został trafiony! Charlie jest niesamowicie szybki.

Charlie nie mówi nic, tylko cieszy się, skacząc dookoła na jednej nodze.

— Od teraz musicie pokazywać szczurom, kto tu rządzi — mówi Slattery.

Jakob patrzy z daleka na dzieciaki podskakujące w górę na końcu peronu i zastanawia się, co je tak podekscytowało. Spogląda na zegarek. Szósta. Za trzy godziny autobus odjedzie z Port Authority i skieruje się do Otisville. Monty siedzi obok niego, ale jest nieobecny; jest zimny, nie mówi, nie mruga powiekami. Owinięty w swój wielbłądzi płaszcz, patrzy na betonowy peron, piegowaty od wdeptanych gum do zucia.

Slattery odnalazł Jakoba śpiącego na czarnym, aksamitnym szezlongu w najciemniejszym kącie klubu, pomógł mu wstać i powiedział po prostu:

— Monty chce iść do domu.

Żaden z nich nie powiedział nawet słowa o czekającym ich, długim

marszu do stacji metra. Jakob ciągle gapił się na sześć rzędów odcisków stóp, które zostawały za nimi na śniegu. Powoli zasypywał je padający śnieg.

Wie, że powinien teraz powiedzieć coś Montiemu, zrobić coś, jakiś gest solidarności, choćby położyć rękę na ramieniu, objąć, cokolwiek, ale jest sztywny z powodu strachu, zmęczenia, chorej pamięci o tym pocałunku. Ciągle widzi zszokowaną twarz Mary D'Annunzio, pobladłą jak ściana, jej szeroko otwarte oczy i jankeską czapkę siedzącą krzywo na jej głowie. To nie grzech go męczy, nie niemoralność sytuacji, ale właśnie to odrzucenie. Pocałunek, który sprawił, że przebiegł go dreszcz, wydał się jej obrzydliwy, jej język ukrył się głęboko, jej ręce zwisały luźno wzdłuż ciała. Jak dobrze jest być lubieżnikiem, kusicielem, uwieść młodą kobietę i uciec z miasta! Ale bez porażki w uwodzeniu. I nie wtedy, gdy dziewczyna odsuwa się, buntuje i niczego nie pragnie bardziej niż ucieczki...

LoBianco ma rację co do jednego, myśli Jakob. Mary nie popędzi z tym do dyrektora. Ale opowie swoim przyjaciółkom, nieprawdaż? Czyż przyjaciółeczki nie rozmawiają o wszystkim? O każdym szczególe anatomii swoich kochanków? Wyobrażając sobie tego typu rozmowy, Jakob czuje, że ogarnia go przerażenie. Przeraża go obrazek przyjaciółek, zebranych wokół Mary, kręcących między palcami kosmyki włosów, z podniecającą, erotyczną, świetną plotką na ustach. *Pocałował cię? Wykrzykiwałyby. O mój Boże! Pocałował cię? Jak to było?* Mary potrząsałaby głową. *Ugh — powiedziałyby. Wstrętne. Całą mnie obślinił. To jak całować fretkę.* A one by piszczały i śmiały się, i pytały: *Co teraz zrobisz? Możesz zaskarżyć szkołę. Może go aresztują!*

Gdyby pocałunek był lepszy, myśli Jakob, jeśli pocałowałby ją

poprawnie, wszystko byłoby w porządku. Monty, jeśli Monty wszedłby do tej łazienki, objął ją ramionami, Jezu, oboje byliby tam do tej pory; kolejka dziesięciu tysięcy osób z rozdętymi pęcherzami waliłaby do drzwi.

Co jest najgorsze dla Montgomery'ego? — myśli Jakob. Najgorsza kara dla niego to być pozbawionym kobiet, być zesłanym do kamiennego miasta twardych mężczyzn, pokrytych bliznami pechowców z brzytwami w kieszeniach, których czas płynie od porażki do zemsty. Monty zawsze był rozpieszczany przez kobiety; zawsze go adorowały, ochraniały, obsypywały mu twarz pocałunkami, podziwiałały go, gdy szedł chodnikiem. Jakobowi przeszkadza krótkotrwałe poczucie sprawiedliwości, gdy ocenia teraz całą sytuację. Przez lata czekał na swoją kolej. Pamięta tę międzyszkolną zabawę taneczną w dziesiątej klasie, gdy piękna, młoda dziewczyna podeszła do niego odważnie i, patrząc na Montiego, spytała: *Kim jest twój przyjaciel?* Kiedyś, powtarzał sobie zawsze, dziewczyny będą patrzeć inaczej.

Przez następne siedem lat, myśli Jakob, będę mieszkał w mieście, otoczony pięknymi kobietami, będę wszędzie: na skrzyżowaniach — czekające na zielone światło, w Bryant Parku — oglądające filmy na świeżym powietrzu, w metrze — trzymające się poręczy w wagonach, w Chelsea — podające drinki w barach, biegające wokół stawu, krzyczące na swoich chłopaków, szepczące do telefonów, palące w ogródku indyjskiej restauracji, tańczące na tarasach lokali. A Monty będzie czekał w Otisville, oglądając telewizor przykręcony do sufitu, z ekranem osłoniętym metalową siatką. Będzie spał w celi z obcymi, którym nie można ufać, będzie używał łazienki, w której ściany wysmarowane są gównem, będzie jadł posiłki przygotowywane przez skazańców, znając pogłoski o

tluczonym szkłe w chili, o robakach w ryżu.

Jakob może sobie wyobrazić więzienie, ale nie ma pojęcia, jak ten obraz ma się w ogóle do rzeczywistości. Więzienia zna tylko z filmów i telewizji: fantastyczne zakłady, w których niewinny człowiek walczy o przetrwanie, udowadniając jednocześnie swoją niewinność; gdzie stary więzień, skazany dziesiątki lat temu, udziela taktycznych rad, jak zwalczyć gang; gdzie rządzi sadystyczny naczelnik; gdzie króluje samotność. Jakob dokładnie widzi starego więźnia, jego sponiewieraną twarz, pogrążoną w smutku po żonie, którą zamordował w latach pięćdziesiątych.

Jak wyobraża to sobie Monty? Czy rozumie, co mu się właśnie przydarza? Jakob przygląda mu się teraz i nie może nic wyczytać. Zielone oczy Montiego są mętne jak oczy ryby, której nie chciałoby się kupić. Jakob chce zapytać go, co teraz widzi, jaki obraz ma przed oczyma. Czy to Otisville, czy Naturelle, czy to, jak się to wszystko zaczęło. Ale Jakob o nic nie pyta, pociera tylko dłonią o dłoń i drży. Jeszcze kilka godzin i będę mógł położyć się do swego ciepłego łóżka, w swojej starej, flanelowej pościeli. Będę mógł zagotować wodę na herbatę i pić ją, patrząc jak za oknem pada śnieg. Będą musieli odwołać zajęcia w szkole. Będę mógł pospać długo, obudzić się wczesnym popołudniem i pooglądać filmy rysunkowe, trzymając kciuki za kota, żeby wreszcie udało mu się złapać mysz.

— Czy jesteśmy pewni, że jeżdżą pociągi? — pyta w końcu Jakob.  
— Monty nie odpowiada. Jest nieobecny. Jest teraz w szpitalu na Siódmej Alei, w Bay Ridge, w 1977 roku, odwiedza matkę.

Zaczęła wyglądać jak ktoś inny, jak coś innego, coś monstrualnego pretendującego do bycia jego piękną matką. Nie lubił tej nowej kobiety,

nienawidził jej, próbowała go oszukać, sprawić, by uwierzył, że jest jego prawdziwą matką, chociaż oczywiste było, że nią być nie może. Była uzurpatorem. Jej głos wcale nie był podobny do głosu jego prawdziwej matki; chrypa prawie nigdy nie pozwalała jej wypowiedzieć zdania do końca.

W domu narysował portrety dwóch kobiet, jednej z kręconymi włosami, drugiej łysej. Jego ojciec zapytał, kim są te kobiety.

— To mamusia — powiedział chłopiec, pokazując kobietę z kręconymi włosami. Potem położył paluszek na twarzy łysej kobiety. — To jest porywaczka mamusi.

Kiedy ojciec powiedział mu, że idą do szpitala, Monty płakał i krzyczał, dopóki ojciec nie uderzył go mocno w twarz. Monty przestał płakać. Nienawidził swego ojca przez trzydzieści minut, ale trzymał go za rękę przez całą drogę do szpitala na Siódmej Alei. Monty miał na głowie czerwony, plastikowy hełm strażacki, z naklejką NOWOJORSKI ODDZIAŁ STRAŻY POŻARNEJ. Kiedy jechali windą, stara kobieta w szlafroku, opierająca się na chodziku, uśmiechnęła się do Montiego i poprosiła ojca o ogień.

Kiedy dotarli już do pokoju matki, Monty nie chciał do niego wejść, zacisnął oczy, zakrył rękami uszy i dziko szarpał głową.

— Monty — powiedział ojciec, odsłaniając mu uszy. — Pomóż mi z tym, proszę. — Ojciec nigdy wcześniej nie mówił do niego w ten sposób. Monty otworzył oczy, wziął ojca za rękę i wszedł za nim do pokoju.

Porywaczka mamusi spojrzała na niego i uśmiechnęła się, potem podniosła się, sięgając po jego rękę, i przyciągnęła go bliżej. Bał się, ale przyciągnęła go jeszcze bliżej. Nie wiedział, co się dzieje, ale wiedział, że

nie jest dobrze. Trzymała go za rękę i powiedziała:

— Nie bój się.

— Nie boję się — odpowiedział.

— Wyglądasz bardzo przystojnie w tym hełmie.

— Będę strażakiem — powiedział, a ona pokiwała głową.

— Wiem, że będziesz.

Zamknęła oczy i dreszcz przebiegł przez całe jej ciało. A potem następny i następny. Jej ręka puściła dłoń Montiego i chwyciła prześcieradło. Pan Brogan złapał syna za ramiona i wyprowadził z pokoju. Jak tylko wyszli, Monty usłyszał swoją mamę mówiącą z wielkim wysiłkiem:

— Będiesz wspaniałym strażakiem, Montgomery.

Nie odwrócił się. Zostawił ojca za sobą i odszedł szpitalnym korytarzem, jego buty do koszykówki piszczały o lśniąca podłogę. Zatrzymał się przed otwartymi drzwiami innego pokoju. Stary człowiek leżał w łóżku z rurkami biegnącymi do nosa i do przedramienia. Z radia stojącego na nocnym stoliku słychać było operę. Stary człowiek zobaczył stojącego w drzwiach Montiego i kiwnął na niego pokręconym palcem.

— *Figlio mio* — powiedział staruszek. — *Dov'e ilfuocoi* Monty uciekł. Biegł tak szybko, że strażacki hełm spadł mu z głowy, ale się nie zatrzymał. Biegł do końca korytarza, po trzech schodkach w dół, aż do wejściowych drzwi szpitala, a potem w kierunku Siedemnastej Alei i Osiemdziesiątej Pierwszej ulicy. Nie przestał biec, dopóki nie dobiegł do swego domu. Chodził wzdłuż budynku i dyszał.

Pół godziny później, patrzył, jak ojciec parkuje po drugiej stronie ulicy granatowego chevroleta, wyłącza silnik, i siedzi jeszcze minutę bez



ruchu, za kierownicą. Kiedy pan Brogan wysiadł wreszcie z samochodu, długo patrzył na Montiego ponad dachem chevroleta. Zaczął przechodzić przez ulicę, wrócił, otworzył drzwi od strony pasażera i sięgnął do środka. Zatrasnął drzwi i przed przejściem rozejrzał się w obie strony. W rękę trzymał strażacki hełm.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

**PARKUJĄCE WZDŁUŻ ALEI** samochody wyglądają jak gałki lodów waniliowych, błyszczą w światłach ulicznych latarni. Markizy budynków, obwieszane soplami, uginają się pod ciężarem śniegu. Platany, dęby i grusze rosnące wzdłuż chodnika, w swoich małych kwadratach gleby, stoją w bezruchu. Każda najmniejsza nawet gałązka pokryta jest szronem. Powietrze jest spokojne i czyste. Aleja wydaje się Jakobowi nierealna. Zbyt biała, zbyt cicha, jak porzucona rezydencja, w której meble przykryto białymi prześcieradłami. Śnieg przestaje padać.

Doyle, spuszczonej ze smyczy, biegnie środkiem ulicy, zostawiając za sobą w głębokim na stopę śniegu kręty ślad. Wygląda to tak, jakby czarna kropla atramentu toczyła się po białej kartce papieru. Monty idzie za psem, kręcąc smyczą, jego zniszczone buty skrzypią przy każdym kroku. Jakob i Slattery idą obok siebie, kilka kroków za nim. Jakob próbuje stąpać ostrożnie po głębokich śladach Montiego, ale naśladowanie go jest na dłuższą metę niewygodne, zakłóca Jakobowi rytm. Slattery brnie do przodu, jego spodnie są mokre od kolan w dół.

Dziesięć minut temu weszli we trzech ciasną klatką schodową do mieszkania Montiego i usiedli w ciszy, w ciemnym salonie. Nikt nie chciał odezwać się nawet słowem. Widać było smugę światła pod drzwiami sypialni, ale Monty nie wszedł tam; usiadł na podłodze, oparł się o kaloryfer i drapał Doyle'a za zmaltretowanym uchem. Jakob widział Naturelle, leżącą i czekającą w łóżku z otwartymi oczyma. Zastanawiał się, czy ona wiedziała, że Monty pieprzył w klubie inną kobietę i czy ją to w ogóle obchodziło.

Monty wstał w końcu i powiedział:

— Zabierzmy Doyle'a na spacer. Ostatni spacer z Doylem — i we czwórkę, powłócząc nogami, wyszli na śnieg.

Jakob słucha odgłosu ciężkich kroków Slattery'ego, czuje zmęczenie przyjaciela i jego frustrację. W jakiś dziwny sposób miło mu jest widzieć, jak źle Slattery wygląda, jak mizernie. Jego twarz jest zmartwiona, smutna i Jakob, widząc go takim nieszczęśliwym z czyjegoś powodu, czuje nagły przypływ wzruszenia. Slattery jest w końcu dobrym facetem. Może nie milutkim, ale takim, którego chciałoby się mieć przy sobie, gdy nadejdą kłopoty.

W weekend będzie już wyglądał dobrze, myśli Jakob. Obaj będziemy wyglądać dobrze. Za kilka godzin, gdy Monty będzie w autobusie jadącym do Otisville, Slattery będzie mógł wskoczyć do łóżka, opuścić rolety, spać do niedzieli i obejrzeć Super Bowl u znajomych: miseczki z popcornem i nachos na stoliku; szczęśliwi, najedzeni ludzie wyciągnięci na sofie, leżący na podłodze, pijący piwo w kuchni i cieszący się, gdy dobrzy chłopcy zdobywają punkty.

Cała czwórka idzie środkiem alei, są grupą niepoprawnych pieszych, przechodzących na czerwonym świetle, na wschodnim końcu cichej wysepki. Jedyne pojazdy na ulicy — pług odśnieżający drogę pół mili dalej, miga żółtym, ostrzegawczym światłem. Jakob zastanawia się, jak długo mógłby iść przez ten śnieg nie protestując. Monty mógłby poprowadzić ich do Zatoki Meksykańskiej, a oni leżliby za nim znużeni, nie zauważając nawet piasku i muszli pod stopami.

Przy Osiemdziesiątej Szóstej Ulicy skręcają do Carl Schurz Park, mijają okalające go miłorzęby. Doyle spostrzega wiewiórkę siedzącą na

tylnych łapkach koło kosza na śmieci; patrzą na siebie przez chwilę i Doyle rzuca się do niej, rozrzucając wokoło śnieg. Jakobowi spada kamień z serca, gdy wiewiórka ucieka i bezpiecznie wspina się po dębie. Doyle siedzi na dole, język zwisa mu z pyska, patrzy smutnie, jak zwierzątko przeskakuje z gałęzi na gałąź.

Przyjaciele idą za Montym aż do kaskadowych schodów — teraz trudno pod śniegiem zauważyć stopnie, szczególnie, że jest jeszcze ciemno — a potem ścieżką, wzdłuż której rosną czerwone klony, stoją latarnie i ławki. Jakob trąca Slattery'ego łokciem i pokazuje gestem: *To właśnie tu nas Monty prowadzi*. Słyszeli już wcześniej historię o tym, jak Monty i Naturelle spotkali się pierwszy raz na huśtawkach. Ale Monty nawet nie zwalnia; mijając huśtawki, piaskownice, drabinki, boisko do koszykówki i do hokeja na trawie, prowadzi ich do promenady biegnącej wzdłuż East River.

Jakob nigdy nie był na tej promenadzie nocą. Teraz rozumie, dlaczego Monty chciał tu przyjść. Za rzeką leży Queens, a Queens przed wschodem słońca jest piękny: czerwone światła, migając, ostrzegają pilotów, neonowy znak Pepsi świeci nad zakładem butelkującym napój, białe obłoki, kłębiąc się i hałasując, unoszą się nad kominami jak dziny gotowe spełnić trzy życzenia dobrych ludzi z Astorii. Za Queens niebo zaczyna się rozjaśniać, blady błękit rozcina na wschodzie horyzont, który stopniowo robi się coraz ciemniejszy, aż wreszcie nad Manhattanem — czarny.

Jakob zrzuca śnieg z metalowej balustrady, opiera się o nią i patrzy na rzekę. Pas żółtych świateł drży, odbijając się w wodzie. Jakoba przebiega dreszcz. Wyobraża sobie legion utopionych ludzi niosących

pochodnie, czuwających w ciszy wzdłuż koryta rzeki. Wie, że to tylko odbicie elektrycznych świateł przymocowanych do Mostu Queensboro, ale nie potrafi pozbyć się obrazu rozdętych, pozbawionych oczu ciał, czających się pod wodą.

— Spójrz na latarnię morską — mówi Monty, wskazując ręką odzianą w rękawiczkę, kamienną wieżę na północnym końcu Wyspy Roosevelta. — Powinni ją naprawić, powinna znów normalnie pracować. Byłoby miło przyjść tutaj i zobaczyć, że działa. Nie ma holowników. Załogi są pewnie uwięzione na drogach dojazdowych na Staten Island — śmieje się Monty. — Zauważyłem, że wszyscy faceci z holowników mieszkają na Staten Island. Nie wiem, dlaczego.

— Ci faceci zarabiają niezłe pieniądze — mówi Slattery, który dołączył do opierających się o balustradę. — Mają jeden z najlepszych związków zawodowych w mieście. Oni i operatorzy dźwigów.

— Dobrze byłoby pracować na holowniku — mówi Monty. — Holować barki, przez cały dzień być na rzece. Mieć radio ustawione na stację, którą lubisz i tylko sobie palić i patrzeć, jak miasto ucieka do tyłu.

Slattery kręci głową.

— Patrzyłbyś na miasto tak często, że miałbyś go dość.

— Więc, jak myślisz — mówi Monty, zwracając twarz do Jakoba. — Jesteś gotowy na pana Doyle'a?

Jakob patrzy na psa tarzającego się w śniegu i wymachującego łapami w powietrzu.

— Lubi śnieg.

— Będzie dla ciebie dobry, Jake. Nikt ci się nie włamie do mieszkania, to pewne jak w banku. Wszystkie dziewczyny uwielbiają

Doyle'a. Weź go na spacer, a zobaczysz. Jest specyficzny typ dziewczyn, które lecą na Doyle'a. Te zabawne. Spójrz na niego. Te, które lubią starych, poturbowanych, twardych facetów. Która godzina?

— Kwadrans po siódmej.

— Kwadrans po siódmej — Monty wystukuje krótki rytm na metalowej balustradzie i jednym ruchem przeskakuje przez nią. Staje na wąskim występie, tyłem kolan dotykając poręczy, a poniżej, przed sobą, mając rzekę.

— Poczekaj — mówi Słattery, trzymając ręce w górze. — Co ty robisz? Monty, co ty robisz?

Doyle dyszy z brzuchem w śniegu, patrząc na swego pana. Jakob stoi z otwartymi ustami. Słowa uwięzły mu w gardle. Monty patrzy w ciemną toń wody płynącej w dole.

— Co myślicie o czterdziestu stopach w dół? Czym się zajmujecie? Nie mogę się zabić skacząc czterdzieści stóp w dół. Chyba, że zamarznę na śmierć.

— Przestań — mówi Słattery. — Przestań, daj mi rękę. Nie pieprz bez sensu.

— Nie pierzyć bez sensu? Powinienem być poważny, tak? — Monty nogą zeskrobuje śnieg z występu. — Nie idę tam taki. Zjedzą mnie żywcem.

— Przestań — mówi Słattery. — Poślizgniesz się i skręcisz sobie kark.

Przez moment Monty nie mówi nic, patrzy przez rzekę na Queens. W końcu odwraca się, chwyta poręcz i przeskakuje z powrotem na promenadę, stopy ślizgają mu się przy lądowaniu. Słattery łapie go w pasie

i nie pozwala upaść. Doyle szczeka. Jakob oddycha z ulgą.

— Nie idę tam taki — powtarza Monty, odpychając Slattery'ego. — Jak mnie tylko zobaczą, przepadłem. Musisz mi pomóc, Frank.

— Powiedz mi, jak — mówi zdeorientowany Slattery. Monty gwizdże na Doyle'a, pies zrywa się i pędzi do pana, merdając kikutem ogona, z pyskiem oblepionym śniegiem. Monty przypina smycz do obroży psa i przywiązuje go do balustrady, robiąc podwójny węzeł.

— Zrób mnie brzydkim — mówi Monty. Slattery i Jakob spoglądają na siebie.

— Powiedziałeś mi wcześniej — mówi Monty — że zrobisz, co tylko zechcę. — Rozpina płaszcz i przewiesza go ostrożnie przez balustradę. Slattery potrząsa głową.

— Nie mogę tego zrobić. Myślisz, że jak ci podbiję oko, to nie będą chcieli się z tobą pieprzyć? To nic nie zmieni.

— Uważasz, że zasługuję na to, prawda? Należy mi się? Spieprzyłem sprawę? Tak właśnie myślisz, że miałem szansę i ją spieprzyłem?

Slattery nadal potrząsa głową. Odsuwa się od Montiego.

— Nie mogę cię uderzyć.

Monty stoi w rozkroku, z rękami skrzyżowanymi na piersi. Wygląda teraz na mniejszego, bez płaszcz, w czarnym, wełnianym swetrze opinającym mu ciało.

— Myślę, że możesz. Myślę, że chcesz, troszeczkę. Myślę, że chcesz tego od lat.

— Nie zrobię tego.

— Chcesz — mówi Monty, podchodząc do niego. — Chodź, Frank.

Boisz się?

— Posłuchaj... — Slattery podnosi ręce, dłońmi otwartymi w kierunku Montiego.

— Czego się boisz, Frank? Ze ci oddam? Boisz się, że dostanę szalu i cię uderzę? To by było krępujące, prawda? Wielki, twardy facet ze skopanym tyłkiem?

— Przestań — mówi Jakob. — To szaleństwo.

Monty odwraca się do Jakoba i pokazuje na niego palcem.

— Czy ktoś do ciebie coś mówi? Czy ktoś, kurwa, coś do ciebie mówi?

— Zapomnij o tym — mówi Slattery. — Chodź, zapomnij o tym. Chodźmy na jakieś śniadanie.

— To wszystko pracuje na twoją korzyść, co Frank? To ci odpowiada. Zaopiekujesz się Naturelle, gdy odejdę, prawda? Zadbasz o to, żeby wszystko było u niej w porządku?

— Co?

— Myślisz, że ona nie wie, jak cholernie jej chcesz? Jesteś, kurwa, żalosny, śliniąc się na jej widok przez cały czas; jesteś jak pies obwąchujący jej tyłek. Ona się z ciebie śmieje, Frank. Jesteś jak żart, stary żart i nawet nie jesteś już śmieszny. Trwa to już tak długo, że nawet jej to już nie schlebia.

— Dobrze — mówi Slattery spokojnie. — W porządku. — Odwraca się sztywno i odchodzi.

— Przestań — szepce Jakob. — Monty, przestań, co robisz? Powiedz mu, że żartujesz.

Monty odwraca się i z całej siły uderza Jakoba w policzek. Trzask



pięści w rękawiczce o kość rozlega się po pustej promenadzie. Jakob upada do tyłu, na poręcz, trzymając się za twarz.

— *Monty* — mówi.

Monty podchodzi bliżej i uderza Jakoba jeszcze raz, tym razem w brzuch. Mężczyzna, krztusząc się, pada na kolana. Zasłania twarz rękoma i wtedy słyszy straszny ryk; słyszy, jak dwa ciała padają na śnieg. Kiedy Jakob spogląda, co się dzieje, widzi, jak Slattery blokuje Montiego i wbija go w ziemię. Slattery trzyma Montiego lewą ręką za gardło, a prawą pięścią wali go w twarz, cios za ciosem, i znów, i znów, i znów.

Doyle zawodzi, próbuje skoczyć na Slattery'ego, ale smycz za każdym razem szarpie go w tył. Rwie się do przodu, ma obnażone kły i napięte mięśnie łap, ale jego pan jest o trzy stopy za daleko. Ciągłe skacze do Slattery'ego i wciąż smycz go zatrzymuje.

Jakob dotyka palącego go policzka i ogląda palce: nie ma krwi. Slattery wciąż bije Montiego, uderzenia brzmią teraz inaczej, jakby bił coś wilgotnego; Monty już się pod nim nie wierci.

— Frank — mówi Jakob, łapiąc się poręczy i wstając powoli na nogi. — Frank!

Krew cieknie z głowy Montiego, topi śnieg i paruje. Słysząc pięść rozbijającą twarz. Pies wyje i walczy ze smyczą. Jakob potyka się, dochodzi do Slattery'ego i popycha go.

— Przestań!

Slattery podnosi głowę, jego twarz mokra jest od łez, usta ma otwarte, a na nich zaschniętą ślinę.

— Dobrze — mówi Jakob. — Wystarczy. — Wkłada ręce pod pachy Slattery'ego i pomaga mu wstać.

— O Jezu — mówi Slattery, patrząc w dół na Montiego. — O Jezu.

Jakob kuca i obraca przyjaciela na brzuch. Monty jęczy, szeroka strużka krwi wycieka mu z ust. Doyle szczeka jak szalony. Jakob bierze garść śniegu i zaczyna delikatnie przykładać ją do twarzy Montiego. Nasłuchuje, chcąc upewnić się, że Monty oddycha.

Slattery patrzy oniemiały, stojąc ze spuszczoneymi, zakrwawionymi rękoma. Jakob wciąż kuca obok Montiego, trzyma palce na jego karku. Doyle cały czas szczeka, obroża wbija mu się w szyję, rozpaczliwie chce dotrzeć do pana. Holownik na rzece włącza syrenę. Załogi dotarły do swoich łodzi, myśli Jakob.

W końcu Monty otrząsa głowę ze śniegu i zaczyna pełznąć do przodu.

— Zaczekaj chwilę — mówi Jakob. — Stój.

Kiedy Monty próbuje wstać, nogi mu się rozjeżdżają. Jakob łapie go i obejmuje ramionami, zanim ten znów pada na śnieg.

— Nie próbuj się jeszcze ruszać.

Monty podnosi się na rękach, stara się wstać i tym razem udaje mu się utrzymać równowagę. Słania się jednak jak pijany.

— Jest w porządku — bełkocze niewyraźnie. Odwraca twarz do swego przyjaciela.

Slattery patrzy na niego i wydaje przeciągły jęk, siada ciężko na śniegu, podbródek opada mu na pierś; prawą ręką, śliską od krwi, zasłania sobie twarz.

— O Jezu.

— Szpital — mówi Jakob. — Musimy zabrać cię do szpitala

— Nie — mówi Monty, zataczając się w ich stronę. Doyle piszczy

teraz zdezorientowany, drepcząc w miejscu. Monty pochyla się niezgrabnie i drapie psa za uchem.

— Bądź dobrym chłopcem — mówi.

Slattery wciąż siedzi na śniegu, szlocha. Monty pochyla się i całuje go w czoło.

— Przepraszam — mówi Monty.

Slattery kiwa się w przód i w tył, twarz ma ukrytą w dłoniach, czoło umazane krwią.

Monty odwraca się do Jakoba i dotyka jego ramienia.

— Opiekuj się moim psem.

Bierze swój płaszcz z balustrady i odchodzi od nich, od czarnej rzeki, od stalowych mostów, od kamiennej latarni morskiej, od słońca wschodzącego nad Queens, od boiska do koszykówki, od huśtawek na placu zabaw. Schodzi po stopniach w dół i idzie w kierunku domu.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

**DZIEWCZYNA WIDZI GO** trzy domy dalej. Czarno odziana postać brnie przez padający śnieg, trzymając płaszcz przy biodrze. Żyje. Dziewczyna oddycha głęboko, zimne powietrze mrozi jej gardło. Sięga do srebrnego krzyżyka wiszącego na szyi, ale go tam nie znajduje; jest przecież na górze, na nocnej szafce, razem ze srebrnym łańcuszkiem. Zaczyna iść w stronę mężczyzny, ale zatrzymuje się po kilku krokach i mruży oczy; poranne światło odbija się od śniegu. Nawet z tej odległości może zauważyć, że coś jest nie w porządku. Kiedy jest już w odległości jednego domu, dziewczyna pojmuje, dlaczego nie założył na siebie swego płaszcza z wielbłądziej wełny. Nie chce, żeby kapała na niego krew.

Krew cieknie mu z nosa, z ust, z głębokiego rozcięcia dzielącego brew na pół. Cała lewa strona jego twarzy jest czerwona, groteskowo opuchnięta, z ciemną plamą na kości policzkowej. Nos jest brzydko złamany, dolna warga rozerwana na dwie części, z czoła zdarty jest kawał skóry wielkości jednodolarowego banknotu. Na szyi widać czerwone smugi.

Obrzek zwęził oczy Montiego do rozmiaru maleńkich szparek. Nie widzi dziewczyny stojącej na schodkach, ubranej w jego starą bluzę z kapturem, dopóki niemal na nią nie wpada.

Uśmiecha się, gdy ją zauważa, a ona musi na chwilę odwrócić wzrok. Jego piękne zęby są zrujnowane: trzy dolne są wybite, jeden przedni, górny — okropnie wyszczerbiony. Mężczyzna próbuje coś powiedzieć, ale dławi się, pochyla, opiera dłonie na kolanach i spluwa krwią.

Naturelle bierze go za rękę i powoli prowadzi po stopniach w górę, przez podwójne drzwi wejściowe, po wąskiej klatce schodowej, aż do ich mieszkania. Blade światło słoneczne wpada przez okna. Sadza go na sofie i biegnie do łazienki; grzebie w szafce z lekami w poszukiwaniu potrzebnych jej teraz rzeczy. Napełnia szklankę zimną wodą i wraca do niego, daje mu pić. Monty znów próbuje mówić, ale dziewczyna potrząsa głową, zabiera mu szklankę i stawia na stoliku. Podnosząc mu rękę do góry, nad głowę, ściąga mu sweter, odpina koszulę i zsuwa ją z ramion. Przebiega pośpiesznie dłońmi po jego klatce piersiowej, przyglądając się jego twarzy, by zobaczyć czy się nie wzdraga.

Idzie do kuchni po myjkę, napełnia miseczkę ciepłą wodą i mydłem w płynie, wraca szybko do salonu i siada obok niego. Zaczyna delikatnie obmywać mu twarz, przerywając, gdy pojękuje. Potem jeszcze raz przemywa ostrożnie każde rozcięcie, każde zadraśnięcie. Kiedy wyżyma myjkę nad miseczką, krople krwi spadają do wody i — rozpluwając się — rozkwitają. Kiedy uznaje już, że każda rana jest oczyszczona, otwiera butelkę ze środkiem do dezynfekcji i nasącza nim watkę. Gdy przyciska ją delikatnie do rozcięcia dzielącego brew, Monty podskakuje, jego palce chwytają brzegi sofy. Osiem brudnych watek leży na stoliku, kiedy przemywanie ran jest skończone. Ta rana wymaga szycia, myśli Naturelle. Wyobraża sobie więziennego lekarza, niedbale zszywającego ranę i żartującego jednocześnie z pielęgniarką. Czy przykują go do stołu?

Głowa Montiego przetacza się po oparciu sofy, na jego zmaltretowaną twarzą pada promień słońca. Noc się skończyła i Monty zasypia. Naturelle patrzy, jak oddycha, jak jego klatka piersiowa podnosi się i opuszcza. Widzi tętnicę pulsującą u nasady szyi. Spogląda na zegar

wiszący na ścianie. Musi go obudzić, ubrać w czyste ubranie, zabrać na dół, złapać taksówkę. Przypatruje się, jak Monty śni, powieki mu drgają, palce kurczą się i prostują jakby coś łapał. Za minutę go obudzi. Daje mu jeszcze minutę.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

**KIEDY MONTY OTWIERA** oczy, widzi swego ojca stojącego przed nim z zaciśniętymi pięściami.

— Kto ci to zrobił?

Monty sięga po szklankę wody i wzdraga się, gdy brzeg dotyka złamanego zęba. Ból jest fatalny, gwałtowny i elektryzujący. Monty opuszcza głowę i czeka, aż nerw się uspokoi, potem znów podnosi szklankę i pije ostrożniej. Kiedy kończy, Naturelle bierze od niego naczynie i idzie do kuchni ponownie je napełnić.

— Kto ci to zrobił, Monty? — powtarza ojciec.

— Która jest godzina? — Monty widzi zegar wiszący na przeciwległej ścianie, ale nie może dostrzec wskazówek. Pokój jest wypełniony rozmytym światłem słonecznym i cieniami; brzegi wszystkich przedmiotów zacierają się. Błada twarz jego ojca jest owalem wyginającym się, gdy coś mówi.

— Zabieram cię do szpitala — mówi pan Brogan. — Możemy powiedzieć...

— Nie — mówi Monty. Opiera dłonie na siedzeniu sofy i podnosi się. — Muszę iść.

Naturelle wraca z napełnioną szklanką. Czeka cicho, jej oczy skupione są na dłoniach Montiego.

— Która jest godzina? — pyta znów Monty. Zakłada koszulę i zapina ją krzywo. Naturelle stawia szklankę na stoliku i poprawia zapięcie. Podaje mu sweter, Monty zakłada go i idzie do sypialni, trącając nogą stolik.

— Monty — mówi pan Brogan.

Monty zatrzymuje się i patrzy na ojca, ale pan Brogan nie mówi nic więcej. Monty odwraca się i idzie do pokoju. Patrzy na niezasłane łóżko, na spodnie od dresu leżące na podłodze, na miseczkę ze śliwkami stojącą na nocnej szafce, obok pustej paczki po papierosach. Zdejmuje przemoczone buty, znajduje w szafie starą parę roboczego obuwia i wkłada je.

Wyciąga spod łóżka pustą walizkę i pakuje to, co włoży w dniu, kiedy go wypuszczą: starannie złożony, elegancki, granatowy garnitur, zamszowe buty z ręcznie wytłoczonym wzorem cedrów, czarną, jedwabną koszulę z guzikami w kształcie srebrnych ćwierćksiężyców, bokserki i czarne, garniturowe skarpetki. Pakuje sznur paciorków starego hiszpańskiego różańca, który dostał od Naturelle na urodziny, dwa lata temu. Pakuje fotografię matki, ojca i sześciolatniego Montiego stojących przed oświetlonym, bożonarodzeniowym drzewkiem.

Wraca do salonu i stawia walizkę przy drzwiach wejściowych.

— Pożegnam się tutaj — mówi.

Podchodzi do Naturelle i obejmuje ją. Trzyma ją długo w ramionach. Ona uśmiecha się do niego, ale jej usta są lekko zaciśnięte. Skóra wokół jej oczu jest ciemna i opuchnięta z niewyspania. Mruga oczyma i odwraca się, ale Monty patrzy na nią dłużej. W tej chwili wydaje się być bardzo młoda, bez makijażu, z włosami gładko zebranymi do tyłu i spiętymi w koński ogon, jak uczennica.

Monty podchodzi do ojca, ale pan Brogan potrząsa głową.

— Jak dojedziesz do Port Authority?

— Metrem.



— Nie powinienes. Pociągi prawie teraz nie jeżdżą. Zawiozę cię do Otisville. Jezu, zobacz co oni ci zrobili.

— Przestań, tato, to nic takiego. Wezmę taksówkę.

— Nie będzie żadnych taksówek — mówi Naturelle. — Pozwól, żeby zabrał cię do szpitala.

— Nie dowierzasz moim umiejętnościom prowadzenia samochodu? — pyta pan Brogan, próbując się uśmiechać. — Mam łańcuchy na koła i wszystko, co trzeba.

— Nie chcę, żeby tak się to odbyło. Sprawiasz, że jest mi ciężej. Pozwól mi odejść, tato. Tak będzie łatwiej.

— Co jest w tym łatwego, Monty? Łatwe? Mój Boże, nie rozumiesz, tak? Nie masz pojęcia. — Dotyka delikatnie, końcami palców brody Montiego. — Pozwól mi się tam zawieźć. I tak muszę zobaczyć, gdzie to jest, z powodu odwiedzin. Dobrze? Pomóż mi.

Monty mruży oczy i kiwa głową.

— Bez szpitala. — mówi.

Pan Brogan całuje Naturelle w policzek, a ona zawstydzona starszego pana, zarzucając ręce na jego zimową kurtkę i przytulając go mocno. Kiedy go puszcza, mężczyzna idzie do drzwi wejściowych, otwiera je, bierze walizkę i wychodzi z mieszkania, nie zamykając za sobą drzwi. Monty wciąż stoi, patrzy na Naturelle. Słuchają echa kroków jego ojca.

— Poczekaj chwilę — mówi Naturelle.

Idzie do kuchni, a on czeka, kiwając się na stopach w przód i w tył, oczy ma zamknięte. W kuchni kapie woda z kranu, każda kropla brzmi jak odległe klaśnięcie. Naturelle wraca z plastikową torebką, wypełnioną kostkami lodu i zmusza go do przytknięcia jej do opuchniętej twarzy.

Przez moment stoją nieruchomo, ona trzyma dłoń na jego dłoni, przyciskając torebkę do jego policzka.

Monty chciałby, żeby go objęła, szepnęła mu, że zna miejsce, gdzie mógłby się ukryć, gdzie nikt nigdy by go nie znalazł. Chciałby, żeby obiecała mu, że pójdzie z nim, że znajdzie pracę w Otisville i będzie go odwiedzać co tydzień. Chciałby, żeby powiedziała, że te siedem lat minie jak zły sen, że się obudzi w jej ramionach, że życie czeka na nich za zakrętem.

Naturelle nie mówi nic i Monty też milczy. W końcu kiwa głową, odwraca się i delikatnie zamyka za sobą drzwi. Rozwiązuje plastikową torebkę i wysypuje kostki lodu na klatkę schodową; obserwuje, jak połyskują i znikają z pola widzenia, zanim nie uderzą w linoleum trzy piętra niżej. Zwija pustą torebkę i wciska ją do kieszeni.

Na dole, wzdłuż chodnika stoi samochód pana Brogana, blokując pas ulicy; ma włączone światła awaryjne. Dach starej hondy pokrywa czapa śniegu, ale przednia i tylna szyba jest starannie oczyszczona. Pan Brogan otwiera drzwi od strony pasażera. Monty ostrożnie sadowi się do środka i przechyla się, by otworzyć ojcu drzwi kierowcy.

Czekają minutę, aż silnik zacznie równo pracować i z nawiewu popłynie ciepłe powietrze.

— FDR jest zamknięta — mówi pan Brogan. — Pomyślałem, że pojedziemy Pierwszą Aleją, skęcimy w Triborough, potem Osiemdziesiątą Siódmą do drogi numer 17, a potem droga 211 zaprowadzi nas prosto do Otisville. Łatwa podróż, jeśli nie brać pod uwagę śniegu. — Monty nie odpowiada, więc pan Brogan kontynuuje. — Widziałem bardzo brzydki wypadek na BQE. Pomoc drogowa się wywróciła. Pewnie teraz

będą ją holować, ale chyba najpierw będą musieli postawić ją na nogi. To znaczy na koła, chciałem powiedzieć.

Monty przeciera kąciki oczu i jego palce znajdują tam skorupę. Zdrapuje zaschniętą krew. Ojciec, widząc co robi, podaje mu czerwoną chustkę wyjętą z kieszeni kurtki.

— Jest czysta — mówi pan Brogan, przyglądając się lewej połowie twarzy syna. — Jezu, zobacz, co oni ci zrobili. Powiem ci, Monty, że wydobrzejesz, wszystko będzie dobrze. Sztuczne zęby, które teraz robią są nie do odróżnienia. Jak twój nos?

— Złamany.

— Złamany nos to charakter. Teraz wygląda źle, wiem, ale kiedy zejdzie opuchlizna, będzie dobrze. Nie przejmuj się, kiedy wrócisz do domu, wciąż będziesz najprzystojniejszy w Bensonhurst. Ale ci dali cięgi! Ilu ich było?

— Nie wiem, tato. Kilku.

Jadą Pierwszą Aleją, łańcuchy napięte na kołach pobrzękują jednostajnie: *dy, dy, dy, dy, dy*. Za każdym razem, gdy Monty przyciska chustkę do oczu, ból przeszywa mu nos. Teraz może już lepiej widzieć. Patrzy przez okno i przygląda się przemykającemu za szybą miastu.

Przez białe chmury prześwitują skrawki błękitu. Latarnie wciąż świecą, żarząc się słabo w porannym powietrzu. Wąsaty mężczyzna stoi na rogu, trzyma papierosa w ręce odzianej w rękawiczkę, szufla do odgarniania śniegu stoi oparta obok. Kobieta, ubrana w męski płaszcz, którego brzeg ociera się o krawędź jej kaloszy, rozsypuje sól na chodniku przed zamkniętym sklepem mięsnym. Dwaj mali chłopcy ciągną za sobą sanki i sapią z przesadzonym wysiłkiem; obłoki ich oddechów unoszą się

nad zaczerwienionymi twarzami. Mężczyzna i kobieta, ubrani w jednakowe, zielone kurtki, ładują narty na bagażnik przymocowany do dachu samochodu. Sprzedawca gazet siedzi na niebieskiej, plastikowej skrzynce, popijając kawę z papierowego kubka, a jego syn zrywa sople z okapu kiosku.

Policjant, opierając ręce na biodrach, patrzy pod otwartą maskę samochodu, podczas gdy jego partner opiera się o drzwi i śmieje do radiostacji.

Na czerwonym świetle, przy Dziewięćdziesiątej Szóstej ulicy, Monty patrzy w górę, na stojący obok nich autobus, hałasujący na jałowym biegu. Mały chłopiec siedzący na tylnym siedzeniu, we włóczkowej, białej czapce macha do Montiego. Monty też mu macha. Chłopiec chucha na szybę i Monty czyta napis na szkle: *moT*. Zrozumienie zabiera Montiemu chwilę, a potem uśmiecha się i pisze na swoim oknie: *Monty*. Zanim przekreśla *t*, autobus rusza i Monty patrzy na smugę jego spalin.

— Powiedz tylko słowo — mówi pan Brogan — a skrećę w lewo.

— W lewo? Dokąd?

— Możemy pojechać przez Most Jerzego Waszyngtona. Dokąd tylko zechcesz. — Pan Brogan prowadzi ostrożnie, trzymając kierownicę rękoma na drugiej i dziesiątej godzinie. Wpatruje się w rozmokły śnieg przed kołami, chcąc uniknąć wyrw i dziur. — Ukryjesz się gdzieś na zachodzie, znajdziesz miłe, małe miasteczko...

— Tato.

— Mówię: jeśli chcesz. Jeśli tego chcesz, to tak zrobię. Będziemy jechać i jechać. Zatrzymamy się w Chicago na mecz Cubsów. Zawsze chciałem zobaczyć Wrigley'a Field'a. Może moglibyśmy pojechać

zobaczyć Wielki Kanion, zrobić kilka zdjęć. Znajdziemy gdzieś małe miasteczko, znajdziemy bar, kupię nam drinki. Nie piłem drinka od dziewiętnastu lat, ale z tobą się napiję. I odjadę. Powiem ci, żebyś nawet do mnie nie pisał, nie odwiedzał mnie. Powiem ci, że wierzę w Królestwo Boże i wierzę, że się spotkamy, i że spotkamy twoją matkę. Ale nie w tym życiu.

Monty wodzi językiem po wyszczerbionych korzeniach wybitych zębów. Ma wrażenie, że lewa strona jego twarzy została przyciśnięta do rozgrzanej do czerwoności spirali kuchenki elektrycznej. Patrzy na ojca i widzi determinację na twarzy tego człowieka; ojciec nie mruga oczami, mięśnie jego szczęki są napięte jakby trzymał tam zwitek tabaki.

— Zabiorą ci bar.

— Jezu — potrząsa głową pan Brogan. — Mój bar? Mogą sobie zabrać mój bar w cholerę. Myślisz, że bar jest dla mnie ważniejszy? Jeśli powiesz jedno słowo, Monty, pojedziemy.

— Znajdą mnie. Wcześniej czy później...

— Wiesz, jak oni znajdują ludzi, Monty? Znajdują ich, jak wracają do domu. Ludzie uciekają. Ale zazwyczaj wracają i wtedy właśnie ich łapią. Więc pójdziesz i nigdy nie wrócisz. Znajdziesz gdzieś pracę; pracę, za którą płacą gotówką, szefa, który nie zadaje pytań i zaczniesz nowe życie. I nigdy nie wrócisz.

— Nie mogę od tego uciec, tato. Rozumiesz? Utknąłem w tym. To się stanie. Zabierz mnie, proszę, do Otisville.

Ale na przestrzeni mili, gdy stary samochód rzezi i brnie przez rozmokły śnieg, gdy łańcuchy monotonnie brzęczą: *dy, dy, dy, dy, dy*, Monty zamyka oczy i poddaje się pokusie, pozwala swobodnie płynąć

myślom. Myślał już o tym tysiące razy, ale nigdy jeszcze myśli te nie były tak czyste i swobodne jak teraz, gdy skręt w lewo mógł je urealnić. Skręcają na zachód, przekraczają rzekę Hudson, jadą przez przedmieścia New Jersey, przez stany, których Monty nie potrafi wymienić, a które leżą na zachód od New Jersey — Pensylwania, może potem Ohio? Monty wyobraża sobie wzgorza i pasące się krowy, czerwone wiejskie domy i białe wieże kościołów, czarne drogi wijące się pośrodku tego wszystkiego. Wyobraża sobie mile kukurydzianych pól i zastanawia się, jak kukurydza wygląda zimą. Wyobraża sobie pustynię: ogrom piasku i pomarszczonych przez wiatr wydm, widłowate kaktusy rosnące obok drogi. Zakurzone miasteczko, zagubione gdzieś na tym zachodzie i bar z wywieszką: POTRZEBNA POMOC w oknie. Zatrudniłby się, myłby szklanki, zmywałby podłogi, spałby na połówce, na zapleczu. Pojechaliby do najbliższego miasta, spotkałby właściwych ludzi, kupiłby fałszywe prawo jazdy i metrykę urodzenia. Właściciel baru miałby piękną córkę, na początku ostrzegłby Montiego, że córka nie jest dla niego, ale widziałby, jak Monty pracuje, jak błyszczą się szklanki, jak świeci się podłoga. Awansowałby Montiego na barmana i zdumiałby się, jak lokal zyskuje na popularności; przyznałby swoim przyjaciołom, że ma tutaj uczciwego człowieka; człowieka, któremu można powierzyć kasę; człowieka, który nigdy nie schował do kieszeni czegoś, co do niego nie należało. Córka właściciela baru, czarnowłosa i czarnooka, uśmiechałaby się do Montiego przez całą salę. Trzymałaby usta zamknięte, by ukryć swoje krzywe zęby. On kupiłby jej srebrny naszyjnik z turkusami za sześciomiesięczne oszczędności, a ona płakałaby, rozpakowując ten prezent; oparłaby twarz o jego pierś i zmoczyłaby jego koszulę łzami. Pojechaliby nad najbliższą

rzekę, położyliby ubrania na skałach koloru gliny i weszliby do zimnej, lodowatej wody, ręka w rękę; a orzeł kręciłby im ósemki nad głowami. Pewnego suchego, letniego wieczoru, na zachodnich wzgórzach zacząłby się wielki pożar, który szybko by się rozprzestrzeniał, pochłaniając miasteczko za miasteczkiem. Dzikie króliki i pancerniki uciekałyby przed ogniem. Wszyscy modliliby się o deszcz, ale deszcz by nie spadł. Monty przyłączyłby się na ochotnika do gaszących, walczyłby z pożarem przez trzy dni i trzy noce, ścinając drzewa, by stworzyć wokół miasteczka pas, którego nie przeszedłby ogień; polewałby dachy domów, podczas gdy mieszkańcy pakowaliby się do samochodów, aby uciec. Wysiłki ochotników zostałyby wynagrodzone, zmieniłby się kierunek wiatru i miasteczko zostałoby uratowane. Pochód przeszedłby główną ulicą miasteczka, wszyscy celebrowaliby zwycięstwo i dziękowałiby bohaterom; Monty jechałby w kabriolecie burmistrza i pozdrawiałby tłum. Pewnego dnia właściciel baru odciągnąłby Montiego na stronę i zapytał, czy kocha jego córkę. Monty odpowiedziałby mu: „Tak, całym moim sercem” i właściciel baru powiedziałby: „Będę dumny, mogąc nazywać cię synem”. Monty uścisnąłby mu rękę i ślub odbyłby się w niedzielę. Panna młoda poszłaby do ołtarza w białej, ślubnej sukni swojej matki, a Monty czekałby na nią; obok staliby jego nowi przyjaciele: elektrycy i kierowcy ciężarówek, i strażacy, i trener szkolnej drużyny koszykówki. Monty pomagałby mu zimą trenować dzieciaki, brałby udział w potyczkach, ale bez popisów, bo to byłyby tylko dzieciaki, pustynne dzieciaki kozłujące powoli, bez osłony, ale Monty nigdy nie odbierałby im piłki, nigdy, przenigdy nie odbierałby im piłki. Pocałowałby swoją żonę i ksiądz wygłosiłby błogosławieństwo. Niebawem mieliby dzieci: zielonookich

synów i czarnookie córki. Dzieci w długie, letnie popołudnia łowiłyby ryby, jeździły konno po wąskich kanionach, co niedzielę chodziłyby do kościoła, ubrane w blezery i krawaty albo bawełniane sukienki. Rosłyby mądre i miłe, i radosne, dostawałyby dobre stopnie, zostałyby doktorami i inżynierami, i nauczycielami, miałyby własne rodziny i przyjeżdżałyby na święta razem ze wszystkimi swoimi dziećmi. I jednego z tych dni — niechby to był czwarty lipca — po fajerwerkach, kiedy zostałyby zjedzone ostatnie ziarnko z kolby gotowanej kukurydzy, kiedy ostatni kawałek ciasta zostałby schrupany przez najmłodszą dziewczynkę, po tym, jak najmłodsze dzieci zostałyby ułożone w łóżeczkach i wszyscy zebraliby się w salonie, gdzie na ścianach wisiałyby czarno-białe fotografie z ostatnich czterdziestu lat (zdjęcia zrobione przez Montiego, bo to byłoby jego hobby i stałby się w tym ekspertem; jego przyjaciele mówiliby, że powinien zorganizować gdzieś wystawę, ale on nigdy by tego nie zrobił) — Monty stanąłby przed nimi i opowiedziałby im swoją historię. Wszyscy siedzieliby cicho, słuchając, bo dziadek nie byłby dobry w opowiadaniu historii, ponieważ robił to rzadko. Najmniejsi siedzieliby po turecku na podłodze i patrzyliby na niego z szeroko otwartymi oczami i buziami. Jego dzieci słuchałyby uważnie, wymieniając spojrzenia i potrząsając głowami, bo to, co by słyszały, wydawałoby się im niemożliwe, ale wiedziałyby, że to prawda, co do słowa. Żona Montiego patrzyłaby na męża, nie słuchając słów, bo znałaby tę opowieść wcześniej. Opowiedziałby jej ją wieczorem, w przeddzień ślubu. Powiedziałby, że zrozumie, jeśli ona nie zechce go więcej widzieć, że jeśli ona sobie zażyczy, kupi bilet, odjedzie i nigdy nie wróci. Jego czarnooka żona patrzyłaby na niego i pamiętałaby tamtą noc, i pamiętałaby, co mu powiedziała: „Zostań, zostań ze mną”. Monty



opowiedziałby historię swojej rodzinie i cały świat uspokoiłby się: jego pitbull na frontowej werandzie przestałby szczekać, ucichłyby świerszcze i kojoty, i sowy, a Monty opowiedziałby, kim jest i skąd przyszedł. „Widzicie?” — spytałby. „Widzicie, ile mamy szczęścia, że tu jesteśmy? To wszystko, wy wszyscy, o mało co, a moglibyście nie istnieć.” To życie mogłoby się nie wydarzyć.